SENS ZAMIAST SENSACJI | Koszty awantury o Ukraińców ▪ Orbán na krawędzi
Giełzak: Trump i koniec dyplomacji ▪ Święci z fantazją ▪ Jak się ubrać do opery

Kraków 3 – 9 września 2025 nr 36 (3974) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

WITAJ SZKOŁO!

Sztuczna inteligencja to nie tylko zagrożenie. Jakie szanse stwarza dla uczniów i nauczycieli?



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 6d2c74d9cf

REKLAMA

Naród się zgubił

SEZON ARTYSTYCZNY 2025/2026

PREMIERY

Wrzesień

Polish Horror Story
reż. Marcin Liber

Październik

Pan Tadeusz
reż. Wojtek Klemm

Listopad

Ciało i krew
reż. Iwona Kempa

Grudzień

Wegetarianka
reż. Paweł Miśkiewicz

Styczeń

Antygona
reż. Jakub Roszkowski

Luty

Wyzwolenie
reż. Maja Kleczewska

Marzec

Wyspa
reż. Eugenia Balakireva

Maj

Koriolan
reż. Jadwiga Klata

Niespodziewane zwycięstwo Unii Polsko--Czeskiej w Trzeciej Wojnie Światowej
reż. Jakub Krofta

REPERTUAR

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

teatrwkrakowie.pl

KS. ADAM

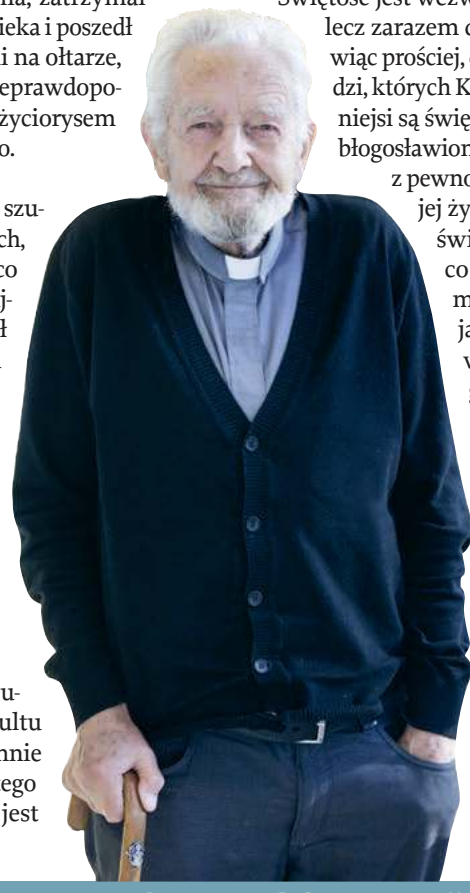
Boniecki: *Świętość bez cudów*

Lubię tych świętych, o których nie ma żadnych zawiłych historii. Którzy, jak np. pewien kapucyński furtian, nie dokonali żadnych niezwykłych dzieł, ale byli po prostu świętymi ludźmi. Albo jak ta święta, której proces kanonizacyjny Stolica Apostolska zdecydowała się powtórzyć, chyba właśnie pod wpływem poszukiwania niezwykłości – i ostatecznie jednak, choć trwało to sporo czasu, uznała go za całkiem prawidłowy, choć święta zdawała się podejrzanie zbyt zwyczajna jak na świętą.

Przypuszczam, że czasem (często?) hagiografowie coś tam dodawali z własnej wyobraźni. Stąd ostrożność Kościoła w uznawaniu opowieści o cudach. Np. takich jak ta o pewnym świętym, któremu przełożeni zakazali czynienia cudów bez każdorazowego pozwolenia, zatrzymał więc w powietrzu spadającego człowieka i poszedł po pozwolenie. Są święci wynoszeni na ołtarze, których życiorysy są pełne wręcz nieprawdopodobnych opowieści, są jednak i ci z życiorysem na dwie kartki papieru maszynowego.

Współczuję biografom tych drugich, szukającym w ich życiu rzeczy niezwykłych, daj Boże – cudownych, ale niczego, co by się nadawało np. do filmu, nieznajdującym. A mimo to Kościół ogłosił ich bohaterów świętymi. Myślę, że ta niezwykła zwykłość będzie coraz bardziej zauważana. Bo kult świętych się zmienia, jak zmienia się myślenie o nich. Choć jego formy trwają, przynajmniej te eksponowane w książkach o duchowości, kazaniach na ich temat itd. – to naprawdę ważny pozostaje stosunek tych świętych do Boga i stosunek do siebie.

Ogłaszany właśnie świętym Carlo Acutis – o kontrowersjach wokół jego kultu piszemy w tym wydaniu – jest dla mnie dobrym tego przykładem. Życiorys tego młodego człowieka (1991–2006) jest może w pewien sposób niezwykły, ale w gruncie rzeczy podobny do wielu życiorysów jego rówieśników. Autorzy jego biogramów starają się uwypuklić jego niezwykłość, zdolności, dobre uczynki, pasje. To wszystko prawda, ale świętość – o czym czasem wypowiada się Kościół – polega na czymś, co trudne jest do opisania. Polega na relacjach z Bogiem. Dobre czyny Carla, owszem, miały miejsce, w swoich zainteresowaniach mógł mieć czasem rację, czasem mógł jej nie mieć, w swoich reakcjach na zachowanie najbliższych mógłby być dla nas wzorem, ale czasem lepiej go nie naśladować. Jest wzorem, ale w swoim odnoszeniu się do Boga. Co nie znaczy, że w swoim życiu mamy odgrywać jego życie.



GRAŻYNA MAKARA

Świętość jest wezwaniem skierowanym do wszystkich, lecz zarazem do każdego z nas indywidualnie. Mówiąc prościej, drogi świętości są rozmaite. Znałem ludzi, których Kościół ogłosił świętymi, ale o wiele liczniejsi są święci, których znałem, a których nikt ani błogosławionymi, ani świętymi nie ogłosił, chociaż z pewnością takimi są. Jedni u początków swojej życiowej drogi, inni w jej trakcie. Są też święci ostatniej godziny, a wszystkim, co się tym gorszą, można tylko przypomnieć, jak niewiele wiemy o zdumiewających drogach ludzkich pytań i odpowiedzi, które mogą przyjść w ostatniej godzinie życia. Albo... nie przyjść.

Postacie świętych mogą na nas wpływać, choć nie daj Boże, byśmy chcieli w swoim życiu odtwarzać ich życie. Bo każdy ma do przeżycia swoje. Każde życie jest bardzo indywidualnym dziełem sztuki. Kopiowanie nie tylko nie jest zalecane, ale po prostu niemożliwe. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

MAREK RABIJ I PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Czy da się polepszyć polskie wskaźniki dzietności? A może powinniśmy łatać coraz bardziej dziurawą demografię mądrą polityką imigracyjną?

IGNACY DUDKIEWICZ
Trzech biskupów przez lata urządzało polski Kościół. Jakie są tego skutki? I czy zachowali swoje wpływy po przejściu na emeryturę?

KAROLINA WIGURA
Wiek średni to godzenie się z entropią. Mnie ten wiek przyniósł wolność mówienia wprost o tym, co czuję.

Miłośnicy i miłośniczki podkastów z pewnością choć raz mieli okazję trafić na słuchowiska z gatunku *true crime*. Od kilku lat są one niezwykle popularne zarówno na świecie, jak i w Polsce – cieszą się dużo większym zainteresowaniem od produkcji poradnikowych, sportowych oraz publicystycznych czy newsowych.

Lubimy seriale, książki i podkasty, które budują swoje historie w oparciu o wydarzenia naruszające zwykły porządek rzeczy, wyprowadzające nas poza codzienność i odbierające (oczywiście w sposób kontrolowany i tylko na moment) poczucie bezpieczeństwa. Wystarczy popatrzeć na topki serwisów streamingowych i najnowsze dane rynku wydawniczego: liczba tytułów, które dotyczą morderstw i przestępstw, wciąż jest niezwykle wysoka. Nad tym, dlaczego opowieści o zbrodniach (szczególnie tych, które zdarzyły się naprawdę) są tak pociągające, zastanawiamy się na pierwszych stronach działu Kultura.

Być może jednak moda na *true crime* nie potrwa długo. W danych za ostatni rok widać, że zaczynamy odchodzić od reportaży, biografii, gatunków opartych na faktach. Trend, przynajmniej w literaturze, wyraźnie zmienia się na korzyść fikcji. Na światowych rynkach można zaobserwować rosnącą popularność powieści, w Polsce coraz chętniej czytamy fantastykę, science-fiction, horrory i dystopie.

Jak pokazuje najnowszy raport „Ruchu Wydawniczego w Liczbach", w minionym roku ukazało się rekordowo dużo tytułów tego gatunku, więcej: to najlepszy wynik fantastyki od ponad dekady. Czyje książki kupujemy? Nie tylko Andrzeja Sapkowskiego i Andrzeja Pilipiuka, wśród najpoczytniejszych autorek znajdują się dziś m.in. Amerykanki Lauren Roberts oraz Rebecca Yarros, łączące gatunek fantasy z romansem.



Stosunkowo dużo publikujemy wciąż w Polsce książek dla młodzieży. Spadki notuje natomiast rynek książek dla dzieci – nic dziwnego, z roku na rok rodzi się ich po prostu coraz mniej. Wydawnictwa są już na to przygotowane: w miejsce książek dla maluchów będą się pojawiać książki dla najstarszych czytelniczek i czytelników, możemy się również spodziewać coraz starszych bohaterów literackich. Wracając do *true crime*: jeśli oglądają Państwo seriale takie jak „Morderstwa po sąsiedzku" albo „Czwartkowy klub zbrodni" – średnia wieku bohaterów i bohaterek nie jest tam żadnym przypadkiem. ©℗

MONIKA OCHĘDOWSKA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Dziennikarka i redaktorka działu Kultura, członkini kapituły Nagrody Conrada przyznawanej za najlepszy debiut prozatorski.



32 Orbán nad przepaścią
DOMINIK HÉJJ
Viktorowi Orbánowi zawsze udawało się przetrwać, a nawet wyjść wzmocnionym z kolejnych kryzysów. Teraz jest inaczej.



40 Koniec świata dyplomatów
MARCIN GIEŁZAK
Korupcja, niekompetencja i populizm wżarły się głęboko w waszyngtońskie instytucje. Skutki są groźne nie tylko dla USA.



64 Połącz kropki
ROZMOWA Z JUSTYNĄ MAZUR-KUDELSKĄ, PODKASTERKĄ:
Im więcej wiemy o świecie, tym chętniej zwracamy się ku temu, co niewyjaśnione, leżące poza granicami rozumowego poznania. To jedna z przyczyn rosnącej popularności gatunku true crime.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // LEON NEAL / GETTY IMAGES // PATRICK AVENTURIER / GETTY IMAGES // ARCHIWUM PRYWATNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Pierwszy dzwonek ostrzegawczy
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Crash test Trzeciej Rzeczypospolitej
JAROSŁAW FLIS: *Polska nie jest skazana na duopol*

21 Na Miodowej bez zmian
MAŁGORZATA SOLECKA: *Na zdrowie może zabraknąć 20-30 mld złotych*

24 Pełne zagubienie
ANNA KORYTOWSKA: *Opuszczenie więzienia oznacza nie tylko koniec izolacji, ale początek innej, równie trudnej walki*

■ ■ RAPORT

28 Krajobraz po wecie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA: *Sprzeciw prezydenta wobec nowelizacji specustawy o pomocy Ukraińcom wywołał falę komentarzy. Fakty i dane? Nikt nie zawraca sobie nimi głowy*

■ ■ ŚWIAT

32 Orbán nad przepaścią
DOMINIK HÉJJ

35 Hasbara w twoim domu
MACIEJ AUGUSTYN: *Hasbara, po hebrajsku „wyjaśnienie”, ma dziś kontrować oskarżenia, że Izrael popełnia w Gazie zbrodnie wojenne*

38 Perogies z cheddarem
MAŁGORZATA SIDZ: *Premier Mark Carney nie wyklucza wysłania na Ukrainę kanadyjskich żołnierzy w międzynarodowej misji pokojowej*

■ ■ OPINIE

40 Koniec świata dyplomatów
MARCIN GIEŁZAK

■ ■ WIARA

44 Święty jak niemalowany
MAREK ZAJĄC: *Nie żałował pięści faszystom i komunistom, agitował w fabrykach i szarpał się z policją. Kim był Pier Giorgio Frassati?*

TEMAT TYGODNIKA

12 Lekcje od czatbota
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Trzydzieści kilka miesięcy od debiutu ChataGPT wystarczyło, by wywrócić do góry nogami codzienność uczniów i nauczycieli. I wyostrzyć pytanie: po co nam dziś właściwie szkoła?


CHARLES TAYLOR / ADOBE STOCK

■ FELIETONY ■
11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
52 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE: BLANKA BIERNAT DLA „TP”

47 Cud prawdziwy
ANDREA GRILLO: *Kanonizacja Carla Acutisa rodzi wiele pytań – nie tylko o świętość nastolatka*

50 Eucharystia w laboratorium
ARTUR SPORNIAK: *Polscy naukowcy mogą się przyczynić do zakończenia ery cudów eucharystycznych*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Polka królową Francji
PIOTR HAPANOWICZ: *Dlaczego Maria Leszczyńska uchodzi za jedną z lepszych królowych, jakie miała Francja*

■ ■ NAUKA

58 Lepiej urosnąć czy spłodzić dzieci?
TOMASZ MÜLLER: *Ewolucja kształtuje nie tylko cechy fizyczne organizmów. Także ich sposób życia*

■ ■ KULTURA

64 Połącz kropki
ROZMOWA Z JUSTYNĄ MAZUR-KUDELSKĄ

68 Do dzieła
PIOTR KOSIEWSKI: *Stołeczna wystawa „Przestrzenie” opowiada o jednym z najciekawszych zjawisk we współczesnej polskiej sztuce*

70 W głowie się nie mieści
REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI: *Nowa fala polskiej animacji zaskakuje i zachwyca*

73 Polecamy nowe książki

74 Komedia pomyłek
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Eddington” Ariego Astera*

75 Jedna ulica
LEKTOR *o książce „Smocza. Biografia żydowskiej ulicy w Warszawie” Benny’ego Mera*

■ ■ ZMYSŁY

78 Ubiór w operze
DOROTA KOZIŃSKA: *Wprowadzenie rygorystycznych zasad ubioru w operze miało na celu demokratyzację widowni. Czy jest to aktualne jeszcze dziś?*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
SPRAWDŹ AKTUALNĄ JESIENNĄ OFERTĘ NA STRONIE 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY



ALIAKSANDR VALODZIN / EAST NEWS

OBRAZ TYGODNIA

PIERWSZY DZWONEK OSTRZEGAWCZY

Polityczna moc gestów przyjaźni i 30-procentowych podwyżek wyczerpana: nauczyciele znowu protestują. Czy mają ku temu racjonalne powody?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Gwar, tłok, piknikowa atmosfera, nawet kilka tysięcy ludzi przelewających się przez warszawską al. Szucha. Z mikrofonem w ręku prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego Sławomir Broniarz, a wśród pikietujących m.in. Katarzyna Lubnauer i Kinga Gajewska, czyli polityczki Koalicji Obywatelskiej. Kto by pomyślał, że opisane wyżej sceny z 1 września 2023 roku rozegrają się – z niewielkimi zmianami scenografii – po dwóch latach?

Na gmachu resortu edukacji nie było tym razem banneru z prowokacyjną „informacją", że pedagodzy zarabiają 7 tysięcy złotych. Nie było też – co oczywiste – działaczek ówczesnej opozycji. A jednak ten sam co zwykle Sławomir Broniarz mówił do trochę tylko mniej licznego tłumu z grubsza te same słowa o zarobkach i obronie godności nauczycieli. ZNP skrzyknęło się po dwuletniej przerwie, by przypomnieć o swoich dwóch postulatach: 10-procentowej podwyżce, a także o obywatelskim projekcie ustawy zapewniającej stałą waloryzację pensji.

– Ten protest oznacza, że w edukacji znowu dzieje się źle – uważa Iga Kazimierczyk, nauczycielka, prezeska Fundacji Przestrzeń dla Edukacji i adiunkt Uczelni Korczaka, która manifestowała na al. Szucha dwa lata temu. – Gdy ZNP wychodzi na ulicę, oznacza to, że ścieżki pracy parlamentarnej i rozmów z ministerstwem straciły drożność. Związek nie ma bezpośredniego interesu w uchwaleniu stałego mechanizmu waloryzacji – oznaczałby przecież, że ZNP straci część swojej racji bytu... A jednak się o to upomina, zwłaszcza że sam premier Donald Tusk obiecał kilka miesięcy temu na kongresie ZNP zajęcie się ustawą.

Jak mówi ekspertka, przez półtora roku nowej władzy nie wydarzyło się wiele dobrego. – Demonstracja sprzed dwóch lat była jak otwarcie okna w dusznym pomieszczeniu – mówi Kazimierczyk. – Jako działaczka i ekspertka byłam pewna, że po fatalnych rządach, złej reformie Anny Zalewskiej i pandemii przychodzi czas na zmiany. Ale szybko się okazało, że niewiele się dzieje. I w kwestii odpolitycznienia oświaty, i w sprawie realnej odbudowy prestiżu zawodu nauczyciela.

POCZĄTEK ROKU 2024 przyniósł co prawda 30-procentowe podwyżki, ale jak zaznaczają dzisiaj związkowcy, gdyby nie one, nauczyciel zarabiałby poniżej minimalnej krajowej. Ile zarabia? Pobory zasadnicze tej grupy są nadal niewielkie – wahają się między 5150 a 6200 złotych brutto w zależności od stopnia zawodowego awansu. Gdy doliczyć do tych kwot dodatki, suma się zwiększy. Wedle wskaźnika tzw. średniego miesięcznego wynagrodzenia to przedział między ok. 6700 zł brutto dla pedagoga początkującego a 10 tys. dla dyplomowanego. Problem w tym, że wedle ZNP i dużej części ekspertów to wskaźnik nieuczciwy, bo zawiera nie tylko nauczycielskie dodatki, ale też np. odprawy emerytalne i nadgodziny.

Jaka jest więc prawda o poborach nauczyciela? Zarabia na pewno więcej, niż wynikałoby ze wskaźnika pensji zasadniczej, ale też zwykle realnie mniej niż pokazuje tzw. wynagrodzenie średnie. Stąd płynie wniosek, że o ile nauczyciel dyplomowany widzi już dziś pierwszego każdego miesiąca godziwy przelew, oscylujący wokół średniego polskiego wynagrodzenia (ok. 8900 brutto), o tyle pedagog wchodzący do zawodu ściga się nadal z minimalną krajową. I choć nauczyciele dyplomowani stanowią ponad połowę wszystkich pedagogów, to przecież na bazie zarobków tych początkujących kandydaci do zawodu budują sobie opinię o atrakcyjności profesji. I wychodzi im z tych obliczeń od lat niezmiennie to samo: szkoła to może i dobre miejsce pracy, ale tylko dla nieuleczalnych pasjonatów i/lub desperatów.

STĄD PRZEWLEKŁY KRYZYS prestiżu zawodu, stąd rosnący wskaźnik średniego wieku polskiego belfra (już 47 lat), stąd też pojawiające się bez względu na polityczne rozdanie statystyki dotyczące szkolnych wakatów. Tuż przed tegorocznym pierwszym dzwonkiem było ich 12 tysięcy, a to i tak liczba myląca. – Zanim szkoła ogłosi wakat, zrobi wszystko, by brakujące lekcje „wcisnąć" komuś już uczącemu, w ramach nadgodzin – zauważa Iga Kazimierczyk. – To „wciskanie" kończy się potem przepracowaniem i wypaleniem, a w konsekwencji odchodzeniem z zawodu. I koło się zamyka.

Z obejmującej 1,5 tys. pedagogów sierpniowej ankiety „Głosu Nauczycielskiego" wynika, że radykalnie spadł – w porównaniu z 2024 r. – odsetek wkraczających w nowy rok szkolny z optymizmem (teraz to 4 proc.). A co trzeci pytany nauczyciel wróci do pracy z poczuciem rozpaczy i zmęczenia.

NIE NAJLEPIEJ wróży to zbliżającej się reformie podstaw programowych. – Nauczyciele są wielkimi nieobecnymi tej zmiany – mówi Iga Kazimierczyk. – Nawet najcudowniejsze podstawy programowe nie wdrożą się same. Jeśli nie zapewnimy nauczycielom szkoleń, wsparcia, mentoringu i superwizji, nie mówiąc już o godziwych zarobkach, niewiele z tego wyjdzie. Hasłem tej reformy jest sprawczość uczniów, ale rodzi się pytanie: jak pozbawieni sprawczości nauczyciele mają formować przekonanych o swoim wpływie na rzeczywistość uczniów? ©℗

OBOK:
Ogólnopolska manifestacja nauczycieli i pracowników oświaty przed siedzibą Ministerstwa Edukacji Narodowej w Warszawie. 1 września 2025 r.



Po co nam ten cały deficyt

MAREK RABIJ

Po prezentacji projektu przyszłorocznego budżetu przez krajową politykę i media przetoczyła się zwyczajowa fala analiz i komentarzy, które często lepiej ilustrowały intencje komentujących niż stan finansów publicznych. Mieliśmy więc narzekania na socjal, który podobno dławi innowacyjność gospodarki, czyli ulubiony argument lobbystów dużego biznesu, próbujących przekonać opinię publiczną, że gdyby nie 800+ i renta wdowia, Polska już dawno miałaby swoją Dolinę Krzemową. Były zwyczajowe dyskusje o prymacie edukacji nad kulturą, a zdrowia nad obronnością, ale na koniec wszystkich i tak przelicytował prezydent Nawrocki, który w trakcie Rady Gabinetowej oświadczył, że tak bardzo niepokoi go stan polskiego budżetu, że nie pozwoli rządowi obciąć wydatków ani podnieść podatków.

Debata o budżecie nie może jednak przebiegać inaczej, skoro polskie państwo nie dorobiło się niczego, co można by nazwać długookresową, wybiegającą poza najbliższe wybory strategią fiskalną. Finanse publiczne od lat opierają się na optymistycznym założeniu, że gospodarka będzie rosnąć, można więc będzie wydawać coraz więcej na kredyt, a na koniec roku relacja długu publicznego i deficytu budżetowego do PKB pozostanie z grubsza na tym samym poziomie. W świecie polskiej polityki konsensus obejmuje obecnie jedynie celowość budowy elektrowni jądrowej i utrzymywania wysokich wydatków na wojsko. Nie słychać w niej natomiast choćby słowa refleksji nad tym, czy w okresie wysokiego wzrostu PKB nie należałoby zmniejszać deficytu budżetowego, tak by w czasie recesji skokowo go zwiększyć i wspomóc w ten sposób gospodarkę. Pod ciężarem populistycznego kuglarstwa Konfederacji zgasły nawet ostatnie iskierki debaty o tym, jakie powinny być długofalowe priorytety wydatkowe państwa, od lat cierpiącego na ujemny przyrost naturalny, a także kto i w jakim stopniu powinien partycypować w utrzymaniu państwa. Zamiast tego mamy ciekawostkowe wzmianki, na przykład o tym, że wyższe koszty finansowania długu publicznego w UE mają jedynie Węgry.

Wiele lat zajęło Polsce wyjście z zaklętego kręgu wyobrażeń, że dług publiczny i deficyt budżetowy powinny być jak najniższe, bo dzięki temu trzy największe agencje ratingowe poklepią nas z uznaniem po plecach i nad Wisłę popłynie szeroki strumień inwestycji zagranicznych. Zaczynamy akceptować to, że właśnie dzięki długowi państwo może się rozwijać szybciej. Problem w tym, że nadal nie umiemy się dogadać, jaki wektor ma mieć ten rozwój. ©℗



MARCIN GADOMSKI / EAST NEWS

Miejsce budowy elektrowni atomowej w Słajszewie. 13 sierpnia 2025 r.



Armia i show

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Czwartkowa próba przed Air Show w Radomiu zakończyła się tragedią: polski F-16 runął na ziemię, zginął doświadczony pilot, major Maciej „Slab" Krakowian. Katastrofa wywołała dyskusję, czy państwo, które graniczy z objętą wojną Ukrainą, może sobie pozwolić na ryzykowanie chroniących wschodnią flankę NATO maszyn i życia żołnierzy w pokazach lotniczych.

Minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz zdecydował, że żołnierze i wojskowy sprzęt nie będą brać udziału w podobnych imprezach.

Dowództwo uziemiło wszystkie F-16, dopuszczając jednak loty operacyjne – czyli te związane z ochroną granicy i przestrzeni powietrznej NATO.

Bo innego wyjścia raczej nie mamy. Dyżury pełni też wprawdzie garstka wiekowych MiG-29, na polskich lotniskach stacjonują myśliwce sojusznicze, ale to F-16 są najważniejszą tarczą Polski przed zagrożeniami z powietrza. Tarczą dziurawą, co zademonstrował lot rosyjskiego drona, który kilka dni temu eksplodował niedaleko stolicy, ale kluczową. Koreańskie F-50, o zdecydowanie mniejszych możliwościach, do patroli dołączą dopiero w przyszłym roku.

Pokazy lotnicze z udziałem wojskowych pilotów to z jednej strony atrakcyjna forma promocji armii, z drugiej, realne ryzyko: akrobacje na granicy możliwości maszyn, w obecności cywilów. Wojsko podkreśla jednak, że to nie tylko PR, ale także trening, bo manewry wykonywane podczas *air shows* mogą okazać się niezbędne w warunkach bojowych. Gen. Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego, przyznał, że tragicznie zmarły „Slab" przekonał go, iż taka demonstracja umiejętności pilotów to także element odstraszania.

Tyle że polskie F-16 pełnią kluczową rolę w systemie obrony powietrznej i nie ma ich wiele. Do czwartku mieliśmy ich 48. Każdy stracony egzemplarz to ubytek trudny do uzupełnienia ze względu na koszty i czas szkolenia pilotów.

Trudno nie dostrzec symboliki: polski pilot ginie nie w walce ani na misji patrolowej, ale podczas próby przed imprezą, której celem było pokazanie społeczeństwu siły i sprawności wojska. ©

NA PUNKTY

POUCZONY PREZYDENT
Kanał Zero ujawnił treść 1,5-stronicowej notatki, którą MSZ wysłało do Kancelarii Prezydenta przed wizytą Karola Nawrockiego w USA. Zdaniem współpracowników głowy państwa dokument jest zbyt ogólnikowy, Radosław Sikorski mówi, że na miejscu prezydenta sprawdziłby, „który z jego doradców był takim durniem".

POBITY MINISTER
Adam Niedzielski, były minister zdrowia w czasach pandemicznych, został pobity w Siedlcach. Dwóch pijanych agresorów zgłosiło się na policję i zostało aresztowanych na dwa miesiące, a z ich zeznań wynika, że wiedzieli, kogo atakują.

ODWOŁANY DYREKTOR
Min. Marta Cienkowska odwołała Krzysztofa Ruchniewicza ze stanowiska dyrektora Instytutu Pileckiego. Zarzuty wobec urzędnika brzmią poważnie: resort kultury twierdzi, że miał nie dopełnić obowiązków „w zakresie umożliwienia statutowego funkcjonowania Instytutu poprzez wadliwe zamierzenia programowe, wadliwą politykę komunikacyjną i wadliwe decyzje zarządcze". ©℗



Siostra kardynał

MICHAŁ OKOŃSKI

Właściwie to ona powinna być kardynałem" – powiedział kiedyś „Tygodnikowi" o s. Małgorzacie Chmielewskiej kard. Konrad Krajewski, i w zasadzie to zdanie mogłoby posłużyć za odpowiedź tym, którzy próbują pozbawić ją (jak to czyni np. poseł Michał Woś) „habitowego autorytetu Kościoła" po tym, jak napisała list otwarty do polskich władz w sprawie prezydenckiego weta do ustawy dotyczącej pomocy obywatelom Ukrainy. Żeby osłabić jego wymowę mówi się, że autorkę powinno się traktować jak działaczkę społeczną, a nie siostrę zakonną.



Problem w tym, że s. Małgorzata nie posługuje się „autorytetem Kościoła"; raczej korzysta z przysługujących jej praw, wielokrotnie potwierdzanych przez biskupów z diecezji, na których terenie działa kierowana przez nią wspólnota Chleb Życia. I raczej tego „autorytetu" broni, niosąc pomoc osobom w kryzysie bezdomności, ofiarom przemocy, wykluczenia, także wojny w Ukrainie.

Nie jest to łatwa służba – miałem okazję się o tym przekonać, towarzysząc jej przy pracy nad książką „Wszystko, co uczyniliście...". Mówiła mi wtedy, że jest „osobą świecką, która w sposób szczególny poświęciła się Panu Bogu poprzez śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa". Nie miejsce tu na tłumaczenie, czym powstające po Soborze nowe wspólnoty różnią się od dawnych zakonów; dość powiedzieć, że nigdy nie udawała kogoś, kim nie jest. „Wiele osób jej nie rozumie. Mówią: co to za zgromadzenie, skoro jest sama? Co to za zakonnica, skoro adoptowała dziecko? Argumenty bezsensowne. Czasem, by ratować drugiego człowieka, trzeba go adoptować" – zauważa trzeźwo kard. Krajewski. Równie trzeźwo można by dodać, że habit s. Małgorzaty – taki mamy kraj – naraża ją raczej na antyklerykalne docinki. I że gdyby nie to, iż w kwestii stosunku do najuboższych, wykluczonych, uchodźców i migrantów nauczanie Kościoła różni się czasem od doraźnych interesów polityków powołujących się na chrześcijaństwo, nikt by jej nie zaatakował. ©℗

JACEK TARAN



Walka o edukację zdrowotną

ARTUR SPORNIAK

Episkopat twierdzi, że to zagrożenie dla rodziny i małżeństwa, ale w rzeczywistości to oni zagrażają dobru dzieci, promując model edukacji oparty na milczeniu i wstydzie" – tak o stosunku biskupów do edukacji zdrowotnej mówił Paweł Mrozek, założyciel Akcji Uczniowskiej. Młodzi w pierwszy dzień szkoły protestowali przed siedzibą Konferencji Episkopatu Polski w Warszawie przeciwko – jak to ujęli – „manipulacji i sianiu paniki wśród rodziców". Chodzi o list Prezydium Konferencji Episkopatu Polski z 14 maja, który wprowadzany przez MEN przedmiot określił jako „systemową deprawację dzieci" i wezwał rodziców do bojkotu zajęć.

List rzeczywiście zawiera wiele przekłamań. Nieprawdą jest np., że rodzina „jest całkowicie zmarginalizowana", a „macierzyństwo ukazane jest jako źródło zagrożeń" – program w wielu miejscach mówi o znaczeniu rodziny. Nieprawdą też jest, że aktywność seksualną „przedstawia się jako wyzwolenie z wszelkich barier, w tym granic wiekowych i odpowiedzialności za jej skutki". Przeciwnie, w podstawie programowej nacisk położony jest właśnie na kształtowanie odpowiedzialności i roztropności.

Natomiast prawdą jest, że w podstawie niewiele mówi się o małżeństwie. Jej autorzy ujmują seksualność człowieka całościowo i w indywidualnym rozwoju, nie redukując jej – jak to czyni Kościół w swoim nauczaniu – jedynie do społecznej funkcjonalności w małżeństwie. I o to głównie toczy się spór.

Pierwszy miesiąc szkoły zapowiada się więc gorąco, bo rodzice mogą wypisać dzieci z tego przedmiotu do 25 września. A przecież nie tylko biskupi wzywają do bojkotu. Skupiająca prawicowe i narodowe środowiska Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły na wrześniową kampanię billboardową zebrała blisko 170 tys. złotych. Z danych, jakie uzyskała wspierająca zdrowie psychiczne Fundacja Growspace, wynika, że w 68 proc. gmin udało się skompletować nauczycieli do nauczania nowego przedmiotu. Wciąż nie wiadomo, jakie będzie na nich zapotrzebowanie. Choć niektóre gminy – np. na Podhalu – już wiedzą, że rodzice edukacji zdrowotnej nie chcą. ©℗



KERRY WEBER / CC BY-SA 4.0

O. JAMES MARTIN, JEZUITA:

Posłuchajmy, jak katolicy LGBTQ doświadczają Boga. I jak są traktowani w Kościele.

ZUZANNA RADZIK: Pielgrzymka katolików LGBTQ znalazła się w watykańskim programie Roku Jubileuszowego. Czy osiem lat temu, gdy pisał Ojciec książkę „Budowanie mostu", wydawało się to możliwe?
O. JAMES MARTIN: Nie mogłem się tego spodziewać. Ale książka powstała w czasie pełnego niespodzianek pontyfikatu papieża Franciszka, który wykonał wspaniałą pracę, by dotrzeć duszpastersko do katolików LGBTQ.

Dużo się zmieniło przez te osiem lat?
Po pierwsze i najważniejsze, Franciszek wezwał wszystkie państwa do „dekryminalizacji" homoseksualizmu, a to duży krok dla Kościoła. Wciąż w kilku krajach można zostać straconym za kontakty z osobami tej samej płci, w blisko 70 innych grozi więzienie. Po drugie, papież często mówił o (i do) katolików LGBTQ, na przykład przypominając rodzicom, by nie odrzucali, ale kochali swoje homoseksualne dzieci. I po trzecie – regularnie spotykał się z osobami, które sprawowały posługę duszpasterską wśród katolików LGBTQ, w tym ze mną. W znaczeniu duszpasterskim to znaczny postęp.

A co się nie zmieniło, choć powinno?
Niestety, w wielu krajach katolicy LGBTQ nadal czują się jak „trędowaci" we własnym Kościele. Są traktowani bardzo źle. Są nawet bici, nękani i prześladowani w niektórych miejscach, a Kościół nie stawia oporu tej przemocy.

Powiedziałbym, że proces ich włączania do wspólnoty Kościoła składa się z pięciu etapów. Pierwszy to uznanie ich istnienia. Drugi – wysłuchanie ich doświadczeń, nie tylko związanych z byciem gejem lub lesbijką, ale także z ich relacją z Bogiem. Trzeci – przyjęcie ich w parafiach, najlepiej jak to możliwe, w zależności od kulturowych uwarunkowań. Czwarty – wspieranie ich, gdy są prześladowani w społeczeństwie. I piąty – próba włączenia ich do duszpasterstwa parafialnego, na przykład jako lektorów. W niektórych miejscach Kościół wciąż jest na pierwszym etapie.

W ramach Pielgrzymki Jubileuszowej organizuje Ojciec w Watykanie międzynarodowe spotkanie na temat doświadczenia katolików LGBTQ. Co chce Ojciec przez to osiągnąć?
Myślę, że nie tylko w Watykanie, ale wszyscy powinni usłyszeć, jak katolicy LGBTQ są traktowani przez społeczeństwo i przez Kościół. Ale także o ich doświadczeniu Boga. Zbyt często myślimy o nich jako o ideologii, podczas gdy są ludźmi, takimi jak my.
Którzy, tak jak inni wierzący, doświadczają Boga poprzez Kościół. Kiedy słucham o ich doświadczeniach, widzę, jak bardzo pragną nadal być częścią Kościoła, choć ten często zaprzecza ich istnieniu. Myślę wtedy o tym, co powiedział Jezus o rzymskim setniku: „Nigdy w Izraelu nie widziałem takiej wiary". ©

JAMES MARTIN – *jezuita, redaktor pisma „America", duszpasterz katolików LGBTQ i organizator ich pielgrzymki do Rzymu z okazji Roku Jubileuszowego (29 sierpnia-6 września 2025 r.)*

Poradnik na wypadek wojny

OBRONA CYWILNA ▪ Ministerstwo Obrony wraz z MSWiA i Rządowym Centrum Bezpieczeństwa opublikowały „Poradnik Bezpieczeństwa". Na razie dostępny jest w wersji elektronicznej. Wersja papierowa ma wkrótce trafić do wszystkich polskich domów.

Liczącą 54 strony broszurę (dostępną np. na stronie MON) napisano przystępnym językiem i zilustrowano w czytelny, instruktażowy sposób. Jej treść to trzy bloki: przygotowanie, reagowanie i plan na kryzys. Zawarto w niej instrukcje na wypadek klęsk żywiołowych, ataków z powietrza, zagrożeń biologicznych czy nuklearnych, terroryzmu i dezinformacji. Np. zaleca się przygotowanie tzw. plecaka ewakuacyjnego dla każdego domownika, zgromadzenie zapasów na minimum trzy dni i opracowanie rodzinnego planu kryzysowego.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że choć zawarte w informatorze porady mogą być pomocne, to często są one zbyt pobieżne i skupiają się na zachowaniach naprawdę podstawowych, których znajomość powinniśmy wynieść ze szkoły czy z domu.

Minister Kosiniak-Kamysz podczas konferencji prasowej nie krył dumy, podkreślając wyjątkowość publikacji. „Przedstawiamy coś niezwykłego" – chwalił. To wprawdzie pierwszy dokument tego typu w Polsce, ale podobne od dawna istnieją w innych krajach Europy. Nie jest więc niczym nowym – Skandynawowie rozdają takie broszury od dawna, Niemcy od lat uczą dzieci, jak reagować w kryzysie. Oczywiście, że lepiej późno niż wcale, trudno jednak nie zauważyć, że to listek figowy zakrywający większy problem.

Jeśli bezpieczeństwo ludności cywilnej ma się sprowadzać do kolorowej broszury, to oby kryzys zaczekał, aż skończymy ją czytać. To, co naprawdę jest skuteczne, to wiedza poparta ćwiczeniami. Tymczasem brakuje nam programu szkoleń dla obywateli, poważnych inwestycji w obronę cywilną, a szeroki plan budowy schronów, zapowiadany wiosną tego roku, nadal nie ujrzał światła dziennego.

Usunięte ze szkół w 2012 r. przysposobienie obronne, uznane za przeżytek, zastąpiono przedmiotem edukacja dla bezpieczeństwa – lekceważonym często tak przez uczniów, jak i nauczycieli. Dziś, wobec rosnących zagrożeń, trudno przecenić wartość wiedzy praktycznej.

Poradnik może być początkiem, ale nie finałem. Na nic wiedza o plecaku ewakuacyjnym, jeśli większość społeczeństwa nie wie, gdzie jest najbliższy schron ani jak współdziałać w sytuacji zagrożenia. Potrzebujemy szkół, które uczą reagowania, samorządów, które ćwiczą mieszkańców, i państwa, które nie tylko mówi „przygotuj się", ale daje też narzędzia. ©℗ JACEK TARAN

Morski robak produkuje malarski barwnik



WANG H. ET AL. / PLOS BIOLOGY / CC-BY 4.0

BIOLOGIA ▪ Mistrzowie malarstwa już w czasach starożytnych uzyskiwali złoty kolor na swoich obrazach dzięki orpimentowi – rzadkiemu minerałowi, będącemu związkiem arsenu i siarki, znajdowanemu w gorących źródłach czy w fumarolach (otworach w ziemi, przez które wydostają się gazy wulkaniczne). Naturalny orpiment ma dla malarzy liczne wady – jest toksyczny, długo schnie, trudno go mielić i nie reaguje dobrze na światło, a w literaturze znaleźć można także doniesienia o tym, że nie miesza się łatwo z innymi barwnikami. Niektóre z tych wad udało się wyeliminować poprzez wprowadzenie sztucznego orpimentu, uzyskiwanego metodami chemicznymi, który odkryto m.in. na XVII-wiecznych obrazach Rembrandta i w jego warsztacie malarskim (w powszechnym zaś użyciu sztuczny orpiment znalazł się dopiero w XIX w., po wynalezieniu jeszcze innej metody jego produkcji).

Tymczasem okazało się, że ludzie nie są jedynym gatunkiem, który opanował sztukę syntezy tego zasłużonego w kulturze związku – choć tylko my potrafimy to robić na zewnątrz swojego ciała. Jak donoszą na łamach „Plos Biology" Hao Wang z Instytutu Oceanologii Chińskiej Akademii Nauk w Qingdao i współpracownicy, w naturze orpiment wytwarza także niewielki robak morski z gromady wieloszczetów – *Paralvinella hessleri*. To jedyne znane zwierzę, które przystosowało się do życia w ekstremalnych warunkach, jakie panują w kominach hydrotermalnych zlokalizowanych na dnie Pacyfiku.

Żyjątko to musi zmagać się nie tylko z wysokimi temperaturami, ale również z wysokim stężeniem toksycznych związków siarki i arsenu. *P. hessleri* najwyraźniej znalazł sposób, by jedną i drugą truciznę unieszkodliwiać, syntezując z obu w swoich komórkach warstwę złotego barwnika, która nie wyrządza mu szkody. Dla zwierzęcia złoty kolor, nadawany przez akumulowany w ciele barwnik, prawdopodobnie jest cechą pozbawioną znaczenia, ponieważ żyje ono w całkowitych ciemnościach. Autorzy odkrycia przypuszczają, że podobna strategia „zwalczania jednej toksyny przy pomocy innej" może być kluczem do sukcesu także innych mieszkańców ekstremalnych ekosystemów.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Ksenotransplantacja

MEDYCYNA ▪ Przed każdym przeszczepieniem narządu konieczny jest odpowiedni dobór dawcy. Bada się wówczas m.in. grupę krwi obu stron oraz zgodność ich układów tkankowych (HLA). Ważne jest, aby układ odpornościowy biorcy nie wywołał odrzucenia narządu w pierwszych chwilach po transplantacji. Z tego powodu tak trudno jest niekiedy dopasować narząd między ludźmi. Jeszcze trudniejsze jest wprowadzenie do medycznej praktyki ksenotransplantacji, czyli ienia narządów zwierzęcych ludziom. Chyba że genetycznie zmodyfikujemy zwierzęce narządy tak, aby obecne w nich białka nie aktywowały układu odpornościowego biorcy. Takich prób było już kilka – w Chinach przeszczepiono człowiekowi świńską wątrobę, a w Stanach Zjednoczonych serce i nerkę.

W „Nature Medicine" badacze z Uniwersytetu Medycznego w Kantonie w Chinach opisują przypadek pierwszego przeszczepienia płuca ze zmodyfikowanej genetycznie świni człowiekowi. Biorcą był niespełna 40-letni mężczyzna, u którego stwierdzono śmierć mózgu. Z kolei dawcą płuca została świnia z usuniętymi trzema genami mogącymi powodować ostre odrzucenie narządu i wprowadzonymi trzema genami ludzkimi.

Narząd ze sporymi problemami przetrwał dziewięć dni – wystąpił obrzęk płuca, a biorca był wydolny oddechowo dzięki drugiemu własnemu płucu. Eksperyment zakończono na prośbę rodziny biorcy. Jednak każda tego typu próba jest wartym odnotowania krokiem w kierunku genetycznie szytych na miarę narządów gotowych do pracy w nowym organizmie. © BARTOSZ KABAŁA

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

LEKCJE OD CZATBOTA

Trzydzieści kilka miesięcy od debiutu ChataGPT wystarczyło, by wywrócić do góry nogami codzienność uczniów i nauczycieli. I wyostrzyć pytanie: po co nam dziś właściwie szkoła?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



Ona jest po czterdziestce, od niemal 20 lat uczy w przemyskiej podstawówce polskiego. On ma lat 18 i zaczyna czwartą klasę liceum. Ją, „dziecko XX wieku", jak sama o sobie powie, technologiczne przełomy złapały w pełni kariery, wywołując rewolucję. Dla niego, urodzonego w 2007 r. „dziecka XXI stulecia", to kolejne z serii udogodnień.

Iwonę i Artura Zających – matkę-nauczycielkę i syna-ucznia – zapytałem m.in. o to, jak zapamiętali początki ChataGPT, czyli pierwszego opartego na tzw. generatywnej sztucznej inteligencji (GSI) czatbota.

– Nie jestem z tych „ciekawskich", którzy muszą wszystko, co nowe, od razu wykorzystać, i którzy walczą o tablicę multimedialną. Tak, uważam się za „nauczyciela XX wieku", który mówi: „Wyciągnijcie karteczki i zanotujcie polecenia" – śmieje się donośnie Iwona Zając, gdy rozmawiamy tydzień przed początkiem roku szkolnego. – W dodatku widzę, jak dzieci są przebodźcowane, i jaką nowością jest dla nich nie kolejna technologia, tylko otwarcie książki. A jednak po wejściu ChataGPT przekonałam się, że czasami warto go używać, by usprawnić swoją pracę.

– Wszedł do użytku, gdy kończyłem podstawówkę – zapamiętał z kolei Artur. – Przez jakiś czas trzymałem się od niego z dala: rodzice zrzędzili, że „sztuczna inteligencja to i tamto", mając na myśli związane z nią zagrożenia. Ale i tak dowiadywałem się trochę o jej funkcjonowaniu od kolegów. Jedni używali ChataGPT dla żartów, innym od początku służył do pisania zadań. Zanim nauczyciele ogarnęli, co to w ogóle jest ta sztuczna inteligencja, prace czy eseje generowane przez AI spokojnie przechodziły jako napisane samodzielnie.

Od końca listopada 2022 r., czyli pojawienia się tego narzędzia, minęły niecałe trzy lata – w przeliczeniu: 33 miesiące. Wystarczająco długo, by zrewolucjonizować życie nauczycieli i uczniów.

Nauczyciel w butach ucznia

Przykład pierwszy: Iwona Zając zapoznała ChatGPT z fragmentem „Syzyfowych prac". – Wrzuciłam ten fragment i poprosiłam, by wygenerował dla jednej z klas karty pracy z ilustracjami i poleceniami dotyczącymi lektury, np. tabelami do charakterystyki postaci – opowiada przemyska polonistka. – Takie karty można wygenerować do niemal każdego tematu, wystarczy w prompcie [poleceniu wydanym modelowi sztucznej inteligencji – red.] wskazać precyzyjnie, o co chodzi.

Przykład drugi: języki obce. Tu akurat Iwona Zając występuje w roli uczennicy. – Mamy z mężem płatną wersję narzędzia Perplexity AI, którego używam do nauki włoskiego. Wystarczy np. poprosić o kurs dla początkujących z przydatnymi słowami, zwrotami, dialogami i ćwiczeniami np. w temacie zakupów. Za chwilę lekcja jest gotowa.

Innych przykładów użycia AI przez nauczycieli dostarcza tegoroczny raport NASK „Generatywna sztuczna inteligencja w polskiej szkole. Przecieranie szlaków". Użycia przez – dodajmy – wyraźną mniejszość pedagogów, bo w czasie przeprowadzania badania ilościowego (początek roku 2024) pierwsze próby zaprzęgania AI do pracy miał co czwarty, w przypadku zaś ledwie garstki (6 proc.) były to próby wielokrotne.

„Gdy mam do napisania jakiegoś dłuższego maila [do rodziców dzieci – red.], zwłaszcza nieprzyjemnego maila, to wrzucam punkty, o które mi chodzi, na ogół 3, 4 i piszę, żeby [ChatGPT – red.] napisał to bardziej uprzejmie" – zwierza się w raporcie jedna z respondentek. Wśród innych wskazań często pojawia się możliwość indywidualizacji materiałów, np. dla dzieci ze specjalnymi potrzebami („Zaznaczam to w prompcie, żeby [ChatGPT – red.] dostosował to dla potrzeb osób z orzeczeniem o dysleksji, on wtedy daje [...] krótsze słowa [...], daje też mniej pułapek ortograficznych").

Inne przykłady częstych zastosowań AI przez nauczycieli (patrz infografika) to wedle raportu NASK m.in. tworzenie sprawdzianów i testów, tłumaczenie materiałów edukacyjnych czy prowadzenie zajęć nt. nieetycznego wykorzystania GSI (wszystkie ponad 30 proc. wskazań nauczycieli).

Choć raport portretuje rzeczywistość sprzed ponad roku, eksperci są raczej zgodni: sztuczna inteligencja nie stała się – delikatnie mówiąc – narzędziem codziennego użytku nauczycieli. – Warto zrozumieć, co może być źródłem oporów – mówi prof. Jacek Pyżalski, pedagog UAM, ekspert ds. nowych technologii w edukacji, redaktor i współautor wspomnianego raportu. – Mowa o narzędziach, które jak żadne inne wkładają nauczycieli w buty początkujących. A my, pedagodzy szkolni i akademiccy, nie zawsze taką rolę lubimy. To myślenie w stylu: mam swoją zawodową pozycję, swoje metody i efekty, a tu wchodzi narzędzie, które przewraca do góry nogami i to, jak uczyć, i czego uczyć. A wraz z tym myśleniem pojawiają się lęki. Może to, co robiłem do tej pory, nie ma sensu? Może nie będę potrzebny?

Gdy pytam Iwonę Zając, jakie uczucia wobec AI panują wśród nauczycielek, odpowiada: – Raczej obawa i lęk. W ogóle mnie to nie dziwi: ja, nauczycielka w średnim wieku, uchodzę za młodą, praktykanta nie widziałam od lat, a naprawdę młodzi bywają u nas na korytarzach tylko księża.

Badania zdają się potwierdzać, że na razie skala obaw przewyższa odsetki tych, którzy AI próbują zaprzęgać do pracy. Wedle raportu NASK aż 81 proc. pytanych nauczycieli za prawdopodobną lub bardzo prawdopodobną uważa sytuację, w której młodzi ludzie zaczną się od narzędzi AI uzależniać. A nieco mniej, ale też ponad 70 proc. obawia się zatarcia granicy między światem realnym a wirtualnym, osłabienia umiejętności samodzielnego myślenia, wreszcie oszustw dokonywanych przy użyciu AI.

Uczeń w okularach

– Proszę pójść na dowolny egzamin na dowolnej uczelni wyższej, a przekona się pan, jak wielu mamy obecnie okularników – uśmiecha się profesor dużej uczelni z dużego miasta. Gdy pytam, czy chodzi o coraz powszechniejszy problem wad wzroku, precyzuje: – Chodzi o coraz powszechniejszy problem używania okularów do ściągania odpowiedzi sztucznej inteligencji na egzaminach. Służą do tego zresztą nie tylko okulary, ale też np. zegarki, które sczytują z egzaminacyjnej kartki pytania i automatycznie na nie odpowiadają. Oczywiście, jeśli jest to filozofia Heideggera, to AI sobie z tym nie poradzi. Ale jeżeli przeprowadzam na pierwszym roku egzamin z makroekonomii, to na podstawowe pytania ChatGPT odpowie w sekundę, a ja będę wobec tego bezradny – słyszę od profesora, który już w czasie autoryzacji prosi, by nie podawać jego nazwiska, bo „nie chce mieć na głowie władz uczelni". ↦

CHARLES TAYLOR / ADOBE STOCK

↦ Ten sam temat – potencjalnych oszustw przy użyciu AI – zdążył już też zaistnieć w kontekście matur. Na medialne doniesienia, że nowa technologia radzi sobie z „egzaminem dojrzałości" bez trudu, i że wyposażone w AI okulary nie są łatwe do zdemaskowania, zareagowało już nawet rytualnie Ministerstwo Edukacji Narodowej: resort oświadcza, że „bada sprawę".

W dość zgodnej opinii ekspertów jakikolwiek sens straciły zadawane do domu prace pisemne. Zresztą z debiutem nowej technologii zbiegła się decyzja MEN, by ograniczyć ich zadawanie. Decyzja o tyle niespójna, że ograniczenia dotyczą podstawówek – a to przecież w liceach, gdzie prace domowe są nadal w pełni dozwolone, proceder „wynajmowania" ChataGPT wydaje się najczęstszy.

Artur, przemyski licealista, zauważa, że sztuczna inteligencja nie uchroni nikogo przed klęską, jeśli zlekceważy inteligencję naturalną. – Znam np. sytuację, że nieczytający za bardzo uczeń napisał pracę, w której miał powołać się na lekturę z klasy drugiej, do której uczęszczał. ChatGPT się pomylił i przytoczył książkę z III klasy. Niby nic złego, ale dla nauczyciela był to jasny sygnał, że coś jest nie tak – śmieje się Artur.

A jego mama-polonistka relacjonuje dialog ze swoim uczniem. – Złapałam gościa na zdaniu: „Hobbit jest wielką metaforą zmian w ludzkim życiu" – opowiada Iwona Zając. – Gdy poprosiłam go o wyjaśnienie, co to właściwie oznacza, odpowiedział, że pisał z mamą. Spytałam więc od razu mamę, czy to prawda, na co ona odparła, że niczego podobnego by nie napisała. A mój uczeń w końcu przyznał, że autorką sentencji jest AI.

Choć wedle raportu „Polska edukacja w cieniu AI" poznańskiej uczelni Collegium Da Vinci 52 proc. wykładowców akademickich uważa, że używanie sztucznej inteligencji do pisania to oszustwo, to niewiele z tego poglądu wynika. O ile „tradycyjny" plagiat był i jest łatwy do wykrycia, wytwory AI już takiej prostej weryfikacji nie podlegają. W podkaście „Nauka. To Lubię" Tomasza Rożka ilustrację tej niemocy przedstawiał ekspert Mateusz Chrobok, opowiadając o próbie użycia narzędzia pod nazwą ZeroGPT, mającego wykrywać wytwory AI. Chrobok przepuścił przez to narzędzie fragment... Listu do Koryntian, werdykt zaś „wykrywacza" brzmiał: tekst w około 50 procentach wytworzyła sztuczna inteligencja.

ARTUR, LICEALISTA:

Zanim nauczyciele ogarnęli, co to w ogóle jest ta sztuczna inteligencja, prace czy eseje generowane przez AI spokojnie przechodziły jako samodzielne.

Konkluzja wydaje się dość oczywista: szkoła musi odejść od zadawanych hurtem prac pisemnych, a skupić się na bezpośredniej relacji i rozmowie, która lepiej weryfikuje zdolności ucznia do samodzielnego myślenia. Nauczyciel zaś – przestawić się z roli „kogoś, kto mówi, jak jest, w przewodnika po dżungli informacji", jak podsumowywał w cytowanym podkaście Tomasz Rożek.

Od gitary po flirt

– Zajmuję się hobbystycznie fotografią, gram na gitarze – opowiada Artur. – Zdarzyło mi się poprosić ChatGPT, by porównał parametry wzmacniaczy gitarowych. AI pomagała mi też stworzyć stronę poświęconą fotografii.

W edukacji szkolnej Artur, jak zapewnia, nie korzysta z ChataGPT na zasadzie kopiuj-wklej. – Owszem, nie jestem święty, posiłkowałem się sztuczną inteligencją, pisząc prace, ale kazałem jej podawać źródła generowanych treści, a potem sam je weryfikowałem – mówi.

I opowiada o zastosowaniu AI do nauki języków obcych, co każe pytać o przyszłość metodyki ich nauczania. – Wrzucam zdjęcie napisanego przez siebie tekstu – mówi Artur. – Po sekundzie mam nie tylko ten tekst sprawdzony pod kątem błędów, ale też omówienie, jak powinno być poprawnie. W kolejnym kroku mogę wygenerować ćwiczenia na utrwalenie tego, czego się na tych błędach nauczyłem.

Podobnie jest, dodaje Artur Zając, z przerabianiem angielskiej gramatyki: – Tu mogę zacząć od YouTube'a, gdzie nauczyciel w krótkim filmie i w przystępnej formie tłumaczy zastosowanie jakiejś struktury językowej. Potem wrzucam do ChataGPT polecenie, by zrobił mi ćwiczenia z tego zagadnienia, np. czasu gramatycznego, na poziomie maturalnym. I on to skutecznie robi.

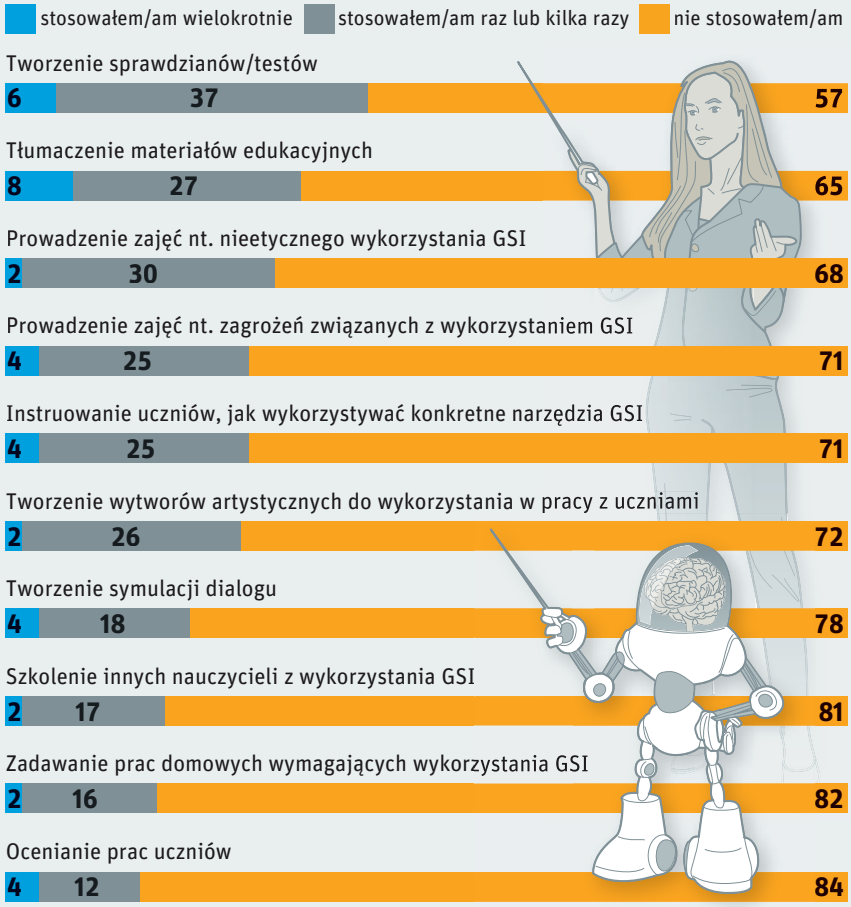
O uczniach po niemal trzech latach od debiutu ChataGPT wiadomo w kontekście AI mniej niż o nauczycielach. Ale nawet strzępki niereprezentatywnych danych sugerują, że młode pokolenie poczyna sobie z nowymi narzędziami śmielej. Np. już na początku 2024 r. sześciu na dziesięciu uczniów liceów STO, czyli największej sieci szkół niepublicznych, używało narzędzi AI do nauki. Wśród zastosowań wygrał bezapelacyjnie język polski i pisanie prac (ponad 70 proc. wskazań), na drugim miejscu znalazły się języki obce (o połowę mniej).

Prof. Pyżalski, który w ramach projektu „EU Kids Online" zbiera pogłębione wywiady z nastolatkami z krajów europejskich dotyczące używania AI, mówi o zmianach wykraczających poza sferę ściśle edukacyjną. – Np. jedna z młodych respondentek opowiada, że pokłóciła się z przyjaciółką, a ChatGPT napisał za nią list z przeprosinami – referuje trwające dopiero badania pedagog UAM. – Inna nastolatka siedziała z koleżanką i odbierała wiadomości od kolegi, który się jej podobał. No i te odpowiedzi wklejała do czata, który podpowiadał, jak na zdania chłopaka reagować. Młodzi ludzie używają też narzędzi AI, by poprawić sobie nastrój, i aby poradzić się w kwestii zdrowia psychicznego. Sztuczna inteligencja to zapowiedź społecznej zmiany wywracającej do góry nogami nie tylko szkołę jako miejsce nauki, ale też przestrzeń socjalizacji.

Dlatego słowo „rewolucja", dodaje prof. Pyżalski, nie jest tu od rzeczy. – Po pierwsze dlatego, że narzędzia AI generują „własne" treści, a nie te już istniejące. Po drugie, z tego powodu, że komunikują się naturalnym językiem z ludźmi, tworząc z nami para- albo hiperrelacje. Wreszcie po trzecie: sztuczna inteligencja wykonuje czynności, których sami uczyliśmy przez lata i uczymy nadal w szkole. I to z obszarów kultury oraz języka, zarezerwowanych dotąd dla człowieka – zauważa ekspert.

Jaka jest skala tej rewolucji w oczach samych uczestników systemu oświaty? Wspomniany raport „Polska edukacja w cieniu AI" pokazuje, że duża. Np. połowa przepytanych wykładowców

RÓŻNE ZASTOSOWANIA GENERATYWNEJ SZTUCZNEJ INTELIGENCJI (GSI) PRZEZ NAUCZYCIELI/NAUCZYCIELKI (W PROC.)



ŹRÓDŁO: NASK, GENERATYWNA SZTUCZNA INTELIGENCJA W POLSKIEJ SZKOLE. PRZECIERANIE SZLAKÓW

LECH MAZURCZYK

uważa, że w efekcie rozwoju nowych technologii część zdobywanych obecnie przez absolwentów umiejętności będzie nieaktualna już w dniu ukończenia edukacji. A 92 proc. przedstawicieli świata biznesu sądzi, że zawód, w którym dzisiejsi uczniowie i absolwenci będą pracowali za pięć lat, jeszcze nie został wymyślony (w badaniu, które nie było reprezentatywne, wzięło udział prawie 2,4 tys. osób, z czego większość stanowili uczniowie, studenci i nauczyciele).

Co to wszystko razem oznacza dla szkoły? Jest jeszcze coś, co uzasadnia jej istnienie? I jak się musi zmieniać, by nie przeobrazić się w muzeum?

Nie pytajmy o sukienkę Zosi

– Do niedawna powtarzano, że szkoła traci sens jako miejsce przekazywania wiedzy – zauważa prof. Jacek Pyżalski. – Teraz pod znakiem zapytania staje również szkoła jako miejsce przyswajania umiejętności i kompetencji. Bo jeśli AI wykonuje tak wiele czynności, to powstaje pytanie: po co mamy uczyć ich wykonywania? I jakie umiejętności nadal mają sens?

Odpowiedź pierwsza z brzegu brzmi: sens ma nauczanie umiejętności obsługi i rozumienia samej AI. Jak mówi pedagog UAM, wywiady z nastolatkami z krajów europejskich skłaniają do jednego wniosku: młodzi ludzie szeroko ją stosują, ale miewają na jej temat wąską wiedzę. Wedle raportu „Polska edukacja w cieniu AI" ponad połowa studentów (51 proc.) uważa, iż obsługa narzędzi sztucznej inteligencji powinna być formalnie włączona w proces edukacji.

I śladowo już włączana jest. Np. w podstawie programowej nowego, nieobowiązkowego przedmiotu „Edukacja zdrowotna", który zdążył już oburzyć część ekspertów, polityków i biskupów z powodu rzekomej seksualnej deprawacji, jaką niesie, sztuczna inteligencja pojawia się dwa razy. W kontekście dezinformacji, fake newsów, ale też korzyści wynikających z nowej technologii.

Gdy pytam dr. hab. Macieja Jakubowskiego, szefa wyznaczonego do zreformowania podstaw programowych Instytutu Badań Edukacyjnych, czego możemy się spodziewać po nadciągającej reformie, zaczyna od zastrzeżeń: – Tempo zmian sprawia, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć skali postępu za dwa lata. Proszę też pamiętać, że nowe podstawy programowe się dopiero tworzą, no i że są pisane ogólnym językiem, z założenia pozbawionym szczegółów – mówi Jakubowski.

Za moment jednak dodaje: – W nowych podstawach programowych, które zaczną obowiązywać od 2026 r. i lat późniejszych, zasadą będzie większa przestrzeń na myślenie, krytycyzm, a mniejsza na „przerabianie materiału" jak z checklisty. To oczywiście oznacza różne rzeczy na różnych przedmiotach, bo o ile na informatyce będzie więcej na temat samej AI, to na języku polskim będziemy uczyć analizy fake newsów, a na matematyce analizy danych, która jest przecież kluczem do zrozumienia mechanizmu działania sztucznej inteligencji.

W ślad za podstawami programowymi zmienią się też egzaminy: mają w jeszcze mniejszym niż do tej pory stopniu sprawdzać wiedzę, a w większym umiejętność „łączenia kropek". – Nie możemy już pytać, „jaką Zosia miała sukienkę w »Panu Tadeuszu«" – mówi skrótem Jakubowski. – Filarem tej reformy jest też zasada sprawczości: uczniowie mają nabywać umiejętności, które mają im się następnie przydać. I ta zasada świetnie pasuje do tematu AI.

– Sztuczna inteligencja już wyręcza nas w wielu rzeczach, a będzie zastępować nas jeszcze częściej – zauważa Agata Łuczyńska, prezeska Fundacji Szkoła z Klasą. – Z jednej strony nam pomaga, z drugiej masowe jej użycie zagraża umiejętności samodzielnego myślenia. Dlatego szkoła powinna być miejscem „przeczołgiwania" naszych neuronów, skoro na co dzień coraz rzadziej to robimy.

Ale reforma, która ma to dekretować, doczekała się już krytyki. Nie tylko ze względu na swoje założenia, ale też pomijanie w zmianach problemów nauczycieli. Papier, powiadają krytycy, przyjmie ↦

↦ wszystko, ale na koniec wdrażać zmiany będą musieli pedagodzy. Często zniechęceni, jeszcze częściej finansowo niedowartościowani i przekonani, że ze zmieniającym się naokoło światem muszą radzić sobie sami.

– Szkolenie z użytkowania ChataGPT zorganizowałam sobie we własnym zakresie – przyznaje Iwona Zając.

– Może trzeba było poprosić o to dyrekcję? – pytam.

– Raczej niewiele by to dało – uśmiecha się nauczycielka. – Co roku próbuję przekonać szefostwo do sensowności konferencji neurodydaktycznej za 500 złotych. Dostaję odpowiedź, że nie ma pieniędzy, i że mogę przejść... szkolenie z Librusa. Tylko że ja nie chcę słuchać znowu o Librusie, a o AI owszem. Więc wybieram materiały darmowe, np. popularny webinar na YouTubie.

Okiełznać AI

Sam ChatGPT zapytany, czy tradycyjna szkoła i nauczyciel nie staną się aby niepotrzebni, stanowczo zaprzecza, a jako argumenty wypluwa komunały o relacjach, empatii i krytycznym myśleniu.

Nie wspomina o tym, że cokolwiek się będzie działo, musimy wszystkich obywateli nauczyć czytać, pisać i liczyć. – Rola szkoły jako instytucji wyrównującej szanse nie tylko się nie zmniejszy, ale może wzrosnąć – zauważa Agata Łuczyńska. – Choćby dlatego, że dostęp do technologii AI będzie łatwiejszy dla osób posiadających zasoby.

DR HAB. MICHAŁ KRZYKAWSKI
EKSPERT:
Szkoła musi uczyć o wpływie AI na psychikę ludzi, o jej ogromnym koszcie ekologicznym, o tym, że to również nowa forma władzy.

ChatGPT nie napomyka też, że nauka obsługi narzędzi AI to również nauka komunikacji. – W cenie będą paradoksalnie najbardziej klasyczne elementy wykształcenia – mówi prof. Pyżalski. – Przecież ChatGPT to umiejętność promptowania, a promptowanie to też zasady logiki, erystyki, precyzji komunikatu.

A już tym bardziej czatbot nie mówi o czymś, o czym wspominają tylko nieliczni eksperci: że pojawieniu się sztucznej inteligencji towarzyszy ideologia propagowana przez jej twórców.

– Chodzi o ideologię bezmyślnej adaptacji do AI, wyrażaną zdaniami typu: „Tego się nie da zatrzymać" – mówi dr hab. Michał Krzykawski, zajmujący się na Uniwersytecie Śląskim m.in. filozofią nauki i techniki. – Szkoła musi pomagać zrozumieć, jak te nowe narzędzia działają, ale nie tylko w sensie czysto technologicznym. Musi uczyć o ich wpływie na psychikę ludzi, o ich ogromnym koszcie ekologicznym, o tym, że moce obliczeniowe AI to również nowe formy władzy, intelektualnej kontroli, prowadzenia wojny itd. Musi opowiedzieć o tym, że pojawianie się AI w momencie, gdy pod nogami pali nam się ziemia, może nieść dodatkowe konsekwencje, i dlatego wymaga spojrzenia szerszego niż perspektywa pojedynczego użytkownika. Tylko jeśli sobie o tym powiemy i to zrozumiemy, staniemy się świadomymi i krytycznie myślącymi operatorami tej technologii, a nie konsumentami bezwolnie polegającymi na przeliczanych przez nią treściach.

Szkoła, puentuje prof. Pyżalski, musi nam pomóc sztuczną inteligencję okiełznać. – Tak, właśnie okiełznać, zgodnie z tytułem pewnej angielskiej publikacji, która traktowała o AI w edukacji – mówi naukowiec. – Słowo „okiełznać" implikuje coś dużego i poważnego: przecież nikomu nie przychodzą do głowy próby okiełznania chomika. Tylko wtedy, gdy nauczymy nauczycieli i uczniów oswajać rumaka AI, może on galopować na nasz pożytek. W przeciwnym razie zacznie biegać bez kontroli i wszystko nam zdemoluje. © PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny (pełniący obowiązki): Michał Kuźmiński
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępczyni redaktora naczelnego: Ewelina Burda
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran

TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
Dyrektor ds. transformacji: Michał Bagiński
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Karolina Biały, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Justyna Hernas (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

TYGODNIK POWSZECHNY



JESIEŃ NAJLEPSZA NA CZYTANIE

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł
- Prenumerata półroczna: 367 zł
- Prenumerata roczna: 687 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

RITHIKA GOPAL / UNSPLASH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ

CRASH TEST TRZECIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Niesamowite w polskiej polityce jest to, że złudzeniem ostatecznej anihilacji przeciwników karmią swoich wyznawców obaj słabnący liderzy duopolu, a tak wiele osób – wbrew bijącym po oczach faktom – podziela ich mrzonki.

JAROSŁAW FLIS



Karol Nawrocki postanowił wejść z przytupem na polską scenę polityczną. Po hucznej inauguracji i serii błyskawicznych wet, przyszedł czas na Radę Gabinetową – instytucję przewidzianą przez twórców konstytucji jako sposób na skoordynowanie wysiłków dwóch ośrodków władzy o poplątanych kompetencjach. Posiedzenie Rady okazało się jednak widowiskiem przewidywalnym. Nie tylko dlatego, że obie strony w komentarzach ogłosiły swój sukces. Najbardziej charakterystycznym elementem całej sytuacji były odniesienia do konstytucji i jej przestrzegania. Nie jest niczym zaskakującym, że każda ze stron chciałaby przestrzegać tylko tych przepisów, które jej pasują. Tym bardziej warto się przyjrzeć, jak działają one w praktyce, skoro nowy „strażnik żyrandola" zaapelował o nową konstytucję.

Prezydent, wraz z politykami PiS, uważa obecną sytuację za bardzo obiecującą – Nawrocki będzie „poganiał rząd", czyli w praktyce nieustająco go krytykował, blokując jednocześnie wszystkie przedsięwzięcia, z powołaniem się na „narodowy interes" czy też wyborcze zobowiązania. Po dwóch latach takiego przeczołgiwania obóz rządzący ma być w podobnym stanie, w jakim były AWS i UW w 2001 r., tuż przed upadkiem. Jest jednak parę „ale".

Dobry glina, zły glina

Po pierwsze, tamtą lekcję pamiętają wszyscy. Dwie podobne miny – telewizję publiczną i prokuraturę (wówczas opanowane były przez nominatów opozycyjnego SLD) – udało się obecnemu obozowi rządzącemu kontrolowanie zdetonować. Nie obyło się bez strat i efekt daleki jest od wymarzonego przez władzę, lecz scenariuszowi zakładanemu przez Kaczyńskiego to nie pomogło. W każdym razie słabością obozu rządzącego na pewno nie jest to, że PiS rozgrywa go prokuraturą czy telewizją publiczną tak, jak to postkomuniści robili z solidaruchami na przełomie tysiącleci.

Drugie „ale" to problem skuteczności i sprawczości. Bo jeśli prezydenckie „poganianie" nie przyniesie żadnego skutku, to czy aby czasem nie będzie to dowód na to, że Nawrocki się do swojej roli nie nadaje? Może wcale nie umie skutecznie poganiać?

Najważniejsze jest pytanie: co dalej? Warto przypomnieć, że Kwaśniewski z Millerem rozgrywali rząd Buzka, dzieląc się rolami „dobrego" i „złego gliny". Pierwszy z miną życzliwego doradcy utrącał wetem kluczowe projekty, potęgując wrażenie zamieszania i bezsiły, drugi zgrywał twardziela, który przyjdzie i posprząta cały ten bałagan. W której z tych ról chce się obsadzić Nawrocki? Do teoretycznej funkcji prezydenta bardziej pasuje rola dobrego gliny, tylko ona mocno się gryzie z wszystkim, co do tej pory prezydent sobą reprezentował. Można sobie więc wyobrazić, że to po stronie parlamentarnej opozycji zostanie wystawiony jakiś „dobry glina", w charakterze kandydata na premiera, który przyniesie ukojenie po latach przegrzanych, jałowych konfliktów. Tyle że to słabo pasuje do wszystkiego, co PiS prezentuje sobą od dekady. Łagodząca rola Beaty Szydło nie jest chyba przez liderów tej partii, na czele z Kaczyńskim, oceniana po latach jako warty powtórki projekt. Kandydatów na „złego glinę" jest za to w PiS w nadmiarze.

Paradoksalnie, gdyby nie charakter kierowanej przez siebie formacji, na rzeczową i łagodną twarz alternatywnego rządu najbardziej by się nadawał Krzysztof Bosak. Czy to jednak wyobrażalne, by PiS wziął udział w takiej intrydze, ręka w rękę z konkurencyjną Konfederacją, wobec której od lat żywi mordercze instynkty?

Inna rzecz, że wbrew wielu opiniom nic na razie nie wskazuje, by PiS, Konfederacja czy ewentualnie partia Brauna były na fali jakiegoś politycznego tsunami, które zrobi z obozem rządzącym to, czego świadkami byliśmy przed 20 laty. Owszem, notowania rządu w rankingu CBOS prowadzonym od ponad trzech dekad są wyjątkowo słabe – takie jak w najgorszych momentach drugiej kadencji PiS. Lecz jednocześnie społeczna ocena własnego dobrostanu i szczęścia jest jak w najlepszych latach rządu Morawieckiego, tuż przed pandemią. Można sobie wyobrazić, że podmiana premiera – na lepszą wersję Ewy Kopacz – zdoła odmienić polityczne losy rządu koalicji. Mało kto już pamięta, ale latem 2014 r., po trzech latach drugiej kadencji, PO złapała oddech i odebrała sondażowe prowadzenie PiS, zdobyte kilkanaście miesięcy wcześniej. Na dodatek przed wyborami parlamentarnymi w 2027 r. nie będzie już „wilczego dołu" wyborów prezydenckich; wówczas, w 2015 r., porażka Komorowskiego odwróciła trend i pociągnęła w dół PO.

Skazani na duopol?

Wartym rozważenia jest również to, co wydarzyło się ostatnio w przedterminowych wyborach prezydenckich w Zabrzu. Po odwołaniu w referendum popieranej przez PO prezydent pierwszą turę raz jeszcze wygrała kandydatka tej partii – z wyraźną przewagą. Ale tylko po to, by ulec w drugiej turze konkurentowi z lokalnego komitetu. Politycy PiS uradowali się z porażki rządzących, choć sami też ponieśli klęskę. Przecież ich kandydat nawet do drugiej tury nie wszedł. Podzielił się nieomal po równo poparciem z kandydatem Konfederacji, przez co obaj odpadli z ostatecznej rozgrywki. Ten układ sił i motywacji jest jeszcze jedną okolicznością, która wskazuje na nową konfigurację naszego życia politycznego, niekoniecznie korzystną dla obchodzącego 20. rocznicę duopolu.

Kaczyński i Tusk od lat marzą o usunięciu się nawzajem z życia politycznego. Ich buńczuczne zapowiedzi – jak ta Tuska z czerwca 2023 r., że „z PiS konsultować możemy warunki ich kapitulacji" – nijak się mają do realnych zjawisk społecznych. Mają jednak jeden, nieoczywisty, efekt. Każdy z nich głosi, że partia tego drugiego nie ma prawa rządzić. I wygląda na to, że każdemu z nich udało im się do swojej tezy przekonać dwie trzecie Polaków, w obu przypadkach chodzi jednak o zbiory w dużej mierze rozłączne. W efekcie mamy dziś doskonały klincz. I KO, i PiS utrzymują po jednej trzeciej swoich wielbicieli, dla których współpraca z drugą stroną jest niedopuszczalna. Pozostała jedna trzecia też ma dosyć – ich obu. Tylko że niezależnie od tego, ile się napisze o zmęczeniu Polaków duopolem, bez jednego z jego biegunów nie da się stworzyć dziś większości zdolnej do rządzenia. Ci spoza duopolu mogą sobie co najwyżej wybrać, kogo mają dość bardziej. Zwykle bardziej mają dość tych, którzy akurat są u władzy. Co za tym idzie, każda większość, stworzona na bazie jednego z tych biegunów, nie może ↦

Premier Donald Tusk i prezydent Karol Nawrocki przed posiedzeniem Rady Gabinetowej. Warszawa, 27 sierpnia 2025 r.

SŁAWOMIER KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ liczyć na długotrwałe zadowolenie większości wyborców. Bo przecież zwolennicy któregokolwiek z mniejszych sojuszników tego bieguna duopolu, który akurat jest u władzy, szybko znajdują wspólny mianownik z opozycją. W efekcie, tak jak zwolennicy opozycji, z czasem też chcą pogonić swojego głównego koalicjanta.

Kłody pod nogi

Charakterystyczny dla Polski nieszczęsny dualizm władzy sprawia, że na pełną kadencję parlamentu, bez wetkniętych w nią wyborów prezydenckich, nie możemy liczyć. W dwudziestoletnim cyklu możemy mieć wybory prezydenckie jako przygrywkę do sejmowych (jak w 2015 r. i znów w 2035), jako ich pokłosie (2020), pół roku przed półmetkiem (tegoroczne) i pół roku po półmetku (jak w 2010 r. i znów w 2030). Wbrew marzeniom konstytucjonalistów, nie daje to żadnej równowagi systemu, tylko nieprzewidywalne przemieszanie – raz jest to paraliż, a raz nieskrępowana władza. Prezydent i premier z jednego obozu nie mają specjalnie odmiennych interesów, co najwyżej psychologiczne i ambicjonalne spięcia, jak Kwaśniewskiego z Millerem czy Dudy z Kaczyńskim (w roli „oberpremiera"). Prezydent i premier z obozów przeciwnych skazani są na żenujące spory i dziecinne podchody. Bo przecież nic sobie nie mogą zrobić, co najwyżej wbijać szpile i rzucać pod nogi kłody.

Najnowszym przykładem patologicznego układu jest wszystko to, co w ostatnim miesiącu działo się w naszej polityce zagranicznej. Czy to rozgrywanie nas przez Trumpa przy telefonicznych konsultacjach, czy nieobecność Polaka w trakcie narady w Białym Domu po szczycie na Alasce – trudno nie odnieść wrażenia, że dla obu ośrodków władzy najważniejsze jest to, żeby ten drugi nie miał sukcesu. Nikt go w takich warunkach nie może odnieść, jedyną korzyścią zaś dla każdej ze stron jest to, że może wytykać drugiej porażkę. Sytuacja przypomina jako żywo tę z wyborów w Zabrzu.

Wszystkie te rozważania raz jeszcze pokazują, że zastosowane w obecnej konstytucji pomysły ojców-założycieli na równowagę władzy są nie do obrony. Systemowe słabości, na punktowanie których poświęciłem sporo swojego życia zawodowego, są teraz potwierdzone przez realne zachowania wszystkich aktorów. Wpisują się oni nie w wymarzone, naiwne postulaty konstytucjonalistów, lecz w realne układy interesów, generowane przez taki, a nie inny kształt instytucji. Prezydent nie jest ani przywódcą, ani arbitrem, tylko niby-przywódcą, który czasem udaje arbitra (jeśli akurat chce zejść z linii strzału politycznych przeciwników).

Premier natomiast o niczym tak nie marzy, jak o spacyfikowaniu prezydenta – czy to wrogiego, czy swojego. Prezydent do niczego mu potrzebny nie jest. W obliczu permanentnej frustracji każdy z nich wykręca marne bezpieczniki i podkręca polityczne napięcie, choćby miała się zapalić cała ustrojowa instalacja. Na razie zupełnie wysiadł Trybunał Konstytucyjny, teraz wściekle iskrzy w wymiarze sprawiedliwości. Prezydent Nawrocki w połowie kadencji parlamentu zadeklarował wolę obalenia rządu i paraliżuje sejmową większość, już wcześniej skłóconą przez konieczność rywalizacji w beznadziejnie skonfigurowanych wyścigach o prezydenturę.

Triki na własną niekorzyść

Żeby jednak wyjść poza narodową pasję biadolenia, warto odnotować, że wcale niemało spraw udaje się mimo to załatwić za obopólną zgodą. Ten schowany przed opinią publiczną nurt naszego życia politycznego daje nadzieję, że fatalna konstrukcja kiedyś zostanie przebudowana. Byle tylko po gruntownym przemyśleniu.

W ramach swojej aktywności prezydent ogłosił już zamiar zmiany konstytucji. Pytanie, czy postulowane zmiany będą wpasowywać się w starą, bezsensowną logikę. Bo wszystko to, co dotąd postulowało jego środowisko, nie było żadnym przełomem w sprawie relacji prezydent–premier. Ot, niewielkie dorzucenie jednego czy dwóch odważników na tej samej rozchwianej huśtawce. Z reguły pomysły te mogły przynieść korzyści tylko w takim układzie obsady stanowisk, jaki właśnie miał miejsce. Bez jakiegokolwiek wysilenia wyobraźni, co się stanie, gdy wahadło polityczne wychyli się w inną stronę.

Jest faktem, że na skutek szczęśliwego układu politycznego kalendarza PiS jako partia rządząca nigdy jeszcze nie spotkał się z wrogim sobie prezydentem. Lecz przecież nie trzeba szczególnie puszczać wodzów fantazji, by dostrzec, że gdyby wybory prezydenckie odbywały się dwa lata temu, ani Nawrocki, ani żaden inny kandydat PiS nie miałby co marzyć o zwycięstwie, nawet przy tym poziomie nieudolności i autodestrukcji, jaki prezentują jego przeciwnicy w tym roku. Lecz już doświadczenie wybieranej przez Sejm Państwowej Komisji Wyborczej powinno nauczyć polityków PiS, że ich pomysły na instytucjonalne triki mogą łatwo obrócić się przeciwko nim. Gdyby koalicja PiS-Konfederacja przejęła władzę w 2027 r., Nawrocki będzie w kolejnych wyborach faworytem dokładnie w takim stopniu, jak przed rokiem był Trzaskowski.

Konstytucja – polityczne reguły gry – powinna być pisana tak, żeby jej zasad chciało się przestrzegać zarówno wtedy, gdy się oddaje rządy, jak i gdy się je przejmuje. Przekonanie, że raz zdobytą władzę da się zabezpieczyć tak, żeby nigdy już do niej nie dopuścić pokonanego przeciwnika, w żaden sposób nie znajduje potwierdzenia w wydarzeniach minionych lat. Inicjatorem większości kruczków, mających wzmocnić władzę prezydenta względem większości sejmowej, było środowisko SLD, układające reguły pod prezydenturę Kwaśniewskiego. Z perspektywy 30 lat świetnie widać, że te triki znacznie częściej obracały się na niekorzyść, niż pozwalały coś naprawdę ważnego ugrać.

Po co babcię denerwować

Niesamowite w polskiej polityce jest jednak to, że złudzeniem okiwania i ostatecznej anihilacji przeciwników karmią swoich wyznawców obaj słabnący liderzy, a tak wiele osób – wbrew bijącym po oczach faktom – wierzy im i podziela ich mrzonki. Pytanie, czy pokolenie czter-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

dziestolatków, które właśnie przejęło władzę w Pałacu Prezydenckim, naprawdę tak myśli, czy tylko udaje, bo „po co babcię denerwować, niech się babcia cieszy”? W ciągnącej się latami rywalizacji, gdzie arbitrem są nieprzewidywalni wyborcy, znacznie ważniejsze jest to, żeby przeciwnika sobie kształtować, a nie łudzić się wizjami jego unicestwienia. Także reguły *fair play* nie rodzą się z jakiejś litości czy słabości, lecz są racjonalną kalkulacją, na granicy cynizmu. Ich wdrażanie wymaga odwagi – by potraktować przeciwnika jak partnera. Wymaga też wstrzymania się z odpowiadaniem z nawiązką – czyli pięknym za nadobne.

Być może w takiej zmianie pomoże to, że Tusk i Kaczyński – jakby się umówili – ignorują zmieniającą się sytuację. Czy to spotkanie Hołowni z Kaczyńskim, czy deklaracje posłów Konfederacji o możliwym porozumieniu z Platformą piętnowane są jako akty zdrady – bądź demokracji, bądź narodu. Choć przecież być albo nie być każdego z nich zależy dziś i jutro właśnie od tej jednej trzeciej sceny politycznej, która darzy ich obu najszczerszą niechęcią. Ta jedna trzecia jest dziś wyjątkowo rozdrobniona. Czy to lewica, czy środek, czy prawy narożnik, wszystko jest dziś dodatkowo podzielone – Razem i Nowa Lewica, Polska 2050 i PSL, Konfederacja i Braun. Do tego dochodzą napięcia pomiędzy różnymi nurtami ideowymi. Lecz wydaje się, że w ich wspólnym interesie jest spuszczanie z tonu w całym życiu politycznym, a nie licytowanie się z dwójką największych partii na rozhisteryzowanie.

W całej Radzie Gabinetowej jednym z najbardziej przewidywalnych wątków były pochwały prezydenta pod adresem wicepremiera Kosiniaka-Kamysza. Z jednej strony wiadomo, że to szyte grubymi nićmi próby rozbicia koalicji i odwrócenia sojuszy jeszcze w tej kadencji. Z drugiej jednak, skoro „hipokryzja to hołd składany przez cynizm cnocie”, dobrze jest pamiętać, że cnota zgody i współpracy ciągle jeszcze ma taką pozycję, że warto jej te hołdy składać. © JAROSŁAW FLIS



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Kolejki na korytarzu szpitala klinicznego w Łodzi. 11 kwietnia 2024 r.

Na Miodowej bez zmian

MAŁGORZATA SOLECKA

LEKARZE | Na zdrowie może w przyszłym roku zabraknąć 20-30 mld zł. Brzmi to abstrakcyjnie, ale skutki finansowego kryzysu, na przykład zwiększenie nierówności w dostępie do leczenia, staną się jak najbardziej realne. Będzie mniej badań i mniej operacji.

Ministerstwo Zdrowia ponad miesiąc temu zostało objęte rekonstrukcją: Izabelę Leszczynę, bliską premierowi politycznie Koalicji Obywatelskiej, zastąpiła Jolanta Sobierańska-Grenda, prawniczka i menedżerka pomorskich szpitali. „Resort zdrowia zostanie bardzo szybko odpolityczniony i odpartyjniony” – mówił 23 lipca Donald Tusk, zapowiadając oddanie zdrowia w ręce fachowców.

Coś jednak, mówiąc kolokwialnie, „nie pykło”: z grona wiceministrów odszedł jedynie Jerzy Szafranowicz, najbliższy współpracownik Leszczyny. Pozostali, reprezentujący Lewicę (Wojciech Konieczny), PSL (Marek Kos) i Polskę 2050 (Urszula Demkow) trzymają się mocno. W kuluarach można usłyszeć, że premier potężnie się wygłupił, a wiceministrowie – przynajmniej Konieczny i Kos – mogą być pewni posad. Uchodzą, przynajmniej w swoich ugrupowaniach, za fachowców; obydwaj są lekarzami, ale też doświadczonymi dyrektorami szpitali. „W każdej chwili można ich oczywiście odpolitycznić” – słychać uszczypliwe komentarze. Trawestując tytuł powieści Ericha Marii Remarque’a, można podsumować: na Miodowej bez zmian.

KILKA MIESIĘCY TO WIECZNOŚĆ | Mówiąc precyzyjniej, na Miodowej 15, gdzie mieści się resort zdrowia, przedłuża się marazm. Tymczasem system jest, jak twierdzą optymiści, na krawędzi katastrofy. Pesymiści uważają, że już dawno ją przekroczył. Realiści zaś dodają, że choć ochrona zdrowia w stanie kryzysu pogrążona jest od lat, czekają nas wyzwania o nieznanej dotąd skali.

Turbulencje systemowe w ostatnim kwartale ubiegłego roku mogły poważnie nastraszyć pacjentów: część szpitali zaczęła przekładać terminy operacji na kolejny rok, część wstrzymała przyjęcia chorych do programów lekowych (w tej formule pacjenci otrzymują innowacyjne, drogie ↦

↦ i bardzo drogie terapie w chorobach onkologicznych, ale też m.in. neurologicznych i reumatologicznych). Chory, żeby zakwalifikować się do leczenia w ramach takiego programu, musi przejść szczegółową diagnostykę. Ta może wykazać, że jest na takim etapie choroby, i w tak – paradoksalnie – dobrym ogólnym stanie, że droga terapia ma szansę mu pomóc. Nawet laik rozumie, że np. w onkologii kilka miesięcy zwłoki to wieczność, a powtórzone badania mogą zdyskwalifikować pacjenta i odebrać mu szansę. Również na życie.

Wojciech Wiśniewski, ekspert Federacji Przedsiębiorców Polskich i współautor raportu na temat zapaści finansowej systemu ochrony zdrowia (w czerwcu 2024 r. autorzy szacowali lukę w finansach NFZ do 2028 r. nawet na ćwierć biliona złotych) nie ma wątpliwości, że ten scenariusz powtórzy się i w tym, i w przyszłym roku. Ograniczenia w finansowaniu programów lekowych, a więc i dostępność do nich, potwierdzają też dane. „Ze zrealizowanych i sprawozdanych Funduszowi w II kwartale roku świadczeń o wartości 3,88 mld zł, opłacono niespełna 2,7 mld zł. Na 133 programy tylko dwa opłacono w całości" – informował pod koniec sierpnia portal Cowzdrowiu.pl.

Perturbacji w dostępie do innowacyjnych leków obawiają się również ich producenci. W ostatnich kilku latach Polska zaliczyła duży awans w tym obszarze, stając się w leczeniu niektórych chorób europejskim, a nawet światowym liderem. Wiktor Janicki, prezes Związku Pracodawców Innowacyjnych Firm Farmaceutycznych INFARMA, pytany, czy nie widzi zmniejszenia gotowości Ministerstwa Zdrowia do finansowania nowych leków, podkreśla, że przynajmniej na razie taki scenariusz się nie realizuje. Ale potwierdza, że realna dostępność pacjentów do już objętych finansowaniem leków okresowo się pogarsza.

Wojciech Wiśniewski prognozuje, że trzeba się również liczyć z ograniczaniem przez szpitale liczby wykonywanych procedur – badań i operacji. NFZ będzie płacić w miarę terminowo tylko za te, które zakontraktował, zaś skłonność płatnika do finansowania tzw. nadwykonań, czyli świadczeń udzielanych ponad kontrakt, będzie maleć wraz z narastaniem dziury budżetowej. Szpitali nie stać zaś na kredytowanie płatnika: im mniej będą leczyć, tym mniej stracą.

CZESI MAJĄ LEPIEJ | Jest i nieco lepsza wiadomość: nie będzie spektakularnej katastrofy. System ochrony zdrowia – podobnie jak amerykańskie banki w przededniu kryzysu finansowego AD 2008 – jest zbyt duży, by upaść. Porównanie jak najbardziej trafne, nawet jeśli pamiętamy, że kilka banków upadło. W naszych warunkach będą to jednak punktowe, lokalne katastrofy, dotykające konkretnych specjalizacji, wybranych terapii czy badań. Pacjenci zawsze będą mogli „poszukać innego szpitala" („mistrzowska" rada posła KO Michała Szczerby dla pacjentów, udzielona w ostatnich tygodniach). Istnieje szansa, że na drugim końcu Polski dostęp do leczenia będzie utrzymany.

Problemem są, oczywiście, pieniądze. To może być zaskoczenie – przecież mamy poczucie, że płacimy bardzo wysokie składki, aż 9 proc. naszych zarobków. Pieniądze powinny być, zwłaszcza że politycy – w tym premier – wspominając o zdrowiu, mówią o astronomicznych kwotach. W przyszłym roku budżet NFZ ma sięgnąć prawie 220 mld zł. Łączne wydatki, razem ze środkami, którymi będzie dysponować minister zdrowia, opiewają na niemal 250 mld zł.

Te ministerialne „zaskórniaki" to zresztą jedyna szansa NFZ: podobnie jak w ubiegłym i w tym roku resort będzie łatać dziury w finansach płatnika, tnąc wydatki na inwestycje w infrastrukturę (np. budowę nowoczesnych szpitali) i kadry (redukując liczbę finansowanych rezydentur, czyli etatów dla młodych, specjalizujących się lekarzy). Na dodatkowe pieniądze od ministra finansów trudno będzie liczyć: Polska jest objęta procedurą nadmiernego deficytu, a ten już jest olbrzymi.

Ale jak, dysponując budżetem dobijającym do ćwierć biliona złotych, można mówić, że pieniądze są problemem? Ano można. Te niewyobrażalnie wielkie sumy to niewiele ponad 5 proc. naszego PKB. Średnia dla UE sięga 9 proc., zaś bliskie nam Czechy wydają 8 proc. PKB. I mają jeden z lepszych systemów ochrony zdrowia w Europie. Lepszych, czyli takich, które gwarantują obywatelom dostęp do opieki medycznej, w tym innowacyjnego leczenia, w racjonalnych terminach oczekiwania. My mamy z tym gigantyczny problem. Jednak składka zdrowotna w Czechach jest o wiele wyższa – wynosi ponad 13 proc., z czego 9 proc. płaci pracodawca, 4,5 proc. ubezpieczony. U nas każda dyskusja o zmianie systemu, zaprojektowanego (źle) pod koniec lat 90., kończy się stwierdzeniem: nie ma politycznej zgody.

Priorytetem są wydatki na obronność, które w przyszłym roku sięgną 4,8 proc. PKB. Premier podkreśla, że jesteśmy pod względem tego wskaźnika liderem wśród krajów NATO. Chwalebne i zrozumiałe, ale politycy nie przyjmują do wiadomości, że zdrowie to też element bezpieczeństwa. Również militarnego.

Pod względem wydatków na zdrowie jesteśmy blisko dna unijnych i europejskich statystyk. A opieka medyczna – leczenie szpitalne, nowoczesne leki, coraz bardziej dokładne, ale też kosztowne technologie diagnostyczne – kosztuje coraz więcej. Leczymy też coraz więcej coraz starszych pacjentów, bo społeczeństwo się gwałtownie przeobraża. Niedofinansowany system pęka w szwach, a ekonomiści z niepokojem śledzą decyzje polityków. Czy to dotyczące zmniejszania składki zdrowotnej dla przedsiębiorców (to akurat zostało zatrzymane przez weto Andrzeja Dudy), czy potencjalnie groźne dla rynku pracy, jak weto Karola Nawrockiego do ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy, które może wypchnąć z rynku zatrudnienia setki tysięcy płacących podatki i składki imigrantów.

I bez tego mamy problem. Starzenie się społeczeństwa sprawia, że maleje liczba osób, które płacą składki, ale rzadko korzystają ze świadczeń. Rośnie natomiast pula tych, których składki od emerytur są stosunkowo niewielkie, natomiast koszty ich leczenia – ogromne.

POKAŻ LEKARZU, CO MASZ NA FAKTURZE | Coraz więcej kosztują też terapie pacjentów z chorobami rzadkimi, których jeszcze niedawno... w ogóle nie leczyliśmy. Z danych NFZ wynika, że leczenie stu „najdroższych" pacjentów w roku 2022 wystarczyłoby na sfinansowanie blisko 58 tysięcy terapii pacjentów „średnich" (średnia, wyliczona przez Fundusz trzy lata temu wynosiła 2,6 tys. zł). 80 proc. budżetu na świadczenia i leki jest przeznaczane na potrzeby 20 proc. obywateli. Tak działa solidaryzm, fundament systemu i społeczeństwa. Ale jeśli strumień przychodów nie rośnie tak szybko jak koszty,

pojawiają się napięcia. System zaczyna szwankować, a solidaryzm staje pod znakiem zapytania.

Ale przecież, pomyśli polski obywatel, „w służbie zdrowia biedy nie ma". Nie ma tygodnia, by w mediach nie pojawiły się materiały o gigantycznych zarobkach w tym sektorze. Ustawa o wynagrodzeniach minimalnych pracownikom tej sfery gwarantuje od 2022 r. duże, w porównaniu np. do budżetówki, podwyżki. Tylko w tym roku sięgnęły one 12-13 proc., przy wskaźniku waloryzacji płac dla budżetówki oscylującym wokół 4 proc. Politycy i włodarze NFZ mówią, że ustawę trzeba zmienić, bo pracownicy medyczni zarabiają już godnie i podwyżki trzeba zatrzymać, a na pewno ograniczyć.

Pod lupą są przede wszystkim pobory lekarzy. Gdy w ostatnich tygodniach opinią publiczną wstrząsnęła informacja o wstrzymaniu przyjęć pacjentów onkologicznych przez szpital w Koninie z powodu zaległości w regulowaniu rachunków przez NFZ (ostatecznie dyrekcja ogłosiła, że szpital pacjentów przyjmować będzie), poseł PiS i były wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński nagłośnił informację, że ten sam szpital zapłacił lekarzowi 300 tys. zł za miesiąc pracy. Informacje o podobnych kwotach na fakturach pojawiły się zresztą już rok temu. W lekarzy, konkretnie w ich zarobki, uderzają też politycy koalicji, z premierem na czele. Donald Tusk, ogłaszając rekonstrukcję rządu, podkreślał dobitnie, że zadaniem Ministerstwa Zdrowia będzie „poprawa sytuacji pacjentów, nie lekarzy".

Już od lat lekarze w Polsce mogą zarabiać dobrze, zaś w ostatnich kilku latach zaczęli zarabiać bardzo dobrze. Tym, których to oburza, umykają zwykle dwie kwestie. Po pierwsze, lekarz, aby zarabiać tak astronomiczne kwoty, musi najpierw solidnie się wykształcić: studia (sześć lat), staż (rok), specjalizacja (pięć lat, czasami sześć) i jeszcze kilka lat doświadczenia jako specjalista. Zresztą – tak wysokie zarobki są notowane tylko w wybranych, wąskich specjalizacjach.

Jak podkreśla Łukasz Jankowski, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej, według danych Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, faktury powyżej 100 tys. złotych wystawia nie więcej niż trzystu lekarzy, a 15 proc. specjalistów osiąga zarobki według ustawy o wynagrodzeniu minimalnym w ochronie zdrowia (podstawowe wynagrodzenie specjalisty od 1 lipca 2025 r. to niecałe 12 tys. zł).



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Ministerstwo zdrowia będzie łatać dziury w finansach tnąc wydatki na budowę nowoczesnych szpitali oraz redukując liczbę etatów dla młodych lekarzy.

Po drugie, takich zarobków nie osiąga się, pracując 40 godzin tygodniowo. Pomijając ekstremalne, choć wcale nie rzadkie przypadki (70-80 godzin), normą jest ok. 60 godzin pracy w tygodniu. I to niekoniecznie z powodu przypisywanej niekiedy lekarzom chciwości – częściej ze względu na fakt, że specjalistów po prostu brakuje.

KAŻDY CHCE MIEĆ SZPITAL | Brakuje również dlatego, że politycy, którzy od dekad debatują o konieczności reformy systemu od strony organizacyjnej, poprzestają na słowach. Podkreślają, że mamy za dużo szpitali, które generują największe koszty (trafia do nich połowa budżetu NFZ), ale boją się „gniewu ludu" i nic z tym nie robią. Sytuacji nie zmieni również nowa ustawa reformująca szpitalnictwo, którą właśnie podpisał prezydent Karol Nawrocki. Eksperci oceniają, że jej wpływ na system może być minimalny, a minister zdrowia sygnalizuje w kuluarowych rozmowach, że wymaga ona pilnej nowelizacji.

Efekt? Każdy powiat chce mieć „swój" szpital. A żeby go utrzymać, dyrektor stara się przyciągnąć specjalistów, wykonujących najlepiej opłacane procedury. Z tego przede wszystkim biorą się „kosmiczne" faktury, bo lekarze zawierają z takimi szpitalami umowy oparte na procencie od przychodów. Jednocześnie wiele oddziałów szpitali powiatowych generuje straty. Na przykład porodówki, o których zamykaniu mówi się najczęściej. I najczęściej wywołuje to ogromne emocje. Ale jak może działać oddział, na którym rocznie przychodzi na świat nieco ponad setka dzieci, skoro dowiedziono, że bezpieczeństwo matki i dziecka oraz opłacalność finansowa są możliwe przy minimum czterystu porodach rocznie?

– Jestem zniesmaczony dyskusją o lekarskich zarobkach z powodu wielości przekłamań i manipulacji – mówi Łukasz Jankowski. W jego ocenie te dyskusje mają ułatwić poszukiwanie oszczędności na pracy personelu medycznego. – Lekarze, ratujący ludzkie życie i pracujący często w warunkach stresu, promieniowania czy wyczerpujących godzin, powinni zarabiać godnie. Również po to, by do tego zawodu przyciągać najlepszych – podsumowuje szef lekarskiego samorządu.

I tu pojawia się trzeci powód, dla którego wynagrodzeń lekarzy nie sposób porównywać z zarobkami w innych profesjach. OECD i Komisja Europejska w opublikowanym jesienią ub. roku raporcie „Health at a Glance. Europe 2024" zwracają uwagę, że deficyt kadr medycznych – w tym lekarzy i pielęgniarek – szacowany jest w Europie na 1,2 mln osób. I będzie się tylko pogłębiać. Po pierwsze dlatego, że Europa się starzeje, po drugie – do studiowania kierunków medycznych jest coraz mniej chętnych, zwłaszcza wśród młodych mężczyzn. Pogłębia się feminizacja medycyny, zaś kobiety pracują nieco krócej i mniej intensywnie (co nie znaczy gorzej). Lekarki, pokazują to również polskie dane, są mniej skłonne do dyżurowania ponad konieczną liczbę godzin, znacznie uważniej pilnują zasady *work-life balance*.

Nie jesteśmy samotną wyspą: kraje bogatszego Zachodu nadal kuszą polskich lekarzy lepszymi warunkami pracy. Niekoniecznie wyższym wynagrodzeniem – paradoksalnie w Polsce lekarz może, jeśli chce, zarobić wręcz więcej. Jednak w krajach skandynawskich czy w Szwajcarii zbliżone pieniądze, równowartość kilkudziesięciu tysięcy złotych, otrzymuje się za pracę w wymiarze jednego etatu z niewielką liczbą godzin dyżurowych.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w Europie Zachodniej na każdym stanowisku zarabia się więcej. To prawda, ale też nie na każdym stanowisku jest zapotrzebowanie na kandydatów. A na pracę lekarzy jest, i to ogromne. Będzie zaś jeszcze większe. © MAŁGORZATA SOLECKA



MARCIN BIELECKI / PAP

Zakład Karny w Stargardzie, 2018 r.

Pełne zagubienie

ANNA KORYTOWSKA

WIĘZIENIE | Dla Pawła i Tomasza opuszczenie zakładu karnego oznaczało nie tylko koniec izolacji, ale początek innej, równie trudnej walki. O dach nad głową, pracę, relacje z bliskimi i poczucie własnej wartości.

Pierwszą noc na wolności spędziłem na plaży. Musiałem ogarnąć przestrzeń, oswoić się z wolnością. Czułem totalne zagubienie. W więzieniu człowiek zatraca się w braku wolności. Kontakt z ludźmi i ze światem jest ograniczony, a po wyjściu trzeba od nowa uczyć się życia – mówi Paweł. Jest po pięćdziesiątce, w zakładzie karnym spędził pół roku, siedział za alimenty. – Od pierwszego dnia myślałem o tym, żeby się dostosować do więziennych warunków, w których jesteś całkowicie zależny od strażników i innych więźniów. Kompletny brak wsparcia, upodlenie psychiczne i fizyczne. A kiedy zbliża się moment wyjścia, pojawia się lęk i pytanie: dokąd iść, co ze sobą zrobić – tłumaczy. Te obawy nie znikają po przekroczeniu bramy więzienia, wraz z odzyskaną wolnością. Wręcz przeciwnie, stają się codziennym wyzwaniem.

Z danych Najwyższej Izby Kontroli wynika, że co roku około 80 tysięcy ludzi wychodzi w Polsce z zakładów karnych. Blisko 40 proc. po raz pierwszy zwolnionych ponownie popełnia przestępstwo w ciągu pięciu lat i wraca za kraty. Dlaczego tak się dzieje?

Zderzenie z wolnością

Przez lata pracował jako kelner. Zarabiał dobrze, lubił życie. – Kupiłem dwa mieszkania, bo miałem dwie rodziny. Ostatecznie zostawiłem je partnerkom. Idąc do więzienia wiedziałem, że nie będę miał dokąd wrócić. Błagać o pomoc znajomych nie chciałem – opowiada.

W dniu wyjścia z zakładu penitencjarnego Paweł dostał pieniądze na bilet do Gdańska, skąd pochodzi, i adres schroniska postpenitencjarnego. Mieszka w nim już prawie rok – tyle można maksymal-

nie. Próbuje znaleźć stałą pracę, w międzyczasie chwyta się dorywczych zleceń w wykończeniówce. – Szukając pracy, mówię prawdę. A jak ludzie słyszą, że jestem po zakładzie, często od razu się odcinają. Nie pytają, za co i ile siedziałem. To bardzo boli – przyznaje. Najtrudniejsze jednak jest dla niego odnowienie więzi z rodziną. To największe wyzwanie. – Chciałbym na nowo nawiązać kontakt z mamą. Bardzo mi na tym zależy. Na razie się nie udaje, ale wierzę, że kiedyś będzie chciała ze mną chociaż porozmawiać – dodaje.

Paweł mieszka w schronisku postpenitencjarnym prowadzonym przez gdańskie Stowarzyszenie Emaus, które niesie pomoc byłym więźniom. – Zapewniamy im dach nad głową, jedzenie, środki czystości. Pomagamy w readaptacji, znalezieniu pracy, załatwiamy formalności, proponujemy spotkania z psychologiem. Nie jest sztuką dać człowiekowi rybę, sztuką jest dać wędkę. My zaś dajemy narzędzia. Od nich zależy, czy z nich skorzystają – mówi Tadeusz, pracownik stowarzyszenia. Rotacja byłych osadzonych w schronisku jest duża: niektórzy dzięki temu doświadczeniu stają potem na nogi, inni nie. Działania takich organizacji są jednak tylko elementem szerszego procesu, jakim jest przywrócenie byłych więźniów do życia w społeczeństwie.

Więzienie: instytucja totalna

Edward Szeliga za murami więzień spędził 11 lat. Obecnie jest terapeutą w założonej przez siebie Fundacji Pomost, która od 2012 r. pomaga osobom opuszczającym zakłady karne wrócić do życia na wolności. Jego zdaniem fakt, że niemal 40 proc. osób, które opuszczają więzienie po pierwszym wyroku, w ciągu pięciu lat znowu łamie prawo i staje się recydywistami – to efekt braku odpowiedniej pomocy postpenitencjarnej.

– Często oczekuje się od więźniów, że opuszczając zakład karny, będą już zresocjalizowani. To złudne przekonanie. Nie mamy też wyszkolonych kadr do pracy z byłymi więźniami, więc proces resocjalizacji w obecnym systemie jest na bardzo niskim poziomie – podkreśla Szeliga. Podobne wnioski płyną z raportu NIK. Wynika z niego, że analizowane przez Izbę systemowe programy readaptacyjne w zakładach karnych nie miały wykazanej skuteczności: brakowało po prostu dowodów, że ograniczają powroty do przestępstw. Problemem, jak podaje raport, było też słabe diagnozowanie potrzeb skazanych. Wiele działań uznawanych za „resocjalizacyjne", takich jak praca, edukacja czy zajęcia sportowe, nie wykazywało przydatności dla readaptacji, jeśli nie były osadzone w spójnym planie, a potem monitorowane.

Szeliga zaznacza, że problem z readaptacją ma również bardzo istotny wymiar psychologiczny. Osadzeni wychodzą z więzienia z bagażem konsekwencji długotrwałej izolacji. – Więzienie jest instytucją totalną, która zmusza ludzi do podejmowania różnych działań w celu przetrwania. Żeby się tam odnaleźć, człowiek musi przybrać jakiś model adaptacyjny. Najczęstszym narzędziem do tego celu jest przemoc, zarówno psychiczna, jak i fizyczna – wyjaśnia. Schemat ten może działać w zakładzie karnym, ale na wolności się nie sprawdza. – Kiedy byli więźniowie próbują funkcjonować w ten sposób, szybko spotykają się z odrzuceniem i zupełnie nie radzą sobie w nowych warunkach – tłumaczy terapeuta. – Często są też pełni lęku, zagubieni. Potrzebują wsparcia nawet w podstawowych aspektach, takich jak gotowanie, pranie, dbanie o siebie. Czyli we wszystkim, co składa się na usamodzielnienie.

Największą barierą w powrocie do życia na wolności bywa bezdomność. Wielu z byłych więźniów straciło mieszkania i kontakt z bliskimi. Wychodzą więc z zakładu karnego dosłownie na ulicę. W ramach pomocy systemowej ludzie ci mogą ubiegać się o miejsce w noclegowni albo w schronisku postpenitencjarnym. Mogą też jednak skorzystać z pomocy organizacji takich jak Fundacja Pomost, którą w Zabrzu prowadzi Szeliga, oferując byłym więźniom miejsce w ośrodku readaptacyjnym nawet na kilkanaście miesięcy. – Oprócz dachu nad głową uczymy ich zarządzania sobą i poznawania obowiązujących norm społecznych. Dostają konkretne zadania, które uczą ich zaangażowania, systematyczności i brania odpowiedzialności za własne czyny – opowiada.

Podopieczni Fundacji pełnią rolę ośrodkowych szefów kuchni, ogrodników, gospodarzy. W tym czasie podejmują także pracę, po czym uczą się ją utrzymać. – Samo znalezienie zatrudnienia to dopiero pierwszy krok. Prawdziwym wyzwaniem jest wytrwanie w codzienności. Pomagamy im się w nią wdrożyć – podkreśla terapeuta.

Nauczyć się zdrowych emocji

Tomasz ma 30 lat. Z zakładu karnego wyszedł dwa lata temu. – Podczas mojego ostatniego wyroku niestety zmarła mi mama, więc nie miałem już gdzie wrócić. Mam co prawda dość liczne rodzeństwo, ale byliśmy wtedy bardzo pokłóceni i nie mogłem zwrócić się do nich. Na szczęście w więzieniu dowiedziałem się o Fundacji Pomost, i tu przyszedłem po wyroku – wspomina.

Siedem miesięcy Tomasz spędził w ośrodku prowadzonym przez Szeligę, kolejne pół roku w mieszkaniu adaptacyjnym. Dzisiaj jest opiekunem w Fundacji. – Pokazuję chłopakom, że można, że da się żyć normalnie. I że naprawdę nie trzeba wracać do zakładu. Bywa trudno, nie powiem, że nie, ale trzeba być wytrwałym – zaznacza.

Tomasz w zakładach karnych spędził w sumie 5 lat. – Siedziałem za kradzieże – przyznaje. Początki na wolności nie były proste. – Kiedy wziąłem narkotyki, musiałem opuścić ośrodek. Warunkiem mojego powrotu był detoks. Zdecydowałem się przez niego przejść i już tu zostałem – wspomina.

W trakcie pobytu w ośrodku pełnił różne funkcje, które pomagały mu w procesie readaptacji. – Byłem ogrodnikiem, potem szefem ochrony i gospodarzem ośrodka. Z każdą rolą uczyłem się większej odpowiedzialności, każdy dzień przynosił nową lekcję – opowiada Tomasz. – Na początku miałem duży problem z wyrażaniem siebie, z kontrolowaniem emocji i mówieniem o nich. O tym, jak się czuję i co czuję. Sporo nad tym pracowałem i dzisiaj dużo łatwiej wychodzi mi komunikacja z ludźmi – zapewnia.

Największym wyzwaniem było jednak znalezienie zatrudnienia. – Jestem osobą, która nigdy wcześniej nie pracowała i trudno mi było złapać się jakiejkolwiek roboty. Oczywiście nie pomagało to, że byłem po zakładzie. Próbowałem wiele ↦

↦ miesięcy i w końcu się udało. Niestety, nie wszyscy mają to szczęście, wielu pracodawców boi się nas przyjmować. A przecież bez pracy trudno nam się odnaleźć w życiu. Tak samo jak bez planu – mówi.

Milczeć czy zaufać

Świat, do którego osadzeni wracają po odbyciu kary, bywa dla nich zaskakująco obcy. – W ostatnich latach zmienił się on bardzo szybko i może człowieka mocno przytłoczyć. Ludzie po dużych wyrokach muszą oswajać się z telefonami dotykowymi czy innymi nowinkami technologicznymi, dla nas już oczywistymi – opowiada Szeliga, zaznaczając, że nowa rzeczywistość niesie też realne zagrożenia. – Zdarza się, że padają ofiarą oszustw internetowych, często zupełnie nieświadomie. Zakładają konta na różnych platformach, w tym randkowych, nie rozumiejąc zasad ich działania. Potrafią wtedy stracić całe swoje wynagrodzenie, bo nie są w stanie rozpoznać ludzi, którzy wyłudzają pieniądze. To jest kolejny wymiar wykluczenia, z którym się mierzą – dodaje.

Wykluczenie działa na wielu płaszczyznach: od cyfrowego po społeczne. – Byli więźniowie sami siebie stygmatyzują, a społeczeństwo ich w tym utwierdza. Bardzo często mają więc niskie poczucie sprawczości oraz własnej wartości – tłumaczy Szeliga i zwraca uwagę na kolejny aspekt: ci ludzie nie mają żadnych wzorców, z których mogliby czerpać. – Dlatego trzeba z nimi pracować od samego początku, krok po kroku, aż dobre schematy zachowań staną się dla nich czymś naturalnym.

> Na wolności możemy opowiedzieć o swych problemach rodzinie albo psychoterapeucie. W więzieniu trzeba się z wszystkim mierzyć w milczeniu, żeby nikt nie dostrzegł słabości. **To zostawia głęboką ranę.**

Szeliga podkreśla, że wielu z nich nosi w sobie ciężar długotrwałych traum. Najpierw zostali porzuceni przez rodziców, potem opuszczały ich partnerki, czasem też dzieci. – Na wolności mamy szansę opowiedzieć o swych problemach rodzinie lub przyjacielowi albo poszukać pomocy u psychoterapeuty. W zakładzie karnym człowiek musi zmierzyć się z tym sam, w milczeniu, tak, żeby nikt nie zobaczył jego słabości. To zostawia głęboką ranę i sprawia, że trudno jest komukolwiek zaufać. Dlatego uczymy ich, że to uczucie można odbudować, i że warto dać sobie na to pozwolenie – tłumaczy Szeliga.

Bez planu ani rusz

Powrót do życia na wolności wymaga planu stworzonego z udziałem specjalistów – psychologów, pracowników socjalnych, kuratorów. Bez niego, jak wyjaśnia Edward Szeliga, ani rusz. Kluczowym krokiem jest przywrócenie byłym osadzonym decyzyjności. – W zakładzie karnym na wszystko trzeba uzyskać zgodę. Na rozmowę telefoniczną, spacer. Nawet na skorzystanie z toalety, od współosadzonych w celi. Przywrócenie sprawczości pozwala tym ludziom wzrastać, buduje zaufanie do siebie – zapewnia Szeliga.

Największe problemy pojawiają się po chwilowym zachwycie wolnością, kiedy przychodzi zderzenie ze skomplikowaną rzeczywistością. Z kolejnymi wyzwaniami i monotonią codzienności. – Naszym zadaniem jest pokazanie im, jak sobie z tym radzić. Proponujemy im różne hobby, uczymy, jak dostarczać sobie dobrych przyjemności w życiu. Dla jednego to będzie wyjście na ryby, dla innego basen – wymienia prezes Fundacji Pomost.

Najważniejsze jest to, by sprawić, że zaczną cenić swoje życie na wolności. Wtedy zrobią wszystko, by nie wrócić za kratki. Według NIK, najczęstszymi przyczynami powrotu do przestępstw są trudności w znalezieniu pracy, brak dachu nad głową, powrót do wcześniejszego środowiska, niedostateczne warunki materialne, niechęć ze strony otoczenia. – Bardzo łatwo jest zagubić się po wyjściu z zakładu, dlatego potrzebne jest odpowiednie wsparcie systemowe ze strony państwa. W tej chwili takiego brakuje – uważa Szeliga.

Według terapeuty konieczne jest przeszkolenie kadr do pracy z byłymi więźniami, a także działania interdyscyplinarne. Czyli współpraca kuratorów, pracowników socjalnych, urzędów pracy, psychologów. Zadań do wykonania po wyjściu z zakładu karnego jest taka masa, że czasami więźniom się wydaje, iż nie są w stanie wszystkiego ogarnąć. Ale jeśli ktoś pomoże im przygotować dobry plan i poprowadzi krok po kroku, to nagle okazuje się, że można żyć. – I że życie na wolności jest lepsze od tego w zakładzie – dodaje Szeliga. © ANNA KORYTOWSKA

Imiona byłych osadzonych zostały na ich prośbę zmienione

POŻEGNANIE

25 lipca zmarł

prof. Piotr Łossowski

Historyk, wybitny znawca Litwy i stosunków polsko-litewskich.

Autor i współautor fundamentalnych prac na ten temat, m.in.:
„Po tej i po tamtej stronie Niemna:
Stosunki polsko-litewskie 1883–1939”
„Stosunki polsko-litewskie 1921–1939”,
„Ultimatum polskie do Litwy 17 marca 1938 roku”.

Składamy jak najszczersze kondolencje Rodzinie.

Redaktorzy „Przeglądu Bałtyckiego”:

Kazimierz Popławski, Tomasz Otocki, Dominik Wilczewski

OLGA

Drenda:
Schabowy z kitu



Pomalutku, po cichutku z katalogu cech podziwianych wyparowała deklarowana niesprzedajność i nieprzekupność. Wydawałoby się, że to przepis na zdobycie murowanego zaufania w naszym społeczeństwie: przedstawiać się jako człowiek, który woli stracić, niż sprzedać duszę i mówić bądź robić coś wbrew sobie; który nie tańczy, jak mu zagrają. Chorągiewką być – to przecież wstyd, a już zwłaszcza dla pieniędzy. Takich ludzi podziwiali również i ci, których samych na podobne gesty stać by nie było.

Może jednak notowania takich wartości jak poczucie godności czy honoru ostatnio spadły, bo nasza przestrzeń publiczna stała się całkowicie nieodporna na urok tzw. griftu. Tak określa się charakterystyczną odmianę kanciarstwa, czyli celowe głoszenie tego, co się akurat w danej chwili opłaca, choćby jeszcze chwilę wcześniej swoją postawą – jako polityk, influencer, komentator – demonstrowało się coś zupełnie innego. To Kazikowy „wegetarianin, który wp... schabowe", o ile okazałoby się, że zajadanie schabowych na wizji to obecnie treść bardziej pokupna – wtedy gotów będzie z dnia na dzień wyłonić się jako nowy człowiek.

Charakterystyczną cechą griftera jest to, że zazwyczaj sam nie wierzy w to, co mówi i robi, ale działa w przekonaniu, że nie ma takiego kłamstwa, w które ktoś by nie uwierzył. Są to zatem sprzedawcy kitu, ale także ludzie wyjątkowo łatwi do nabycia. Nic nie jest dla nich nieakceptowalne, obsceniczne, nie ma takich rzeczy, które nie przeszłyby im przez usta i nie istnieją dla nich dna zbyt głębokie, by na nie upaść.

Smacznego kotleta z kitu!



OLGA DRENDA

Takie ruchy są szczególnie widoczne na platformach wideo, które pozwalają łatwo zarabiać na treściach. To zachęca do niespodziewanych wolt w tę stronę, z której czuć zapach klików i pieniędzy: utalentowana instruktorka makijażu nagle objawia się jako znawczyni tajemniczych „żeńskich i męskich energii", sympatyczny doradca zdrowego żywienia wplata coraz częściej między przepisy toporną agitację polityczną, zdroworozsądkowy i wyważony dotychczas komentator zaczyna bez umiaru obrażać i oskarżać, zapomniana gwiazda nagle powraca – bez nowych piosenek, ale jako sojusznik oburzonych albo prorok niechybnej apokalipsy...

Odbiorcy zostali do pewnego stopnia wzięci z zaskoczenia. Przez wiele lat media społecznościowe przemawiały, przynajmniej czasami, głosem zwyczajnego człowieka. Nagrywanie siebie samego do kamery, zdjęcia z własnego domu, czasem teatralne demonstrowanie emocji publicznie przekonywało o autentyczności, a realne kariery ludzi takich jak my podtrzymywały przekonanie, że skoro już ktoś chce się podzielić swoją opinią, to musi mówić to, co naprawdę myśli. Media zwane niegdyś obywatelskimi, czyli blogi, profile, kanały wideo cieszyły się zaufaniem, bo sprawiały wrażenie niezależnych od partyjnych czy sponsorskich pieniędzy.

To dlatego nie zaszła jeszcze pełna ewolucja w kierunku „zawieszenia niewiary", które publiczność od dawna stosuje, oglądając reality shows czy dokudramy: ich widzowie wiedzą doskonale, że to odgrywany format, który ma niezbyt udolnie imitować spontaniczność, i tego oczekują. W przypadku mediów, których atutem była zatarta granica między zawodowcem a amatorem, wciąż trwa proces przyzwyczajania się i rozpoznawania udawanej autentyczności.

W takich okolicznościach łatwo zrozumieć, dlaczego ktoś wierzy, że „tradycyjna pani domu", która wygłasza mowy przeciwko pracującym zawodowo matkom w kuchni oświetlonej i zaaranżowanej jak studio telewizyjne i na profesjonalnie zmontowanych filmach, jest w istocie zwyczajną kobietą, która chce się tylko czymś spontanicznie podzielić, a nie sprytnie zarabiać na spektaklu oburzenia, który tworzy. Albo że ktoś naprawdę spotkał tych mitycznych dwudziestolatków, którzy odmawiają przyjścia do pracy, bo mają rano jogę.

Ale tylko do pewnego stopnia. Jest to bowiem również transakcja wiązana. Grifterzy oferują bowiem kuszący towar spod lady: uzależniające, choć nieco wstydliwe emocje. Nurzanie się w poczuciu krzywdy, prawo do gardzenia innymi, poczucie wyższości – i oni, i ich nabywcy wiedzą, jak przyjemnie jest dostarczać je sobie bez limitu. Dlatego nie przychodzi mi łatwo współczucie nabywcom kitu, choć jednocześnie wiem, że prawdopodobnie w każdym człowieku jest mała, brzydka plamka, która pod wpływem odpowiedniej sugestii potrafi rozlać się na całą duszę. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".



KRAJOBRAZ PO WECIE

Sprzeciw prezydenta wobec nowelizacji specustawy o pomocy Ukraińcom wywołał falę komentarzy, w których obawy i uprzedzenia Polaków mieszają się z propagandą Kremla. Fakty i dane? Nikt nie zawraca sobie nimi głowy.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Obchody Dnia Niepodległości Ukrainy. Warszawa, 24 sierpnia 2025 r.

W najnowszej polsko-polskiej wojnie podjazdowej wzięto na zakładników nie tylko ukraińskich uchodźców, ale także naszą gospodarkę i reputację na arenie międzynarodowej. Losy zawetowanej ustawy obrazują także krótkowzroczność polityków, których sobie wybraliśmy.

Po „socjal"?

Wetując nowelizację specustawy, Karol Nawrocki wskazywał, że wypłaty świadczeń z programu 800+ nie zostały w niej powiązane z zatrudnieniem obywateli ukraińskich w Polsce, choć – jak podkreślał – w tej kwestii na naszej scenie politycznej panuje konsensus.

Mimo że wprost tego nie powiedział, w jego słowach pobrzmiewała sugestia, iż Ukraińcy przyjeżdżają do Polski po „socjal". To zresztą u nas opinia dość powszechna, tyle że... nieprawdziwa. Z danych ZUS wynika, że w 2024 r. Ukraińcy otrzymali u nas świadczenia o wartości 3,88 mld zł (z czego 3,04 mld w ramach programów rodzinnych, a 0,84 mld w emeryturach i rentach). W tym czasie wpłacili do systemu 12,8 mld zł. Oznacza to, że zyskaliśmy na tym ponad 8,9 mld zł: że Ukraińcy na „socjal" w Polsce wpłacili trzykrotnie więcej, niż z niego pobrali.

System jest szczelny

Do wyłudzeń rzeczywiście dochodziło, a pierwsze doniesienia na ten temat pojawiły się już we wrześniu 2022 r., mniej więcej pół roku po tym, jak ukraińskim uchodźcom przyznano prawo do pobierania świadczeń. Tyle że rząd PiS zareagował błyskawicznie: w październiku zdecydowano o wstrzymaniu wypłat dla 80 tys. osób. Wkrótce zintegrowano też systemy Straży Granicznej i ZUS, by można było blokować świadczenia Ukraińcom, którzy z Polski wyjechali.

Kolejne nowelizacje specustawy przynosiły dalsze uszczelnianie systemu, z czego największe – z maja 2024 r., czyli przygotowane już przez obecne władze – powiązało wypłaty 800+ z obowiązkiem szkolnym ukraińskich dzieci oraz wprowadziło biometrię przy nadawaniu im numeru PESEL UKR (systemu wzorowanego na tym dla obywateli polskich, a obejmującego Ukraińców, którzy przyjechali do nas po wybuchu wojny).

Samobój Trzaskowskiego

Gdy prezydent deklaruje teraz, że uszczelnianie chce jeszcze wzmocnić, stawia rząd w dość groteskowym położeniu. Nowelizacja z zeszłego roku okazała się bowiem solidną „uszczelką" – z systemu zniknęło kolejnych kilkadziesiąt tysięcy pobierających 800+. Tyle że już po jej wprowadzeniu postulat Konfederacji – wiązania świadczeń dla Ukraińców z ich zatrudnieniem – poparł walczący o prezydenturę Rafał Trzaskowski, konfundując przy tym własne środowisko polityczne.

Premier – ponoć wyjątkowo niechętnie – musiał postulatowi własnego kandydata przyklasnąć. Trzaskowski cnotę stracił, rubelka na głosach Konfederacji nie zarobił. A argument o „politycznym konsensusie" Nawrocki wrzucił, jak granat, na rządową stronę boiska.

Kogo nie widzi Nawrocki

Prezydent po zawetowaniu ustawy chciał zaszachować rząd własnym projektem nowelizacji, ale jemu też nie do końca wyszło, bo – najwyraźniej działając w pośpiechu – sam się podłożył. Przygotowane przez niego przepisy nie robią wyjątków dla grup szczególnie wrażliwych, np. dla opiekunów dzieci z niepełnosprawnością, którzy nie mają jak iść do pracy.

– Takie wyjątki powinny być uwzględnione, bo wiemy, że stanowią znaczną grupę uchodźców. Z rozliczeń PIT wiadomo, że 30 tys. osób, w znakomitej większości kobiet, ubiegało się o ulgę podatkową z racji samotnego wychowywania dziecka. Często pracują one na pół etatu, a to znaczy, że w jednym miesiącu mogą mieć pracę, a w kolejnym już nie. Mamy też ok. 1,6 tys. emerytów, którzy ubiegali się o 800+ na będące pod ich opieką w Polsce wnuki – mówi „Tygodnikowi" Oleksandr Pestrykov, ekspert fundacji Ukraiński Dom, dodając: – Jesteśmy za tym, żeby zwalczać nadużycia, ale jednocześnie nie powinno się odmawiać wsparcia tym, którzy go najbardziej potrzebują.

Kto ma gorzej

Kolejny argument wskazany przez Nawrockiego przy wetowaniu związany jest z opieką medyczną.

„Jeśli spojrzymy na ochronę zdrowia, zobaczymy pewną preferencję Ukraińców względem Polaków. Ochrona zdrowia, która przysługuje Ukraińcom niezależnie od tego, czy podejmują się pracy i czy odprowadzają składkę zdrowotną, czy nie, stawia nas w sytuacji, w której obywatele państwa polskiego we własnym państwie są traktowani gorzej niż nasi goście z Ukrainy. Na to także nie ma mojej zgody" – mówił prezydent. I – co warto podkreślić – w tej sprawie powiedział tylko tyle. ↦

↦ Najpierw fakty. Ukraińskim uchodźcom przysługuje opieka zdrowotna bez względu na to, czy pracują, czy nie, podczas gdy bezrobotni Polacy, żeby mieć ubezpieczenie, muszą się zarejestrować w urzędzie pracy. To „uprzywilejowanie" wynika jednak z międzynarodowych konwencji oraz z unijnych dyrektyw, gwarantujących uchodźcom dostęp do opieki medycznej. Podobne regulacje obowiązują w całej UE. Mowa jednak o zapewnieniu opieki medycznej na tym samym poziomie, co obywatelom kraju-gospodarza.

Jednocześnie – jak wynika z danych przekazanych nam przez NFZ – „kwota wpływu do NFZ ze składek zdrowotnych od obywatelek i obywateli Ukrainy to blisko 3,2 mld zł, natomiast koszty świadczeń im udzielonych w 2024 r. to 2,1 mld". Czyli znów wychodzimy na tym z górką.

Prezydent i fake newsy

W kwestiach opieki medycznej dla Ukraińców nie mniej ważne jest to, czego prezydent nie powiedział. Podczas kampanii Nawrocki obiecywał wprowadzenie „najważniejszej zmiany prawa ostatnich lat", gwarantującej pierwszeństwo Polakom w kolejkach m.in. do lekarza.

Informacje o tym, że Ukraińcy są w nich uprzywilejowani, to jeden z pierwszych fake newsów, jaki pojawił się w polskiej infosferze niespełna dwa tygodnie po rozpoczęciu wojny. I przez kolejne ponad trzy lata, choć było to wielokrotnie dementowane, byliśmy tą bzdurą bombardowani. Nawrocki-kandydat ją powielał. Nawrocki-prezydent w swoim przemówieniu fake'a już nie powtórzył, choć kilkakrotnie podkreślał podczas swego oświadczenia, że wywiąże się z przedwyborczych obietnic.

– Gdy powiedział o preferencyjnym traktowaniu Ukraińców, jego słowa zadziałały jak wytrych, który uruchomił w ludziach utrwalony łańcuch skojarzeń, z kolejkami i rzekomym uprzywilejowaniem Ukraińców. Teraz to wyjątkowo mocno rezonuje. Ci, którzy wcześniej uwierzyli w ruską propagandę, teraz otrzymali potwierdzenie od samej głowy państwa, że mieli rację. To było jak legalizacja fake newsa przez prezydenta – mówi „Tygodnikowi" Michał Fedorowicz, przewodniczący kolektywu analitycznego Res Futura.

Prezydenckie weto wpisuje się w rosnącą w Polsce niechęć do Ukraińców.

Rosyjskie media pieją z radości, a w Nawrockim widzą „jednego z ostatnich rozsądnych Europejczyków".

Apokalipsy nie będzie

Niemal natychmiast po ogłoszeniu prezydenckiego weta pojawiły się głosy wieszczące apokalipsę. Konsekwencją miało być m.in. to, że milion Ukraińców straci prawo do legalnego pobytu w Polsce, a setki tysięcy – pracę. A wszystko to z końcem września, gdy specustawa wygasa. I znów: rzeczywistość idzie temu w poprzek.

– Większość takich analiz wynika z błędnego rozumienia zasad ochrony czasowej – mówi mec. Michał Nocuń, szef działu Employment Immigration w kancelarii C&C Chakowski & Ciszek. Ukraińscy wysiedleńcy, czyli osoby objęte ochroną czasową w związku z wojną, nie stracą automatycznie prawa do pobytu i pracy po wygaśnięciu specustawy, bo ich status wynika z decyzji Rady UE z marca 2022 r., która z bliżej nieznanych przyczyn funkcjonuje niejako obok polskiej specustawy. – Prawo do legalnego pobytu i pracy pozostaje w mocy. Po przejściu wyłącznie na przepisy unijne sytuacja ukraińskich wysiedleńców nawet się poprawi, bo będą mieli pełny dostęp do rynku pracy bez dodatkowych formalności – podkreśla Nocuń.

Realny problem dotyczy innej grupy: osób, które nie korzystają z ochrony czasowej, a ich wizy lub karty pobytu wygasły po 24 lutego 2022 r. Są to zarówno osoby, które przyjechały do Polski przed pełnoskalową inwazją Rosji, jak i te, które przybyły później, ale nie skorzystały z oferowanych im uprawnień, bo przyjeżdżały np. w celu pracy. Specustawa automatycznie przedłużała im prawo do pobytu, ale teraz będą musieli złożyć stosowne wnioski do urzędów wojewódzkich, co wcale nie jest takie proste, a jeśli tego nie zrobią, to ich pobyt w Polsce stanie się nielegalny.

– Ile jest takich osób, nie wiadomo, bo wygląda na to, że nikt nie prowadzi ich ewidencji. Grupa ta może mieć jednak spore znaczenie dla rynku pracy – zaznacza mec. Nocuń.

Ręce do pracy

Mec. Nocuń, podobnie jak wielu ekspertów, zwraca uwagę, że fundamentalnym problemem nie jest polityczne zamieszanie i medialny jazgot, ale brak długoterminowych perspektyw dla przebywających u nas ukraińskich wysiedleńców i polskich przedsiębiorców, którzy ich zatrudniają. A te perspektywy są konieczne, jeśli chcemy utrzymać „socjal"... dla nas samych.

Niezależnie bowiem od tego, jak mocno na cudzoziemców szczują nasi politycy, nasz rynek pracy desperacko potrzebuje imigrantów. GUS prognozuje, że w 2030 r. liczba osób w wieku produkcyjnym spadnie u nas o 800 tys. w porównaniu z 2022 r. Do 2040 r. spadek sięgnie przeszło półtora miliona. Już dziś – jak wskazują badania Polskiego Instytutu Ekonomicznego – aż 44 proc. firm skarży się na ograniczający ich rozwój brak pracowników. Bez blisko miliona Ukraińców, którzy pracują w Polsce, część firm musiałaby się zamknąć.

I znów: na tych Ukraińcach, którzy już u nas są, dobrze wychodzimy – z raportu Deloitte na zlecenie UNHCR wynika, że obywatele Ukrainy wypracowują 2,7 proc. polskiego PKB.

Rosja jest zachwycona

Przytoczone wyżej dane pochodzą od instytucji państwowych i z ogólnodostępnych raportów. Mimo to po wecie prezydenta mało kto z rządzącej koalicji kwapił się, by je przytaczać. Dlaczego?

– Opinia publiczna ma takie, a nie inne nastawienie, więc bronienie uchodźców i imigrantów politycznie jest teraz nieopłacalne. Lepiej przeczekać. U nas polityki nie robi się w oparciu o dane czy jakąś głębszą myśl strategiczną. U nas to reakcja na to, jakie są sondaże i trendy w mediach społecznościowych – mówi nam Krzysztof Izdebski z Fundacji Batorego.

Tym razem jednak w ramach politycznej szarpaniny za zakładników wzięto nie tylko ukraińskich uchodźców, którym pomocą tak bardzo Polacy się szczycili. Odgłosy jatki można było usłyszeć daleko poza naszymi granicami. BBC,



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Antyukraińska demonstracja w Dzień Niepodległości Ukrainy. Kraków, 24 sierpnia 2025 r.

„Le Monde" czy Al-Dżazirze nie umknął fakt, że weto wpisuje się w rosnącą w Polsce niechęć do Ukraińców. Rosyjskie media pieją z radości, a w Nawrockim widzą „jednego z ostatnich rozsądnych Europejczyków".

„Precz z nazistami i darmozjadami: prezydent Polski zamierza przywołać do porządku bezczelnych gości z Ukrainy" – tak polskie weto celebrował kremlowski propagandzista Aleksandr Griszin w „Komsomolskiej Prawdzie".

Co ze Starlinkami

Griszina najbardziej ucieszyło jednak to, że Warszawa może wkrótce przestać płacić Kijowowi za tysiące terminali Starlink, które zapewniają łączność satelitarną wojskowym, służbom ratowniczym i cywilom (według Reutera Polska finansuje 29,5 tys. z 50 tys. wykorzystywanych w Ukrainie terminali).

Faktycznie: fundusze na Starlinki zapisane były w specustawie. Zawetowanie jej – jak stwierdził wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski – będzie oznaczało wyłączenie Ukrainie internetu satelitarnego.

– W 2022 r. żadnego funduszu nie było, a mimo to Starlinki dowieziono na front w miesiąc od wybuchu wojny. Premier Gawkowski nie jest w stanie przedłużyć abonamentu i zasłania się księgowymi kruczkami. Dla mnie to niepojęte – mówi nam jednak były minister cyfryzacji w rządzie PiS Janusz Cieszyński.

– To są środki publiczne, nie można ich tak sobie wydawać. Żeby przesunąć takie fundusze, potrzebna by była nowa ustawa. Bez tego doszłoby do złamania dyscypliny finansów publicznych – odpowiada na to w rozmowie z „Tygodnikiem" wicepremier Gawkowski.

Jak widać, przed prezydenckim wetem nie udało się stronom tego między sobą dogadać.

WEDŁUG DANYCH RZĄDU, z początkiem tego roku zezwolenia na pobyt w Polsce posiadało ponad **1,55 mln** obywateli Ukrainy. Większość, bo **993 tys.**, przebywa w naszym kraju korzystając z ochrony czasowej. **61 proc.** (i **77 proc.** pełnoletnich) stanowią kobiety. Co drugi obywatel Ukrainy zarejestrowany na podstawie ochrony czasowej to dziecko.

RENTY I EMERYTURY pobiera w Polsce **248 tys.** Ukraińców. Świadczenie 800+ wypłacono w 2024 r. na **344,8 tys.** ukraińskich dzieci.

824,5 TYS. to liczba Ukraińców płacących składki emerytalne i rentowe.

Kijów, Warszawa, chłód

Z powodu zamieszania dotyczącego Starlinków ministerstwo cyfryzacji zaczęło „pilne konsultacje" z władzami Ukrainy. Naszych relacji z Kijowem to nie poprawi. A że znakomite nie są, świadectwem niech będzie brak przedstawiciela Polski w Białym Domu podczas niedawnych rozmów prezydenta Trumpa z Wołodymyrem Zełeńskim i europejskimi przywódcami. Albo to, że choć jesteśmy drugim po Chinach partnerem handlowym Ukrainy, praktycznie nie ma nas w rozmowach o jej powojennej odbudowie. Sami sobie argumenty z rąk wytrącamy, np. tym, że Warszawa deklaruje, iż nie wyśle na Ukrainę żołnierzy w ramach ewentualnej misji stabilizacyjnej.

Ukoronowaniem tego pasma „sukcesów" może być właśnie sprawa Starlinków. Zakończenie ich finansowania będzie bowiem oznaczać nie tylko odcięcie Ukraińcom tak ważnego podczas prowadzenia wojny internetu. Trzeba będzie odebrać wszystkie przekazane dotąd urządzenia, bo formalnie są one jedynie wypożyczone. A to byłoby wyjątkowo symboliczne i upokarzające dla Polski. Ciekawe, kto pojechałby na takie „uroczystości" do Kijowa.

Gorzej niż zbrodnia

„Ukraiński chłop już się nie napije z tego samego wiadra, co polska szlachta" – ten wpis oddaje atmosferę, jaka zapanowała w mediach społecznościowych po wecie.

– Poparcie internautów dla prezydenta to jednak nie tylko aprobata dla jego działań. Powtarzające się hasła, mechanizm ofiary i rola wybawcy, tworzą nowy rytuał – cyfrowy, emocjonalny, tożsamościowy. Jeśli ten trend się utrzyma, będziemy patrzeć nie na polityka, ale na figurę nietykalną – twierdzi Michał Fedorowicz.

Tymczasem politycy z rządzącej koalicji wciąż wydają się przekonani, że tu pomogą gesty wykonywane w stronę nacjonalistycznego elektoratu albo nabieranie wody w usta.

– Tymczasem ludzie tracą wyczucie tego, co wypada, a czego nie wypada mówić. Długofalowym skutkiem może być utrwalenie tych nastrojów. Antagonizmy się wzmogą, choć nie wiadomo jeszcze, jaką formę przybiorą – mówi nam dr Mateusz Zaremba, politolog z Uniwersytetu SWPS.

„To gorzej niż zbrodnia – to błąd" – miał powiedzieć Talleyrand, gdy Napoleon w 1804 r. rozkazał stracić księcia d'Enghien. Ten krok przyniósł przyszłemu cesarzowi oburzenie Europy, dyplomatyczną izolację i utratę sympatii liberałów. Polscy politycy w sprawie pomocy Ukrainie postanowili pójść podobną drogą.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ORBÁN NAD PRZEPAŚCIĄ

Jego rychły koniec ogłaszano już wiele razy. Jednak Viktorowi Orbánowi zawsze udawało się przetrwać, a nawet wyjść wzmocnionym z kolejnych kryzysów. Teraz jest inaczej.

DOMINIK HÉJJ

Piętnaście lat nieustannego sprawowania władzy może zmęczyć. Tymczasem realne widmo porażki wyborczej zagląda dziś Viktorowi Orbánowi w oczy po raz pierwszy od 2010 r.

W każdym sondażu – poza ośrodkami badania opinii publicznej, które fundował Fidesz, partia Orbána – jego rządząca koalicja przegrywa wybory. Opozycyjna TISZA pod wodzą Pétera Magyara notuje przewagę sięgającą czasem ponad 10 punktów procentowych.

Kim jest człowiek, który być może 12 kwietnia przyszłego roku zdetronizuje Viktora Orbána?

Tym razem jest inaczej

Najpierw uwaga wstępna. Koniec węgierskiego premiera w ostatnim piętnastoleciu ogłaszano już dziesiątki razy. A to na skutek spadających sondaży, a to za sprawą protestów na ulicach Budapesztu, które w oczach wielu komentatorów stawały się przesłanką uprawdopodabniającą rychły rozpad partii rządzącej czy krach władzy w ogóle.

Tak było przed wyborami w roku 2018 i 2022. Tymczasem w obu przypadkach skończyło się uzyskaniem przez rządzących kolejnej z rzędu większości konstytucyjnej.

Jednak tym razem jest inaczej. Dlaczego?

Nie tłumaczyłbym tego jedynie naturalnym zmęczeniem wyborców i potrzebą zmiany, albo też kondycją gospodarki, która realnie się pogarsza. Kluczem jest tutaj ten, kto rzucił wyzwanie Viktorowi Orbánowi – Péter Magyar.

W wywiadzie, jakiego udzielił niedawno polskim mediom, przedstawił się jako „rozwiedziony mężczyzna z trójką wspaniałych dzieci, kochający swój kraj i jego historię. Krytyczny proeuropejczyk i konserwatywny liberał".

Magyar, rocznik 1981, na hasło, które umieścił na profilu w mediach społecznościowych, wybrał papieskie „Nie lękajcie się". W pierwszych wywiadach często powoływał się na dziedzictwo św. Jana Pawła II.

Do początku 2024 r. Magyar korzystał ze wszystkich przywilejów systemu stworzonego przez Orbána. Był w tamtym okresie mężem Judit Vargi, minister sprawiedliwości. Pracował w rozmaitych instytucjach, w których pomnażał swój majątek.

Człowiek, który wyszedł z systemu

Ten „odwrócony" działacz Fideszu rozwiódł się nie tylko z żoną, ale także z partią w lutym 2024 r. Był to miesiąc nadzwyczaj gorący. Dziennikarze niezależnych mediów upublicznili wówczas informację, że prezydent Katalin Novák uniewinniła latem 2023 r. osobę skazaną za tuszowanie pedofilii. Kontrasygnaty udzieliła minister sprawiedliwości Judit Varga.

Emocje społeczne, które wzbudziła ta informacja, doprowadziły jednego wieczoru, 10 lutego 2024 r., do trzech wydarzeń: zrzeczenia się urzędu przez prezydent Novák, wycofania się z życia politycznego byłej już wtedy minister Vargi oraz oświadczenia Pétera Magyara, który zapowiedział walkę z systemem Fideszu – tego samego, dzięki któremu się dorobił.

Magyar deklarował także ujawnienie wielu faktów z funkcjonowania NER-u. To akronim od węgierskiego terminu, który można tłumaczyć jako Narodowy System Współdziałania. Był to rodzaj nowej umowy społecznej, którą Fidesz wpisał w swój program wyborczy w 2010 r. (swoją drogą ostatni, jaki został opublikowany).

System NER stał się synonimem stworzenia nowej klasy oligarchów, która dorobiła się majątków na państwowych kontraktach. Spośród wielu przedstawicieli dwóch jest szczególnie znanych: Lőrinc Mészáros (kolega premiera z dzieciństwa, inkasent gazowy, który stał się najbogatszym Węgrem) i István Tiborcz (zięć premiera: mąż Ráhel, najstarszej córki Orbána).

Jednak w ciągu półtora już roku politycznej działalności w roli opozycjonisty, Magyar nie ujawnił żadnych przełomowych rewelacji – poza upublicznieniem potajemnego nagrania jego prywatnej rozmowy z ówczesną żoną.

LEON NEAL / GETTY IMAGES



Premier Węgier Viktor Orbán podczas wizyty w Albanii. Tirana, 16 maja 2025 r.

Dwa bloki prawicowe

Nie jest tak, że opozycja wobec Orbána nigdy nie prowadziła w sondażach.

Jesienią 2021 r., na kilka miesięcy przed ostatnimi wyborami, instytut Medián dawał jej minimalne (o trzy punkty procentowe) prowadzenie przed Fideszem. Obecnie jest ono jednak trzykrotnie większe. Uwagę zwraca też deklarowana frekwencja: ponad 80 proc.

Co takiego różni rok 2022 i 2026? Przede wszystkim siła kontrkandydata. Przed trzema laty mieliśmy do czynienia z mniej bądź bardziej formalną i wymuszoną koalicją kilku partii o ideowej proweniencji przedstawiającej całe spektrum polityczne: od prawicy po liberałów i lewicę. Ostatecznie w opozycyjnych prawyborach wyłoniono wspólnego kandydata na premiera, którym został Péter Márki-Zay. Nie był on szerzej znany, finalnie nie udźwignął też trudu reprezentowania tak różnych środowisk.

Dzisiaj z Péterem Magyarem jest inaczej. W ciągu trzech miesięcy od ujawnienia swoich politycznych aspiracji był on w stanie przejąć niemal cały dotychczasowy elektorat opozycji, także tej liberalnej i lewicowej. Od samego początku wyborcy pokładają w nim nadzieję na skuteczne pokonanie Fideszu.

W efekcie węgierska scena polityczna zamieniła się w dwa bloki prawicowe. Poza już wspomnianymi ugrupowaniami – Fidesz-KDNP oraz TISZA – w sondażach przewijają się jeszcze dwie partie: skrajnie prawicowa Mi Hazánk (pol. Nasza Ojczyzna; jej lider uważa, że Ukraina sama jest sobie winna wojny) i lewicowo-liberalna Koalicja Demokratyczna (ta balansuje na pięcioprocentowym progu wyborczym).

Trzy z tych czterech partii orientują się więc po prawej stronie sceny politycznej.

Przekaz Pétera Magyara

Chociaż Magyar rzucił Orbánowi rękawicę, to ideowo wcale nie jest mu tak odległy. To w tym zresztą upatruje swojej szansy na pokonanie obecnie rządzącej koalicji i na pozyskanie części zwolenników Fideszu. ↦



ATTILA KISBENEDEK / AFP / EAST NEWS

Lider opozycji Péter Magyar na kongresie partii TISZA. Budapeszt, 15 lutego 2025 r.

↦ Co więcej, sam jest przekonany nie tyle o swoim zwycięstwie, co o całkowitym pokonaniu Orbána i uzyskaniu w nadchodzących wyborach parlamentarnych większości konstytucyjnej dwóch trzecich głosów. Posiadanie takiej większości pozwala nie tylko na uchwalenie nowej ustawy zasadniczej, ale również na zmiany ustaw organicznych, do których nowelizacji potrzebna jest właśnie większość konstytucyjna (to np. ordynacja wyborcza czy ustawa medialna).

Na siłę przekazu Pétera Magyara składają się przede wszystkim trzy elementy: rozliczenie rządów koalicji Fidesz–KDNP, uzyskanie dostępu do środków unijnych (w tej chwili część z nich jest zablokowana), a także poprawa sytuacji w służbie zdrowia oraz w edukacji (zwłaszcza kondycja systemu ochrony zdrowia jest postrzegana przez Węgrów jako fatalna). Sposobu na rozliczenie Orbána Magyar upatruje m.in. w zaangażowaniu Prokuratury Europejskiej.

W butach Orbána

Europejski mainstream upatruje w Péterze Magyarze szansę na niemal epokową zmianę na Węgrzech. Wydaje się jednak, że są to bardzo wygórowane oczekiwania, których tenże nie będzie w stanie spełnić.

Z polskiej perspektywy istotne są zwłaszcza jego poglądy na kwestie bezpieczeństwa – te zaś nie różnią się w sposób istotny od tych, które od lat reprezentuje Fidesz. Weźmy kwestię dziś najbardziej palącą: Ukrainę. Magyar, podobnie jak Orbán, nie chce tranzytu broni przez terytorium Węgier ani zaangażowania Budapesztu w szerszą pomoc militarną.

Tłumaczy to w ten sam sposób, jak jego dawny pryncypał – dobrem węgierskiej diaspory, która zamieszkuje ukraiński obwód zakarpacki. Posługuje się tu spisem z 2001 r., wedle którego mniejszość ta liczyła 150 tys. osób. Dziś szacuje się, że jest co najmniej o połowę mniejsza.

O ile Orbán jest całkowitym przeciwnikiem członkostwa Ukrainy w Unii, o tyle Magyar nie popiera przyznania Ukrainie tzw. ścieżki przyśpieszonej. Od Manfreda Webera, przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej, uzyskał zapewnienie, że frakcja EPL będzie respektować to podejście.

Kwestia powściągliwości

Co zaś tyczy się Rosji, podejście Orbána sprowadza się do uznania, że powinno się z Putinem utrzymywać kontakt *business as usual*. Obecny premier uważa, że Rosja to filar bezpieczeństwa energetycznego Węgier. A co myśli o tym Magyar? Niewiele. To też jeden z jego znaków rozpoznawczych: nie deklarować się w tak wielu tematach, jak to tylko możliwe.

Taka powściągliwość pozwala mu być „strawnym" dla szerokiego grona elektoratu – już zdeklarowanego i potencjalnego. Bo warto pamiętać, że jedna trzecia Węgrów deklaruje dziś, że wciąż nie wie, na kogo będzie głosować (bądź nie wie, czy w ogóle weźmie udział w wyborach).

Lider TISZY uważa więc oględnie, że Węgry powinny z Rosją współpracować – taki postulat prezentował długi czas, twierdząc, że z uwagi na uwarunkowania geograficzne (brak dostępu do morza) i ekonomiczne (niska cena energii ze Wschodu), Rosja jest dla Węgier ważnym partnerem.

Jednak kilkanaście dni temu ogłosił program, w którym stwierdził, że pod jego rządami do 2035 r. Węgry uniezależnią się od rosyjskich węglowodorów. Jak? O tym nie wspomina. Bo choć techniczne możliwości są, to energia z innych źródeł będzie zapewne droższa, a zatem mniej akceptowana społecznie.

Przed finalnym starciem

Deklasacja rywali politycznych przez obóz Orbána była dotąd niepodważalna. Poparcie, którym cieszył się on, było od lat wzmacniane przez dostosowywanie ordynacji do potrzeb partii (np. przez zmianę okręgów wyborczych). Wszystko po to, by nawet przy malejącym poparciu dla koalicji Fidesz–KDNP wciąż wygrywać.

Choć dziś Orbán stara się stworzyć wrażenie, że bagatelizuje fakt, iż poparcie mu spada, to jednak widać w jego otoczeniu symptomatyczne ruchy. Od koordynowania kampanii odsunięty został właśnie András Gyürk, któremu Fidesz zawdzięczał wszystkie zwycięstwa od 2010 r. To może być zapowiedź odejścia od „sierżmiężnego przekazu". Media spekulują, że jego następcą będzie Balázs Orbán (zbieżność nazwisk przypadkowa), szef biura politycznego premiera.

Czas gra wprawdzie na korzyść Magyara, a sondaże mu sprzyjają. Nie ma jednak wątpliwości, że Orbán łatwo władzy nie odda. Dla jej zachowania gotów będzie podjąć wszelkie działania, włącznie z legislacyjnymi, które utrudnią Magyarowi zwycięstwo. Zostanie do tego zaprzęgnięte całe państwo i wszyscy wierni mu oligarchowie.

Dźwignia na mostku Orbána już przestawiona jest na komendę „cała naprzód".

© DOMINIK HÉJJ

Autor jest politologiem, specjalizuje się w tematyce węgierskiej. Autor książki „Węgry na nowo. Jak Viktor Orbán zaproponował narodową tożsamość". Tłumaczy węgierską rzeczywistość na portalu www.kropka.hu



ABED RAHIM KHATIB / GETTY IMAGES

Dystrybucja żywności w Strefie Gazy jest nadzorowana przez Izrael. 21 sierpnia 2025 r.

Hasbara w twoim domu

MACIEJ AUGUSTYN

GAZA–IZRAEL | To nie żaden spisek. Hasbara, po hebrajsku „wyjaśnienie", to system obejmujący dyplomację publiczną, lobbing i wojnę informacyjną. Także dezinformację. Ma dziś kontrować oskarżenia, że Izrael popełnia w Gazie zbrodnie wojenne.

Nagranie jest sugestywne. Oto grupa otyłych mężczyzn, Arabów, objada się świeżymi owocami. Z widoczną rozkoszą wymieniają się nazwami potraw, które konsumują. To rzekomo członkowie Hamasu, ukrywający się w tunelach.

„W Gazie nie brakuje jedzenia, każde inne twierdzenie jest kłamstwem" – to z kolei cytat z filmu udostępnionego przez ambasadę Izraela w Polsce. Jednego z wielu, ambasada jest bardzo aktywna. W takich filmach zwykle korzysta się z prawdziwych nagrań – tyle że powstałych przed wojną. Albo nagranych w Kairze, nie w Gazie.

Inny motyw: żołnierz (jeszcze lepiej: żołnierka) idzie z kamerą wzdłuż szpaleru ciężarówek. Komentarz: „Jestem na przejściu granicznym w Kerem Shalom, a za mną ok. 600 ciężarówek z pomocą humanitarną. Zamiast wysłać ją do cywilów w Gazie, ONZ zostawiła ją, żeby zgniła na słońcu".

Kampania w sieci

Zaroiło się od nich ostatnio w internecie. Spoty w różnych językach pojawiają się podczas scrollowania mediów społecznościowych. To kampania stworzona na zlecenie izraelskiego MSZ i armii. Jej celem jest kontrowanie oskarżeń, że Izrael celowo głodzi Palestyńczyków. W tym roku przeznaczono na nie, jak podaje „Times of Israel", 150 mln dolarów (20 razy więcej niż w 2024 r.). To pieniądze, które otrzymało MSZ. Osobny budżet, który w 2024 r. wyniósł 120 mln dolarów, ma rządowa agencja do spraw reklamy (LAPAM).

Fakt, nie jest to zawrotna suma przy miliardzie dolarów dotacji, jaką otrzymuje nieprzychylna Izraelowi stacja Al-Jazeera. Podczas relacjonowania wojny w Gazie straciła już ona 11 dziennikarzy. Zdarza się, że Izrael na nich poluje, jak w przypadku zabitego niedawno Anasa Al-Sharifa (armia twierdzi, że był związany z Hamasem). Od początku operacji odwetowej, która trwa już prawie dwa lata, w Gazie zginęło 240 dziennikarzy. Oraz ponad 60 tys. jej mieszkańców, głównie cywilów.

Pewnie słyszeliście, że to przesadzone dane, że nie można im wierzyć. Głodu też w Gazie ma nie być, a jeśli jednak jest, odpowiada za niego Hamas lub ONZ.

System dyplomacji publicznej

Hasbara (po hebrajsku „wyjaśnianie") to strategia komunikacyjna adresowana do obywateli państw zachodnich. ↦

↦ Ma nie tylko informować, ale przede wszystkim wpływać na nich, by popierali lub przynajmniej tolerowali działania rządu Izraela.

Hasbara: to może brzmieć jak jakiś tajemniczy żydowski spisek. Rzecz jasna nie jest to żaden spisek – każde państwo prowadzi własną politykę informacyjną i ma różne jej strategie. Ale nie każde używa jej, by usprawiedliwiać czystkę etniczną.

Metody *hasbary* były przedmiotem krytyki wielu badaczy – izraelskich (Ilan Pappe), palestyńskich (Edward Said) i zachodnich (Noam Chomsky). Obejmują różne narzędzia: wycieczki dla dziennikarzy, broszury, wskazówki dla mediów, darowizny na kampanie wyborcze czy działania edukacyjne (jak seminaria i wykłady dla studentów, najczęściej z odniesieniami do Holokaustu).

Można powiedzieć, że jest to zintegrowany system dyplomacji publicznej, lobbingu, marketingu i wojny informacyjnej. Nie ogranicza się do instytucji rządowych – w działania angażują się też organizacje prywatne, będące w kontakcie z Izraelem. Najważniejsze to Syjonistyczna Organizacja Ameryki (ZOA) i Liga Przeciwko Zniesławieniom (ADL).

Na kampusach w USA działają też Stand With Us oraz Hasbara Fellowship – aktywizują studentów, sympatyków kultury żydowskiej, przez sponsorowane wyjazdy do Izraela czy organizację paneli na temat zagrożeń islamskim terroryzmem.

Instytut promowania islamofobii

Pamiętam te filmy z dzieciństwa, były chyba popularne na wczesnym YouTubie. Przedstawiały na przykład szalonych arabskich dziennikarzy, okładających się na wizji butami podczas kłótni. Obraz Arabów był w nich dość, można powiedzieć, specyficzny. Rozpowszechniał je Middle East Media Research Institute (MEMRI), założony przez byłego oficera Mosadu Yigala Carmona.

Wiele lat później, kiedy byłem już świadomie zainteresowany Bliskim Wschodem, zasubskrybowałem ich newsletter. Już po chwili moja skrzynka mailowa wprost wybuchała od treści o islamskim terroryzmie. Bo celem MEMRI jest, w mojej ocenie, opowiadanie o Bliskim Wschodzie przy pomocy ściśle wyselekcjonowanych treści, wzbudzających strach przed islamem i obrzydzenie wobec świata arabskiego. Wybierane są materiały najbardziej ekstremalne i kontrowersyjne, pomijane zaś informacje obiektywne czy zniuansowane.



MATAN GOLAN / GETTY IMAGES

Policja rozgania armatkami wodnymi izraelskich rezerwistów protestujących przeciwko polityce rządu Beniamina Netanjahu. Jerozolima, 11 lipca 2023 r.

Celem MEMRI jest opowiadanie o Bliskim Wschodzie przez tłumaczenia materiałów arabskich, hebrajskich czy perskich tak, aby nieznający języków orientalnych czytelnik z Zachodu mógł zrozumieć perspektywę Izraela.

Dlaczego warto to wiedzieć? Bo treści przygotowywane przez MEMRI są obecne także w Polsce. Tłumaczone na polski, są publikowane w internecie na forach poświęconych Izraelowi lub kulturze żydowskiej. Cytują je fejsbukowe profile, jak Rewolucja Rożawy – teoretycznie poświęcony Kurdom, w praktyce promujący perspektywę Izraela.

Moralne państwo

Działalność *hasbary* to nie tylko nachalna propaganda. Także strategie *soft power*, kształtujące pozytywny wizerunek państwa izraelskiego: narracje o gospodarczych sukcesach, innowacjach technologicznych czy demokratycznym ustroju, który wyróżnia go wśród sąsiadów.

Izrael jest więc „wyspą cywilizacji", oferującą swoim mieszkańcom wolność. Nawet Arabom, przedstawianym jako obywatele w pełni zintegrowani z państwem – z własnymi partiami politycznymi i przedstawicielami w parlamencie (Knesecie).

Rzeczywistość jest jednak bardziej złożona – nie tylko dla Palestyńczyków będących obywatelami Izraela, a zwłaszcza dla Palestyńczyków mieszkających w okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu, który w izraelskiej nomenklaturze występuje jako „prowincja Judei i Samarii". Tam wolności osobiste są w dużej mierze iluzoryczne.

„Nie ma czegoś takiego jak Palestyńczycy" – mówiła przed laty premier Golda Meir. W retoryce dużej części Izraelczyków pojęcie narodowości palestyńskiej nie występuje. Mówiąc o Palestyńczykach, używają pojęcia „izraelscy Arabowie" – co brzmi tak, jakby nazwać Polaka „nadwiślańskim Słowianinem".

Narracja „strzelania i płaczu"

Jednym z ciekawszych toposów obecnych w izraelskiej kulturze – i wykorzystywanym w strategii informacyjnej – jest zjawisko określane jako „strzelanie i płacz". To historie, w których izraelscy żołnierze opowiadają o moralnych dylematach związanych z wykonywaniem rozkazów (także tych obejmujących czyny uznawane za zbrodnie wojenne). Narracja skupiona jest tu na traumie żołnierzy, ich poczuciu winy i późniejszych problemach psychicznych, jak zespół stresu pourazowego.

Tego typu dzieła zwykliśmy traktować jako akty odważne i samokrytyczne, wpisujące się w nurt rozliczeń z własną historią. Problem jednak w tym, że przedstawiane w nich historie pokazywane są z punktu widzenia oprawcy, który uświadamia sobie winę i przechodzi *katharsis*.

Narracja „strzelania i płaczu" pozwala Izraelowi kreować obraz „moralnej armii". Tyle że perspektywa ofiar w niej nie istnieje, te są jedynie tłem dla rozterek izraelskiego żołnierza – jak zauważa historyk Omer Bartov, powołując się na książkę swojego ojca, w której np. Izraelczycy zajmują mieszkanie po wypędzonych Arabach. W opowiadaniu tym pojawia się milczący mężczyzna, który patrzy na swoje dawne mieszkanie.

Nawet jeśli autorzy odczuwają empatię wobec Palestyńczyków, rzadko pozwalają im samym opowiedzieć swoją historię.

Czy potępiasz Hamas?

To pytanie jest niemal zero-jedynkowym testem lojalności. Trudno nie potępić ataku Hamasu z 7 października 2023 r. Problem w tym, że ciągłe przypominanie o tej dacie może sugerować, iż konflikt izraelsko-palestyński zaczął się dopiero wtedy.

Izrael uzasadnia obecną walkę z Hamasem nie tylko tym, że ten zaatakował pierwszy, zmasakrował 800 cywilów i porwał zakładników. W optyce *hasbary* Izrael jest stale zagrożony fundamentalnym zagrożeniem, a jego upadek miałby otworzyć drogę islamskiemu terroryzmowi do podboju świata.

Ta retoryka zamyka się w haśle #TheWestIsNext (Zachód będzie następny), wykreowanym przez Izraelczyków, aby zbudować wizerunek swojego kraju jako ostatniego bastionu zachodnich wartości na Bliskim Wschodzie. Dzięki niej umiejętnie podsycane są antymuzułmańskie nastroje w Europie i USA, których początki sięgają zamachu na World Trade Center z 2001 r. (w polskiej wyobraźni może dalej, do odsieczy wiedeńskiej).

Problem w tym, że to również agresywna polityka Izraela destabilizuje region i generuje fale uchodźców. Plan „ewakuacji" mieszkańców Gazy do Afryki może przyspieszyć kolejną wędrówkę ludów.

Wokół ludobójstwa

Obrońcy premiera Netanjahu często starają się odwrócić uwagę świata od sytuacji w Gazie, wskazując na inne tragedie humanitarne, zwłaszcza te powodowane przez wrogów Izraela (np. oblężenie Aleppo). Inni przywołują podręczniki do walki miejskiej, np. książkę Johna Spencera i Liama Collinsa „Understanding Urban Warfare" (2022 r.).

Jej autorzy chwalą „humanitaryzm" armii Izraela, osiągającej „najlepszy możliwy stosunek" ofiar cywilnych do bojowników: ich zdaniem tylko do 60 proc. zabitych to osoby niezaangażowane (podczas tej wojny Spencer współpracował z armią Izraela jako doradca).

Procenty te brzmią absurdalnie w świetle ostatnich danych i przecieków (publikowanych np. przez izraelski magazyn „+972", opozycyjny wobec Netanjahu), według których cywile stanowią 83 proc. zabitych w Gazie. Wśród nich jest prawie 19 tys. dzieci.

Ponad rok temu Omer Bartov, izraelski badacz Holokaustu, w głośnym tekście „Jestem badaczem ludobójstwa, wiem, kiedy je widzę" (opublikowanym w dzienniku „New York Times") uznał, że działania Izraela spełniają definicję ludobójstwa, nawet jeśli udowodnienie tego będzie trudne.

Świadczyć o tym mają, wedle Bartova, także słowa izraelskich oficjeli: Netanjahu oraz ministrów Smotricza i Galanta. Mówili o „ludzkich zwierzętach", „zniszczeniu całej Strefy" czy odwoływali się do zagłady biblijnych Amalekitów, pokonanych przez armię żydowską pod wodzą Jozuego.

Bartov pytał, czy słowa te odnosiły się tylko do członków Hamasu, czy do wszystkich mieszkańców Gazy? Jak na razie fakty przemawiają za tym drugim. Być może definicja ludobójstwa według Rafała Lemkina jest zbyt wąska – zastanawiał się Bartov. Bo przecież nie każde ludobójstwo było poprzedzone jawnym wezwaniem do unicestwienia całej grupy narodowej.

Historia przepisana

Hasbara chce, by traktować ją jako narzędzie edukacji. Uważa, że pomaga wyjaśniać złożoną historię Izraela.

Problem w tym, że dla Izraelczyków i Palestyńczyków to zupełnie różne opowieści. Dla jednych: brutalna walka narodu wybranego z demonem antysemityzmu, w imię dobra i liberalnej demokracji, powstrzymująca kolejny Holokaust. Dla drugich: postkolonialna narracja o uciemiężonym ludzie, który od prawie stu lat stawia opór białym kolonizatorom, wspieranym kiedyś przez Albion, a dziś Wuja Sama. Obie społeczności postrzegają siebie jako jedynych rdzennych mieszkańców tej ziemi.

Propaganda Izraela wielokrotnie stawiała znak równości między palestyńskim nacjonalizmem a niemieckim nazizmem. W tym celu najczęściej przypomina historię Muhammada al-Husajniego – wielkiego muftiego Jerozolimy (jego krewnym był Jasir Arafat, dowódca ↦

„Tygodnik" o Gazie i Izraelu



Jak rozmawiać dziś o Izraelu? Czy pytanie o ludobójstwo w Gazie czyni mnie antysemitą? – zapytał na tych łamach Michał Okoński („TP" nr 28/2025). „W kwestii naszego stosunku do Izraela i Gazy jest coś, co powoduje, że ludzie prawi i otwarci, nawykli do uważnego słuchania siebie i innych, z zainteresowaniem przyjmujący odmienne perspektywy, nagle tracą te umiejętności".

Z kolei Marek Matusiak, analizując sytuację w Gazie, doszedł do wniosku, że „cel Izraela to zniszczyć palestyńską obecność w Strefie Gazy. Wszelką obecność" („TP" nr 24/2025). Pisał: „Coraz więcej specjalistów z zakresu prawa międzynarodowego i badań nad historycznymi ludobójstwami nie ma wątpliwości w nazwaniu tego, czego Izrael dokonuje w Strefie Gazy" – że jest to mianowicie „ludobójstwo wręcz podręcznikowe". „W gronie tym są także badacze Zagłady Żydów z czasu II wojny światowej".

Nasza wieloletnia korespondentka z Izraela, Karolina Przewrocka-Aderet, przedstawiała natomiast tę wojnę widzianą oczami Izraelczyków. „Gdy patrzę, jak Zachód obwinia Izrael za humanitarne skutki tej wojny, zadaję sobie pytanie: czy naród doświadczony Zagładą ma obowiązek wykazać się tu wyjątkową empatią, ignorując własną traumę?" – pytała („TP" nr 32/2025). „Po tej wojnie Izrael już nigdy nie będzie taki sam – pisała Przewrocka-Aderet. – W sytuacji, gdy propokojowa lewica przestaje istnieć (...), trudno oczekiwać, że w nadchodzących dekadach znaczna część społeczeństwa izraelskiego będzie zainteresowana pokojem".

↦ Organizacji Wyzwolenia Palestyny) i zawarty przez niego sojusz z Hitlerem.

Amerykańsko-palestyński historyk Rashid Khalidi podkreśla jednak, że ten sojusz nie wynikał z antysemityzmu w europejskim znaczeniu. Mufti był arabskim nacjonalistą – przeciwnikiem osiedlania się w Palestynie setek tysięcy osadników żydowskich, którym Brytyjczycy obiecali własne państwo.

Argument z Holokaustu

Słyszymy czasem, że Żydzi doświadczyli już ludobójstwa, więc mogą wszelkimi środkami bronić się przed kolejnym. Przywoływanie Holokaustu działa tu jak argument totalny: ma zdyskredytować krytyka, sugerując, że jeśli nie popiera Izraela, to stoi po stronie Hitlera lub nawet potajemnie żałuje, że nie dokończył swojego „dzieła".

Jednak czy fakt, że Holokaust miał miejsce, można naprawdę przywołać dziś jako uzasadnienie, iż Izraelczycy mogą popełniać kolejne zbrodnie wojenne?

Dlaczego Zachód odbiera nam prawo do obrony? – pytają Izraelczycy. Wydają się nie zauważać, że już po miesiącu od 7 października 2023 r. liczba zabitych Palestyńczyków przekroczyła liczbę ofiar masakry Hamasu.

Każdy izraelski rewanż w historii najnowszej kończył się krwawo, lecz obecne działania w Gazie i ich niewinne ofiary mają skalę bez precedensu. Izrael lubi przedstawiać się jako „jedyna demokracja na Bliskim Wschodzie" i „partner Zachodu". Ale gdy pojawiają się apele o ochronę cywilów, narracja nagle ulega zmianie: wy, Europejczycy, macie naiwne pacyfistyczne przekonania, których nie da się zastosować w tym dzikim i brutalnym regionie.

„Habibi, przyjacielu, to jest Bliski Wschód, u nas tak się robi" – mówią Izraelczycy. Zapominając, że zasada „oko za oko" szybko uczyni świat ślepym. © MACIEJ AUGUSTYN

Autor studiuje iranistykę, podróżował po Bliskim Wschodzie. Uczestniczył w transportach z pomocą na Ukrainę.

Perogies z cheddarem

MAŁGORZATA SIDZ Z EDMONTON

KANADA | Premier Mark Carney nie wyklucza wysłania na Ukrainę swoich żołnierzy w międzynarodowej misji pokojowej. Popiera go w tym 60 proc. Kanadyjczyków. Choć od niej odległa, Kanada nie patrzy bezczynnie na wojnę Putina.

Dwadzieścia dwa miliardy dolarów kanadyjskich, czyli prawie szesnaście miliardów dolarów amerykańskich: taką sumę Kanada przeznaczyła na wsparcie dla Ukrainy od początku rosyjskiej inwazji w lutym 2022 r. Wsparcie rozumiane szeroko, bo zarówno wojskowe i humanitarne, jak też np. na utrzymanie ukraińskiej infrastruktury, niszczonej rosyjskimi nalotami.

Mark Carney, od marca 2025 r. premier Kanady, obiecuje, że wsparcie to będzie trwać nadal, a jego kraj będzie aktywnie działać na rzecz pokoju w regionie. Z takim przesłaniem Carney jechał niedawno do Kijowa, w święto ukraińskiej niepodległości.

Postanowiłam zapytać zwykłych Kanadyjczyków, czy popierają politykę swojego rządu względem Ukrainy.

IMIGRANCI | Zacznijmy jednak od tego, że prawie 4 proc. Kanadyjczyków (niemal półtora miliona) ma ukraińskie pochodzenie. To sprawia, że diaspora ukraińska w Kanadzie jest – po Rosji – największa na świecie.

Ukraińcy osiedlali się w Kanadzie od końca XIX w., podobnie jak Polacy. Zasiedlali głównie zachodnie prerie. Biedni ukraińscy chłopi z austro-węgierskiej Galicji byli przyciągani wizją darmowej ziemi, a kraj potrzebował doświadczonych rolników.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, a Kanada przystąpiła do tego konfliktu od samego początku, od sierpnia 1914 r. (jako część imperium brytyjskiego), zostali oni uznani za „obywateli wrogiego państwa". Musieli nosić odpowiednie legitymacje i meldować się regularnie policji, a ponad 8 tys. zostało umieszczonych w obozach internowania. Po tamtej Wielkiej Wojnie imigracja trwała dalej, ukraińscy uchodźcy ze Związku Sowieckiego uciekali od głodu i rządów terroru. Kolejna fala miała miejsce po II wojnie światowej.

Do dziś Kanadyjczycy pochodzenia ukraińskiego zachowują tradycję: dzieci uczą się tańców ukraińskich i języka, rodzice chodzą do kościołów prawosławnych i katolickich. Za symbol ukraińskiej kuchni uważane są gołąbki, naleśniki, a także pierogi, które w Kanadzie znane są jako *perogies*. Te „tradycyjne", z serem cheddar, można dostać w każdym pubie.

RÓŻNICE | W maleńkim ukraińskim muzeum, mieszczącym się w mieście Saskatoon w prowincji Saskatchewan, pełno jest złotych ikon i symboli religijnych. Para czterdziestolatków przyprowadziła tu dwójkę dzieci, żeby pokazać im kulturę kraju, z którego pochodzili ich przodkowie. Oni, jak mówią, nie czują się już Ukraińcami, lecz Kanadyjczykami.

Pytam, co myślą o wojnie. – Putin to morderca, nie ma tutaj wątpliwości. Ale w którymś momencie trzeba odpuścić, nie walczyć do końca za wszelką cenę do ostatniego człowieka – odpowiadają.

Od lutego 2022 r. Kanada przyjęła ok. 300 tys. ukraińskich uchodźców. Dzięki specjalnemu programowi rządowemu mogli oni otrzymać prawo pobytu tymczasowego z pozwoleniem na pracę na trzy lata. Aplikacje Ukraińców były traktowane priorytetowo – ich podania przetwarzano w dwa tygodnie (dla porównania: czas oczekiwania na prawo pobytu stałego dla żony czy męża Kanadyjczyka/Kanadyjki to nawet trzy lata).

Na miejscu Ukraińcy otrzymali jednorazową zapomogę w wysokości 3 tys. dolarów dla każdego dorosłego i półtora tysiąca na każde dziecko. Stworzono programy nauki języka angielskiego. Nie-



ARTUR WIDAK / ANADOLU / GETTY IMAGES

Proukraińscy aktywiści podczas szczytu liderów G7 w Kananaskis. Kanada, 16 czerwca 2025 r.

które prowincje udostępniły dodatkową pomoc finansową.

PRZYBYSZE | Ukraińskich uchodźców spotykam na co dzień. Około 70 proc. z nich znalazło zatrudnienie. Często mówią po polsku – dla wielu nasz kraj był przystankiem w drodze do Kanady. Jak dla Bohdana, którego spotykam w parku dla psów.

Bohdan przyjechał dwa lata temu z Łodzi. – Mieszkaliśmy w Polsce już od dawna, ale kiedy pojawiła się możliwość wyjazdu do Kanady, postanowiliśmy zaryzykować. Teraz trochę żałuję. Wynajmowaliśmy super mieszkanie w centrum, mieliśmy więcej znajomych i ciekawsze życie. Tu więcej zarabiamy, ale to nie przekłada się na standard życia. Myślimy o powrocie do Łodzi – deklaruje.

Wielu moich kanadyjskich znajomych szukało ukraińskich partnerek. Szybko okazywało się jednak, że nie są gotowi na różnice kulturowe między nimi. Jak Brendan, który niedawno rozstał się z dziewczyną z Ukrainy: – Chciała, żebym ją utrzymywał. I to jest w porządku, ja dużo zarabiam, a ona sprząta, więc rozumiem, że muszę płacić więcej. Ale ona chciała, żebym także wysyłał pieniądze jej rodzinie. To dla mnie za wiele. Może w tamtej kulturze bierzesz ślub z całą rodziną, ale dla mnie związek to jest coś między dwójką ludzi.

Sugeruję mu, że może winna nie jest kultura, lecz że dziewczyna potrzebuje dodatkowego wsparcia z powodu wojny. Przyznaje, że nie brał tego pod uwagę.

OPINIE | Po sierpniowych rozmowach, inicjowanych przez Donalda Trumpa – najpierw z Putinem, potem z Zełenskim i liderami krajów Europy oraz NATO i Unii – zbieram opinie wśród znajomych Kanadyjczyków. Wielu uważa, że pomysł, aby Ukraina oddała swoje wschodnie regiony Rosji, to „dobra propozycja". Pytam, ile Kanady gotowi byliby oddać siłom agresora.

– To nie jest dobre porównanie, bo Ukraina zawsze była częścią Rosji. To przecież ten sam Kościół, ta sama kultura – słyszę często w odpowiedzi.

– A czy Kanada i USA to nie jest ta sama kultura?

– To zupełnie co innego, my mamy całą historię konfliktu ze Stanami. Razem z Brytyjczykami podpaliliśmy kiedyś nawet Biały Dom. Na wschodzie Ukrainy ludzie chcą być częścią Rosji. I w całym kraju mówią po rosyjsku.

To koronny argument rozmów na temat konfliktu. Znajomość rosyjskiego jest dla wielu dowodem na ukraińską podległość. Nie umyka mi ironia tego, że zarówno Kanadyjczycy, jak i wyrażający podobny pogląd Amerykanie mówią po angielsku. Drugim najczęściej słyszanym argumentem jest to, że na Ukrainie panuje korupcja, nie można więc przewidzieć, dokąd trafia pomoc. Podium zamyka stwierdzenie, że europejskie wojny powinny być przede wszystkim problemem Europy.

ZA MIEDZĄ | Zwróćmy uwagę, że podobne opinie obecne są dziś w amerykańskich mediach. Natomiast największe koncerny medialne w Kanadzie, czyli CBC, CTV News, Global News i Toronto Star, kojarzone są z liberalną linią polityczną. Konserwatystom pozostaje tylko „National Post" i „Toronto Sun". Wielu Kanadyjczyków o poglądach nieliberalnych uzupełnia więc swoją wiedzę, korzystając z konserwatywnych amerykańskich platform, takich jak Fox News.

W Stanach Ukraina dzieli Partię Republikańską, a Trump nie kryje osobistych sympatii, a nawet podziwu dla Putina jako „silnego lidera". Choć więc w Kanadzie od czasów rozpoczęcia przez Trumpa wojny celnej panują raczej antyamerykańskie nastroje, wielu myśli o tym konflikcie „po amerykańsku".

KONSENSUS | Mimo to według sondaży prawie połowa Kanadyjczyków uważa, że ich rząd dostarcza odpowiednie wsparcie Ukrainie, a 14 proc. chciałoby, aby było go więcej. Prawie połowa deklaruje, że przygląda się rozwojowi konfliktu i że jest na jego temat dobrze poinformowana. Zdecydowana większość popiera sankcje względem Rosji.

W kwestii pomocy dla Ukrainy premier Carney, polityk z Partii Liberalnej, może liczyć na konsensus z opozycją. W trzecią rocznicę rozpoczęcia przez Rosję inwazji lider opozycyjnej Partii Konserwatywnej, Pierre Poilievre, zadeklarował „niezmienną" i „pełną" solidarność z Ukrainą. Obiecał, że konserwatyści będą nadal popierać dostarczanie Ukrainie uzbrojenia, i że proces pokojowy nie powinien odbywać się bez uczestnictwa Kijowa. „Ukraińcy mają prawo decydować o swojej przyszłości" – podkreślił Poilievre.

MISJA | Premier Mark Carney nie wyklucza wysłania na Ukrainę kanadyjskich żołnierzy w międzynarodowej misji pokojowej. Popiera go w sondażach 60 proc. wszystkich Kanadyjczyków. Pomysłowi przeciwnych jest za to 51 proc. wyborców Partii Konserwatywnej.

Gdyby do takiej misji doszło, byłoby to wyzwanie – kanadyjska armia liczy tylko 68 tys. osób, a wystawia już rotacyjnie ponad dwutysięczny kontynent, który jest trzonem NATO-wskiej brygady na Łotwie. Carney zapowiada zwiększenie inwestycji w wojsko i podniesienie płac w armii, by zachęcić nowych rekrutów. ©

OPINIE

KONIEC ŚWIATA DYPLOMATÓW

Amerykanie do osuszenia bagna wybrali potwora z bagien. Korupcja, niekompetencja i populizm wżarły się głęboko w waszyngtońskie instytucje, np. w Departament Stanu. Skutki są groźne nie tylko dla USA.

MARCIN GIEŁZAK



Powiedzieć, że Donald Trump jest demagogiem, to jak powiedzieć, że Mozart był pianistą. Ilekroć amerykański prezydent zabiera głos, na salonach czy na wiecu, obserwujemy przy pracy mistrza. Gdy przemawia na wypełnionym do ostatniego miejsca stadionie, gestykuluje w charakterystyczny sposób, jak gdyby między palcem wskazującym a kciukiem trzymał niewidoczną batutę i za jej pomocą dyrygował emocjami tłumu. Gdy siada do stołu ze światowymi przywódcami, zachowuje się tak, jak gdyby nie wyszedł z roli gwiazdy teleturnieju „The Apprentice"; szelmowsko się uśmiecha, sypie żartami, prowadzi personalne gierki.

Komik odstawia farsę na oczach widowni zbyt przerażonej, aby się śmiać? Inaczej to jednak widzą jego zwolennicy: oni bawią się świetnie, obserwując, jak Trump z polityki robi przedłużenie show-biznesu, jak ani przez chwilę nie zapomina, że jest tu, gdzie jest, bo potrafi dać ludziom rozrywkę i ustrzec ich przed nudą.

Dziś w polityce lepiej oburzać, niż nudzić. Przywódca ruchu MAGA pozostaje prowadzącym teleturniej, Zełenski, Macron, Starmer, Merz to ledwie uczestnicy, którzy muszą się mocno napracować, aby zostać w grze. Im bardziej ich ta konwencja uwiera, im częściej wywracają oczami eksperci, tym bardziej trumpowska publika jest zachwycona.

Racja stanu i nasza racja

Trump z powodzeniem przekonał większość swoich rodaków, że są tylko dwa obozy, dwa sztandary, dwie wizje: elity ze swoją ideologią panującą oraz lud ze swoimi zdrowymi odruchami. Elity są silne dzięki instytucjom, które zagarnęły, takim jak uczelnie, redakcje, sądy, urzędy. Ich władza jest w gruncie rzeczy uzurpatorska, zatem wolno z nią walczyć wszelkimi dostępnymi środkami – legalnymi i nielegalnymi. O ile bowiem lud MAGA może marzyć o kolejnym „szturmie na Kapitol", o tyle jego przywódcy są bardziej metodyczni; oni woleliby „prawicowy rok 1968", swój własny Marsz przez Instytucje, czyli wrogie, ale pokojowe i zgodne z prawem ich przejęcie.

Jedną z najważniejszych instytucji, które należałoby w ten sposób zdobyć, jest Departament Stanu. Trumpowska rewolucja nie może się bowiem wyrzec kluczowego obszaru działalności państwa, jakim jest dyplomacja, jeśli chce zmieniać świat w zgodzie ze swoimi założeniami. Nie może też się pozbawić ważnej techniki zdobywania serc i umysłów własnych obywateli, jakim jest populizm dyplomatyczny.

Partia przed państwem

Wprowadzam tu pojęcie nowe, muszę je zatem zdefiniować. Populizmem dyplomatycznym nazywam dążność do tego, aby politykę zagraniczną w całości podporządkować krajowej rywalizacji partyjnej. Każda inicjatywa na arenie międzynarodowej zostaje w takiej sytuacji sprowadzona do pretekstu, aby nagrać rolkę czy napisać krótki tekst na platformie społecznościowej i uderzyć w rodzimą konkurencję. Celem przestaje być osiągnięcie czegoś w relacjach z innymi państwami, a staje się nim wywołanie pożądanej reakcji własnego elektoratu.

Nie ma tu miejsca na rację stanu czy interes narodowy, jest tylko nasza racja i nasze interesy. Nie ma gry i kalkula-



PATRICK AVENTURIER / GETTY IMAGES

Figura Donalda Trumpa z kukiełką prezydenta Francji Emmanuela Macrona podczas parady karnawałowej w Nicei. Francja, 16 lutego 2019 r.

cji, są emocje i fantazje. Nie ma żmudnych negocjacji i targów, są wielkie gesty i mocne słowa. Dyplomata to człowiek, który trzy razy się zastanowi, zanim nic nie powie; populista trzy razy coś powie, zanim się zastanowi. To już nie wiek XIX, kiedy mawiano, że nawet wypowiedzenie wojny musi być sformułowane zgodnie z zasadami wyszukanej kurtuazji; teraz trzeba „mówić jak jest", „walić prosto z mostu" i ani przez chwilę nie zapominać, że odbiorcą nie jest obcy rząd czy ambasada, ale wyborcy we własnym kraju.

Dyplomatyczna zaraza

Populizm dyplomatyczny działa podobnie jak sądowy czy społeczny.

Demagog beztrosko obiecuje proste, wręcz prostackie rozwiązania skomplikowanych problemów. Donald Trump zapewniał więc, że wojnę rozpoczętą agresją Rosji na Ukrainę zakończy w 24 godziny po swojej inauguracji.

Demagog odpowiedzialność za całe zło i wszelkie niepowodzenia zrzuca na niedookreślone elity i ściśle określonych polityków. Donald Trump prawdziwe lub zmyślone porażki amerykańskiej polityki zagranicznej przypisywał raz to „głębokiemu państwu", raz to osobiście Joe Bidenowi.

Demagog nie uznaje takich pojęć jak obiektywne przeszkody albo systemowe wyzwania; dla niego każdy problem jest personalny. Wystarczy przecież odsunąć od kierowania dyplomacją skorumpowane elity i oddać sprawy w ręce ludowego czempiona, który o wszystko się zatroszczy, umieszczając właściwych ludzi na właściwym miejscu. Można przykładowo na miejsce przemądrzałych urzędników sprowadzić swojego kompana od golfa i partnera w interesach Stevena Witkoffa, którego pierwszymi w życiu zadaniami na odcinku spraw międzynarodowych były od razu negocjacje w sprawie zawieszenia broni Izraela z Hamasem i rozmowy z Siergiejem Ławrowem na temat Ukrainy. Można to porównać do sytuacji, w której szeregowemu żołnierzowi tuż po przysiędze oddano by dowodzenie zgrupowaniem armii na kluczowym odcinku frontu. ↦

Dyplomaci w kwarantannie

↦ Jeśli prowadzi się wojnę z elitami, to oczywiście trudno sobie wyobrazić bardziej wdzięczny obiekt ataków niż ci wszyscy ambasadorowie, konsulowie i sekretarze, tak dobrze wyćwiczeni w sztuce władania widelcem i nożem, tak sprawnie wypowiadający się w obcych językach, tak chętnie dający się obwozić po hotelach, konferencjach i przyjęciach na koszt podatnika.

Już u zarania amerykańskiej republiki jeden z senatorów bez ironii zaproponował, aby dyplomatów wracających z zagranicy umieszczać w kwarantannie; „Tak jak słusznie obawiamy się, że ktoś przywlecze do nas zarazę – argumentował – tak powinniśmy bać się, że przywlecze tu obce obyczaje, nawyki, idee".

Zarówno wtedy, jak i dzisiaj, liczni są ci, którzy uważają, że Ameryka nie ma się czego uczyć od przegniłej dekadencją Europy. Myślę, że J.D. Vance czy Tucker Carlson nie byliby zupełnie wrodzy pomysłowi dyplomatycznej kwarantanny.

Rodzina na swoim

Mało tego, to przecież urzędnicy Departamentu Stanu chwalili się na łamach znienawidzonego „New York Timesa", że cierpliwie sabotowali politykę Trumpa przez biurokratyczną obstrukcję, podczas gdy pomysły Bidena realizowali posłusznie i żarliwie. Trudno też zapomnieć o tych wszystkich przedstawicielach establishmentu od spraw zagranicznych, którzy nigdy nie zmarnowali żadnej okazji, by skrytykować prezydenta i jego zamierzenia. Nawet ci, którym Trump chciał dać szansę dołączenia do jego obozu, jak John Bolton, na koniec go zdradzili. Słowem: dyplomacja to elita, to *deep state*, to wróg. Trzeba jej populistycznej korekty poprzez wymianę kadr.

Nie mylmy tutaj „populistycznej" polityki personalnej z „demokratyczną"; nie idzie o to, że na wysokie stanowiska mianowano ludzi z ludu, z awansu, którzy wszystko zawdzięczają ciężkiej pracy i patriotycznej postawie. Tutaj decyduje bliskość wobec szefa ruchu MAGA, który w ramach dyplomatycznej „rodziny na swoim" ambasadorem w Paryżu uczynił swojego powinowatego Charlesa Kushnera; tego samego, którego wcześniej ułaskawił po tym, jak został skazany m.in. za przestępstwa podatkowe. Inny członek rodziny, Massad Boulos, został wysokiej rangi doradcą prezydenta, a także – mimo braku doświadczenia w sprawach międzynarodowych – jego specjalnym wysłannikiem na niełatwych odcinkach, takich jak Liban czy Kongo.

Pot dyplomatów pozwala oszczędzać krew żołnierzy.

Ameryka zbudowała swoją potęgę dzięki zręczności w polityce międzynarodowej, ale dziś jej przywódców interesują tylko doraźne skoki na kasę.

Rozwałka

Nie mniej kontrowersji wywołały nominacje na stanowiska ambasadorskie osobistych znajomych lub partnerów biznesowych, którzy obsiedli placówki od Reykjavíku po New Delhi, choć ich wyobrażenie o krajach, w którym przyszło im pracować, jak i o zadaniach, które przed nimi stoją, było w najlepszym razie mgliste.

Jednocześnie wyrzuca się z pracy przedstawicieli pokolenia, które dołączyło do służby zagranicznej po zamachach 11 września 2001 r., autentycznych patriotów i państwowców. Jeden z nich powiedział, że na spakowanie się dano mu sześć godzin. „Kiedy wydalono mnie z Rosji – mówił gorzko – nawet Putin dał mi sześć dni".

Oczywiście, że w Departamencie Stanu były przerosty zatrudnienia, biurokratyczne absurdy, urzędnicza inercja. Odpowiedzią na te problemy powinna jednak być ostrożna reforma, a nie bezmyślna rozwałka.

Cła za hotel

Nigdy nie wolno zapominać, że wypłata elitaryzmu następuje w monecie populizmu. Największym sukcesem współczesnej demagogii było przekonanie ludzi, że o zaszeregowaniu klasowym człowieka rozstrzyga nie jego majątek czy urodzenie, ale wykształcenie i poglądy. Trump może więc zbudować administrację – i służbę dyplomatyczną – złożoną z miliarderów, a nawet synów miliarderów, ale nadal będą to swojaki z ludu, bo „mówią, jak jest" i oglądają Fox News; co innego pracujący za 90 tys. dolarów rocznie dyplomata, który używa terminów w rodzaju *chargé d'affaires* i czytuje pisma takie jak „Foreign Affairs".

Codzienność obecnej administracji to jawne skoki na kasę. Przywołajmy przykład Wietnamu, któremu amerykański prezydent groził horrendalnym, 46-procentowym cłem aż do momentu, kiedy w ekspresowym tempie i z naruszeniem miejscowych regulacji wyrażono zgodę na budowę przez organizację Trumpa kompleksu hotelowego w Ho Chi Minh, czyli w dawnym Sajgonie – i szybko okazało się wtedy, że narzuty spadły do 10 proc. Trudno podejrzewać, że był to zbieg okoliczności, można za to sądzić, że niechęć amerykańskiego przywódcy do Kanady wynika z faktu, że tam z kolei dwa jego hotele, jeden w Toronto, drugi w Montrealu, zbankrutowały po części z uwagi na konsumencki bojkot.

Dynastia

Wydaje się, że nowe reguły „dyplomacji" w lot pojęli szejkowie z Abu Zabi, inwestujący w kryptowalutę Trumpa, oraz Katarczycy, którzy podarowali mu samolot.

Trump tak długo odgrywał rolę miliardera, aż dzięki polityce został nim naprawdę. Teraz wydaje się, że chce czegoś więcej: zamierza wprowadzić swoją rodzinę do „amerykańskiej arystokracji" dziedzicznych biznesowych potentatów i państwowych dostojników, w rodzaju Rooseveltów, Mellonów, Vanderbiltów czy Kennedych. Fortuna zbita na prezydenturze, siatka krajowych i międzynarodowych koneksji oraz magia nazwiska mają sprawić, że zobaczymy jeszcze kiedyś kolejnego Trumpa w Białym Domu. Pytanie brzmi, jaką Amerykę Don Junior albo Barron Trump odziedziczą wtedy po ojcu?

Jak Ameryka stała się wielka

Stany Zjednoczone pojawiły się na arenie dziejowej, bo ich wybitni dyplomaci zręcznie pozyskali francuską armię, flotę i pieniądze, bez których rewolta trzynastu brytyjskich kolonii musiałaby upaść. Młody naród z czasem stał się globalnym hegemonem, bo inaczej niż dawniejsi kandydaci do tej roli, umiał uczynić swoją dominację nie tylko znośną, ale wręcz korzystną dla innych państw.

NATO, Plan Marshalla czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy to pomnikowe osiągnięcia z epoki walki o prymat. Podczas gdy inni mieli satelitów i wasali, Ameryka miała i nadal jeszcze ma prawdziwych sojuszników.

W kategoriach „wielkiej strategii" oznacza to, że nawet gdyby Chiny miały większą gospodarkę czy silniejszą armię, to Waszyngton wciąż byłby silniejszy siłą swoich aliantów: bogatej Europy z jej dwoma mocarstwami atomowymi albo potencjalnego antyhegemonicznego paktu na Indopacyfiku, z Japonią, Koreą, Tajwanem, Filipinami, Indiami i Australią.

W kategoriach taktycznych oznacza to, że USA, owszem, mogły użyć swojej potęgi militarnej, by rozbić wojska irackie czy afgańskie, ale trzeba było rozlicznych porozumień, od Berlina po Islamabad, aby zapewnić sobie korzystanie z pakistańskiej przestrzeni powietrznej albo niemieckich lotnisk czy szpitala w Landstuhl, o informacjach wywiadowczych nie wspominając. W czasie ewakuacji z Afganistanu istotna była pomoc Francji czy Kataru. Pot dyplomatów pozwala oszczędzać krew żołnierzy.

Gdy runął mur

W okresie zimnowojennym amerykańską dyplomacją kierowało pokolenie „mędrców", takich jak Dean Acheson, George Kennan czy Charles Bohlen. Gdy mur runął, wydaje się, że Stany Zjednoczone pokonały ich własne zwycięstwa.

Najpierw Bill Clinton dokonał „ekonomizacji" polityki zagranicznej, narzucając ogromne oszczędności Departamentowi Stanu i błędnie zakładając, że przyszła rywalizacja będzie już tylko współzawodnictwem pracy, innowacyjności i handlu. Później George Bush zabrnął w „militaryzację", uważając, że jako szef hipermocarstwa może zwyczajnie dyktować innym warunki i wymuszać posłuch dzięki potędze swoich wojsk. Obama i Biden nie potrafili albo nie chcieli odwrócić polityk swoich poprzedników.

Trump wziął zaś to, co najgorsze ze zwrotu clintonowskiego (postrzeganie polityki zagranicznej przez bilans handlowy, Elon Musk dokonujący demontażu zasobu dyplomatycznego, jakim był USAID), a także bushowskiego (chętne i impulsywne sięganie po instrument wojskowy, logika „kto nie z nami, ten przeciwko nam"). Do ich błędów i wypaczeń dorzucił jednak własne: osobistą korupcję i wrogość względem ekspertyzy. W czasach, gdy do komentowania wojen w Ukrainie i w Gazie zaprasza się komików, którzy nie wiedzą, że brzmią jak aktywiści, i aktywistów, którzy nie wiedzą, że brzmią jak komicy, „mędrcy" byliby równie irytujący dla swoich politycznych zwierzchników, jak i dla wyborców. Nawet solidni, dyplomatyczni rzemieślnicy wydają się zbędni w epoce, w której przywódcy mogą w dowolnym momencie do siebie zadzwonić.

Szczyty bez fachowców

Istotnie, technologia zmieniła wiele, ale nie wszystko.

Po pierwsze, swobodnie dzwonić do przywódców mocarstw mogą inni przywódcy mocarstw, ale już polski prezydent czy premier musiałby się o taką rozmowę wystarać, korzystając z aktywności własnych dyplomatów. Po drugie, nawet jeśli ma się łatwość zorganizowania połączenia czy wręcz międzynarodowego szczytu, trzeba jeszcze wiedzieć, o czym rozmawiać. Tutaj znowu nieocenieni są zawodowi dyplomaci, którzy wyłożą politykom istotne fakty, zwrócą uwagę na sztuczki negocjacyjne, po które może sięgnąć druga strona, opracują scenariusze dalszego rozwoju wypadków.

Fachowcy nie dopuściliby nigdy do wielkiej improwizacji, jaką oglądaliśmy podczas szczytów w Anchorage i Waszyngtonie. Zadbaliby o to, aby spotkania miały określoną agendę, porządek, cel. Upewniliby się, że po szczycie zostanie przedstawiona odpowiadająca przebiegowi rozmów oraz interesowi ich kraju i państw sojuszniczych deklaracja końcowa. Nie pozwoliliby, aby Putin odnosił łatwe sukcesy wizerunkowe, wynikające z nieprzygotowania lub naiwności strony amerykańskiej. Tym bardziej nie pozwoliliby, aby Kreml miał wpływ na skład amerykańskiej delegacji ani nie poddaliby kluczowych punktów negocjacyjnych bez symetrycznych ustępstw z drugiej strony, nim rozmowy się zaczęły (kwestia zawieszania broni jako warunku kontynuacji rozmów, członkostwa Ukrainy w NATO oraz jej powojennych granic).

Trump chce Nobla

Trudno też sobie wyobrazić zawodowców z Departamentu Stanu doradzających politykę, w konsekwencji której Europa albo faktycznie wybije się na strategiczną suwerenność, albo ugnie się pod presją Rosji i ciężarem własnych sprzeczności; dwa scenariusze bardzo niekorzystne z punktu widzenia Amerykanów.

Analogicznie: nikt, kto myśli perspektywicznie, nie chciałby, aby USA osłabiły rodzącą się koalicję antychińską, bijąc w starych i potencjalnych sojuszników wysokimi cłami, brutalnie deportując ich obywateli, zniechęcając na wszelkie dostępne sposoby własny biznes do inwestycji w tamtych krajach. Skutki tej polityki już widać na przykładzie ochłodzenia relacji z Indiami, kluczowym partnerem na odcinku powstrzymywania Pekinu.

Jak jednak planować jakąkolwiek dalekosiężną politykę, jeśli przywódca Wolnego Świata chce jak najszybciej zakończyć „wojnę Bidena", bo liczy, że dostanie wtedy Pokojową Nagrodę Nobla, której pozazdrościł Obamie? Oczywiście, nie każde posunięcie nowej administracji da się wytłumaczyć niekompetencją, ale niczego nie da się wytłumaczyć, jeśli będzie się na jej niekompetencję ślepym.

Kreml korzysta

Na nasze nieszczęście jest państwo, którego postawa stanowi antytezę dla trumpowskiej antydyplomacji. Jakkolwiek nie szanuje się tam ani prawa międzynarodowego, ani praw człowieka, ma się tam nadal respekt dla starych prawideł polityki międzynarodowej. Tamtejsze elity umieją negocjować i manipulować, przełamywać izolację i obchodzić sankcje. Są, rzecz jasna, skorumpowane, ale kradną w granicach wyznaczonych przez interes państwowy. Ich dyplomaci – zawsze przygotowani, cierpliwi, cyniczni i bezwzględni – potrafią wygrać przy stole to, co ich dowódcy przegrali w polu. Dla nich historia nie skończyła się wraz z zimną wojną, bo według nich zimna wojna trwa nadal, a jej reguły cały czas obowiązują. Nikt tam też nie będzie zabiegał o Pokojową Nagrodę Nobla.

Państwem tym jest Rosja.

© MARCIN GIEŁZAK

Autor jest publicystą i podkasterem. Wydał m.in. „Wieczną lewicę", z Jakubem Dymkiem współprowadzi podkast „Dwie lewe ręce".

WIARA

ŚWIĘTY JAK NIEMALOWANY

Nie żałował pięści faszystom i komunistom, agitował w fabrykach i szarpał się z policją. Kim był Pier Giorgio Frassati – niepokojąco aktualny święty?

MAREK ZAJĄC

Od dekad jest ikoną młodzieżowego duszpasterstwa – a jednocześnie wstępy do poświęconych mu książek pisały intelektualne tuzy, jak Karl Rahner, Krzysztof Michalski czy Zygmunt Kubiak. Z różnych powodów fascynował różnych papieży. Młody ksiądz Giovanni Battista Montini – przyszły Paweł VI – widział w Pier Giorgiu pokrzepiającą odpowiedź na pokusę myślenia, że chrześcijańska koncepcja dążenia do doskonałości nie sprawdza się w realiach XX wieku. Pod urokiem Frassatiego pozostawał student Karol Wojtyła, który później, jako krakowski kardynał, stawiał go za wzór dla młodzieży, jako świadka Chrystusa i człowieka Ośmiu Błogosławieństw, a jako papież beatyfikował w maju 1990 r. Jego kanonizacji chciał dokonać Franciszek, akcentując poświęcenie dla ubogich i potrzebujących. Papieska śmierć wymusiła jednak przesunięcie uroczystości na wrzesień i połączenie z ogłoszeniem świętym innego patrona młodych, Carla Acutisa.

Od śmierci do kanonizacji Acutisa minęło niespełna dwadzieścia lat. Frassati – mimo powszechnego kultu – czekał okrągłe stulecie. Dlaczego?



Na pewno przeszkadzał ciasny gorset kościelnych kanonów świętości. Jeszcze nie tak dawno nadgorliwi strażnicy moralności retuszowali z górskich fotografii Frassatiego fajkę, którą zawadiacko trzymał w zębach. Choć przecież trudno zakładać, że rajskie wrota są z zasady zamknięte dla palaczy, zwłaszcza że wiedzę o szkodliwości nikotyny dla zdrowia ludzkość posiadła dopiero w latach 60., a i Brat Albert prosił o papierosa na łożu śmierci...

Zwykły żołnierz

Wszystko zaczęło się nawet nie tyle hagiograficznie, ile wręcz apokryficznie – w bogatym domu włoskich elit. Do drzwi puka żebraczka z dzieckiem, otwiera kilkuletni Pier Giorgio. W odruchu serca ściąga i wręcza własne buciki i podkolanówki. A kiedy ojciec każe wygonić innego żebraka, bo śmierdzi alkoholem, Pier Giorgio zanosi się płaczem: – Może to Jezus przechodził, a myśmy Go przepędzili.

Rodzinna legenda? Pobożny obrazek wymyślony *post factum*, żeby jeszcze rozjaśnić blask aureoli? A może to po prostu nie tak w końcu rzadka sytuacja, kiedy rezolutne dziecko robi i mówi rzeczy zaskakujące albo nad wiek dojrzałe, budząc tkliwe zachwyty dorosłych?

Sęk w tym, że całe dalsze życie urodzonego w kwietniu 1901 r. Pier Giorgia potwierdza wydarzenia przypisywane jego dzieciństwu. Jako nastolatek odwiedza najbiedniejsze dzielnice rodzinnego Turynu, żeby pomagać potrzebującym. Związany z Konferencją św. Wincentego à Paulo i Uniwersytecką Federacją Katolików Włoskich, bierze pod opiekę dziesiątki ubogich rodzin. Kiedy kończa dobiega Wielka Wojna – zajmuje się sierotami, kalekami i weteranami. Podczas pandemii grypy hiszpanki nie boi się kontaktu z zarażonymi. Przez lata odwiedza szpital dla trędowatych, samodzielnie myje chorych, robi zastrzyki. Kiedy widzi, jak w sierocińcu zakonnica odpędza od stołu owrzodzonego chłopczyka, siada obok malca i demonstracyjnie jedzą posiłek wspólną łyżką.

To pierwsza istotna cecha Pier Giorgia: w jego dobroczynności nie ma nic z wielkopańskiego gestu. Wprawdzie nie opuszcza zamożnego domu, jak św. Franciszek, ale na wzór Biedaczyny z Asyżu chce służyć ubogim, dbając o serdeczną bliskość i autentyczne braterstwo. Między innymi dlatego wyklucza drogę kapłaństwa – tłumacząc, że postanowił „służyć jako zwykły żołnierz, nie oficer. Prawdziwe dobro czyni się niepostrzeżenie, powoli, codziennie, w zwykłych sprawach. Trudno jest oficerowi mieć powodzenie w działaniu, które wymaga bliskości". Jeżeli sutanna ma być barierą, pozostanie świeckim.

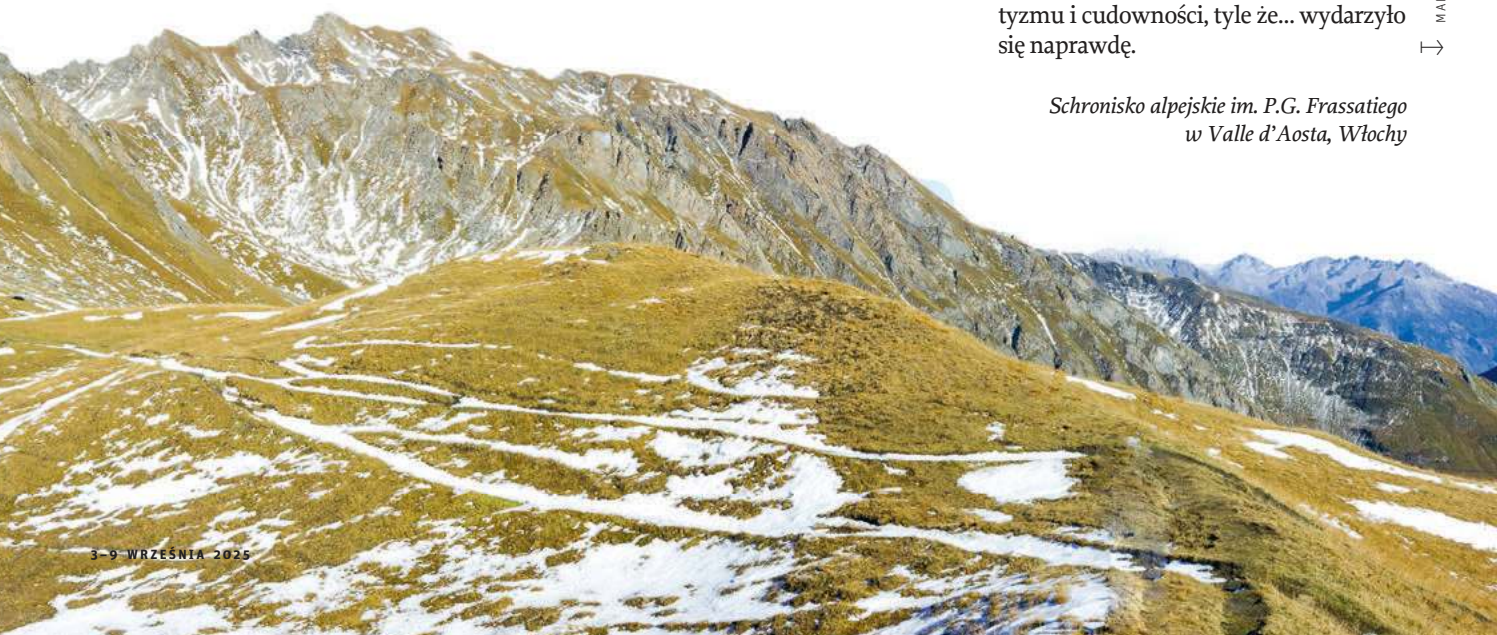
Drugą cechą jest – by zacytować Jana Pawła II z jego pożegnalnej pielgrzymki do Polski w 2002 r. – wyobraźnia miłosierdzia. Czasem Pier Giorgio działa spontanicznie, ofiarowując biednemu na ulicy, w środku zimy, własny płaszcz. Ale z reguły stara się pomagać konsekwentnie, długofalowo. Kiedy chory na serce biedak ma kłopoty z utrzymaniem rodziny, Pier Giorgio wpada na pomysł, by został sprzedawcą lodów. Na pożyczkę przeznacza sporą kwotę, żeby „dać temu biedakowi smak oszczędzania. Jeśli ta suma nie zostanie oddana, zyska na tym jego rodzina. Sądzę, że musimy działać w tym kierunku. Pięknie jest dawać pieniądze i chleb, ale jeszcze piękniej dać pracę i okazję do odkładania pieniędzy".

Ułańska fantazja

Co zaskakujące, to radykalnie ewangeliczne życie rodzi się i rozwija w okolicznościach mało sprzyjających. Ojciec Pier Giorgia jest wprawdzie postacią nietuzinkową i wpływową – właścicielem i redaktorem naczelnym liberalnego dziennika „La Stampa", najmłodszym senatorem zjednoczonego Królestwa Włoch i ambasadorem w Berlinie – ale z Kościołem nie było mu po drodze. Wiara matki jest płytka i zrytualizowana.

To kochająca się rodzina, ale w czasach dominacji zimnego chowu jakby żyjąca obok siebie. Bliscy Pier Giorgia nie mają pojęcia, jak bardzo poświęcił się pomocy potrzebującym i jak głębokie jest jego życie duchowe. Nie zawsze wiedzą, dlaczego np. się spóźnia (pieniądze na bilety tramwajowe oddaje biednym) bądź wychodzi aż tak wcześnie rano (modlitwa i msza).

W efekcie nagle przerwane w 1925 r. życie Pier Giorgia zwieńczy scena, która przywodzi na myśl średniowieczną „Złotą legendę", tyle że tym razem poświadczona została dziesiątkami świadectw. Otóż na jego pogrzebie, ku zaskoczeniu rodziny, pojawią się tysiące prostych ludzi, z wdzięczności dla ich syna i brata. Rozwijająca się dyskretnie świętość objawia się i jaśnieje pełnym blaskiem dopiero po śmierci. Na dodatek po kilku dekadach, gdy jego ciało przenoszono z rodzinnego grobowca do katedry św. Jana Chrzciciela w Turynie, okazało się, że pozostało nienaruszone biologicznym rozkładem. Dla niektórych może to wszystko być nieznośnie mdłe od patetyzmu i cudowności, tyle że... wydarzyło się naprawdę.



MARCO MONTICONE / ADOBE STOCK

Schronisko alpejskie im. P.G. Frassatiego w Valle d'Aosta, Włochy

↦ Zresztą nie sposób bliskim Pier Giorgia czegokolwiek wyrzucać, bo na co dzień nie przybierał pozy ascety i mistyka, pozostając rozbrykanym dzieckiem i młodzieńcem z ułańską fantazją. Zapalony narciarz i znakomity alpinista: góry to jego druga po Bogu miłość. „Z każdym mijającym dniem coraz bardziej kocham się, na umór, w górach; ich czar mię zniewala" – pisze w jednym z listów i dodaje w kolejnym, że „z każdym dniem coraz głębiej się pogrążam w miłości do gór i chciałbym, jeśli studia mi na to pozwolą, spędzać całe dnie tam wysoko i w tym czystym powietrzu kontemplować Wielkość Stwórcy".

Górskie wyprawy stają się okazją do nienachalnego ewangelizowania rówieśników. W tym celu, na rok przed śmiercią, Pier Giorgio zakłada Stowarzyszenie Ciemnych Typów, działające w duchu... terrorystycznym. Z sowizdrzalskim humorem podpisuje się jako Pier Giorgio Robespierre, zgodnie z przyjętą dewizą: *Terror omnia vincit*. Pobrzmiewa w tym jednak nie tylko młodzieńcza zgrywa. Kiedy w 1922 r. został tercjarzem dominikańskim, przyjął imię Girolamo (Hieronim), na cześć florenckiego dominikanina Savonaroli – żarliwego reformatora, ekskomunikowanego przez papieża Borgię, powieszonego i spalonego na stosie, a wkrótce przez Kościół zrehabilitowanego.

Te różne oblicza Pier Giorgia wzajemnie sobie nie przeczą; przeciwnie – logicznie się uzupełniają i równoważą. Po wielu latach różni ludzie będą na jednym oddechu wspominać jego skupioną modlitwę, spontaniczne recytowanie Dantego, głośne przyśpiewki i sztubackie żarty. Jego wiara nie odgradzała od świata, ale umożliwiała jeszcze intensywniejsze jego przeżywanie. Uświęcała, ale nie zamieniała w anioła lewitującego nad ziemią. Doskonałym przykładem jest jego duchowość eucharystyczna. Od trzynastego roku życia Pier Giorgio starał się codziennie przyjmować Komunię świętą, jego adoracje zamieniały się w rodzaj mistycznego transu. To doświadczenie zawsze jednak mobilizowało do konkretnego działania: „Jezus w Komunii odwiedza mnie co rano, ja odpłacam Mu na swój ubogi sposób – odwiedzam biedaków".

Precz z faszyzmem

Chrześcijaństwo Frassatiego nie było bezzębne ani oderwane od biegu bieżących wydarzeń, także politycznych. Z medytacji nad listami św. Pawła wyniósł przekonanie o równości wszystkich ludzi, ale nie zatrzymał się na abstrakcyjnych rozważaniach o godności, tylko w duchu encykliki „Rerum novarum" zaangażował się w walkę o sprawiedliwość społeczną. Powtarzał, że sama dobroczynność nie wystarczy, konieczne są reformy. Bez wątpienia był katolikiem lewicującym, aktywnym członkiem Włoskiej Partii Ludowej (PPI).

Ten zabarwiony socjalistyczną czerwienią rys chadecki zderzał się z liberalizmem jego ojca, Alfreda, balansującym między agnostycyzmem i ateizmem. Ilustruje to anegdota, gdy Pier Giorgio z zapałem i sukcesem namawiał turyńczyków do prenumeraty katolickiego dziennika „Momento", czym – chcąc nie chcąc – wspierał rynkową konkurencję własnego rodziciela. Gdy wieści o tych wyczynach dotarły do Frassatiego seniora, miał się żachnąć do syna: „Idź jeść do redakcji »Momento«"...

Niestety nie wiadomo, czy do Alfreda dotarły powtarzane przez Pier Giorgia zapowiedzi, że rodzinny majątek – w razie jego odziedziczenia – rozda ubogim. Spięcia nie położyły się jednak głębszym cieniem na relacjach między ojcem i synem. A politycznie połączył ich sprzeciw wobec faszyzmu. Po zdobyciu władzy przez Mussoliniego ojciec natychmiast zrezygnował z ambasadorowania w Berlinie. Za nonkonformizm zapłacił słoną cenę, zmuszony do sprzedaży „La Stampy". Gdy zaś wspomniane „Momento" poparło faszystów, Pier Giorgio wezwał do bojkotu dziennika, nazywając go „brudną gazetą, która oszukuje ludzi". Ze świętym – *nomen omen* – oburzeniem krytykował katolików, których uwiodła totalitarna siła i przyswoili sobie „moralność morderców i złodziei".

W czerwcu 1924 r. sześciu faszystowskich bojówkarzy napada na turyński dom Frassatich. Następnego dnia Pier Giorgio relacjonuje w liście do przyjaciela: „Drogi Tonino! Piszę, żeby Cię uspokoić: dowiesz się z dziennika, że wczoraj ponieśliśmy małe straty w naszym mieszkaniu ze strony tych sk... faszystów. Było to przedsięwzięcie tchórzy i tyle". Kiedy jeden z napastników usiłuje przeciąć kabel od telefonu, dostaje od Pier Giorgia z pięści. „Szczęśliwie możemy się chlubić, że zawsze byliśmy przeciwko tej partii, złożonej ze złoczyńców, złodziei, morderców, jednym słowem: byliśmy przeciw samemu faszyzmowi" – komentował przyszły patron młodzieży, który na koncie ma również m.in. agitację w fabrykach, nocne rozlepianie wyborczych plakatów okupione bójką z komunistami oraz uliczną szarpaninę z policją i konnymi gwardzistami podczas pokojowego przemarszu katolików przez Rzym.

Krótko mówiąc: Frassati ćwiczył się w pokorze, ale pokory nie zwykł traktować jako wymówki dla własnego tchórzostwa.

Patron demokracji

Ta relikwia drugiego stopnia szczególnie ujęła papieża Franciszka. Na dzień przed śmiercią, dotknięty postępującym



ARCHIVIO GBB / ALAMY STOCK PHOTO

Pier Giorgio Frassati, ok. 1920 r.

PIER GIORGIO FRASSATI W LIŚCIE DO PRZYJACIELA:

„Szczęśliwie możemy się chlubić, że zawsze byliśmy przeciwko tej partii, złożonej ze złoczyńców, złodziei, morderców, jednym słowem: byliśmy przeciw faszyzmowi".

paraliżem, Pier Giorgio z trudem napisał kilka słów na kartce, którą przekazał koledze. Koślawe litery niosą prostą treść: „To są zastrzyki Converso. Zaświadczenie jest na Sappę. Zapomniałem o nim, odnów je na mój rachunek”. Do końca pamiętał o swoich chorych i ubogich. Siostrze Lucianie pokazał swoje garnitury. Jemu już nie będą potrzebne, niech trafią do rodzin, którymi się opiekuje.

Jest zastanawiające, że tak witalny człowiek, dopiero przekraczający próg dorosłości, często mówił i pisał o śmierci. W typowym dla siebie stylu, niczego przesadnie nie komplikując: śmierć to wyczekiwane przejście do życia wiecznego, spotkanie z Bogiem, zawsze trzeba być na nią gotowym. Z tej perspektywy w jego przedwczesnym odejściu widać refleksy Opatrzności. Dla tych, którzy nie dzielą jego wiary – była przypadkowa i niepotrzebna, absurdalna. *Tertium non datur*.

Zgasł w zaledwie sześć dni, w lipcu 1925 r. Studiował inżynierię górniczą, miał przed sobą ostatnią prostą egzaminacyjną. Źle się poczuł, ale nikt nie przywiązywał wagi do jego bólu głowy i gorączki, bo w tym samym czasie w domu umierała jego babcia. Lekarze nie alarmowali, on sam nie chciał się narzucać. W jego oczach byłoby to niechrześcijańskie, a pewnie i niemęskie. Jednak to, co diagnozowano jako przeziębienie albo anginę, okazało się zakażeniem wirusem polio. Niewykluczone, że zaraził się w turyńskich dzielnicach biedoty. Stan był ciężki, fachowe leczenie przyszło zbyt późno.

Kościół widzi w nim patrona młodzieży i studentów, Akcji Katolickiej i ludzi gór. Słusznie. Ale na początku lat 90. minionego wieku, we wstępie do swojego przekładu listów Pier Giorgia, Zygmunt Kubiak podał inny trop: „Czego szczególnie będzie świadkiem i patronem dla przyszłego stulecia? Może tych wielkich spraw związanych z tragizmem naszego wieku: cierpliwej troski o demokrację i prawa człowieka; czujnego odtrącania totalitaryzmu i jego przesłanek (w przemocy i pogardzie) nieraz łudząco przebranych w pozory sprawiedliwości historycznej”.

Brzmi niepokojąco aktualnie. Święty Piotrze Jerzy, módl się za nami.

© MAREK ZAJĄC

Cud prawdziwy

ANDREA GRILLO

TEOLOGIA | Kanonizacja Carla Acutisa rodzi wiele pytań – nie o świętość nastolatka, ale o jej wykorzystywanie do propagowania wątpliwej teologii.

Miał niespełna 12 lat, gdy zainteresował się „obecnością Pana w Eucharystii” i zaczął zbierać opisy „cudów eucharystycznych” – zjawisk, w których zamiast konsekrowanego chleba (hostii) i wina pojawiają się fragmenty ludzkiego ciała i krwi. Mówiąc językiem teologii – w których substancjalna obecność Chrystusa, zgodnie z dogmatem Kościoła zawsze niewidzialna i niedostrzegalna, „ośmiela się” być widzialną i namacalną.

Nie ma podstaw, by wątpić w szczerość i siłę duchowych przeżyć chłopca, które towarzyszyły jego zainteresowaniom i je ożywiały. Nawet jeśli wiemy, że w czasie swej kolekcjonerskiej pracy mógł wykorzystać jedynie elementarne narzędzia analizy, dostępne nastolatkowi, i nie do końca przemyślane formy wyrazu.

Można jednak pytać, jak to możliwe, że droga, jaką Kościół przebył w ciągu ostatnich 70 lat, by lepiej zrozumieć eklezjalny sens Eucharystii i jej celebracji, dotarła do młodego, gorliwego „misjonarza internetu” w sposób tak wypaczony, wskazujący na niepełne i niewłaściwe rozumienie tajemnicy eucharystycznej? A nawet więcej: dlaczego pobłażano tym zainteresowaniom „cudami”, zaniedbując „Cud prawdziwy”? I kto wciąż ma interes w tym, by „apostoła Eucharystii” redukować do funkcji „komputerowej monstrancji”?

Dwie instytucje włożyły wiele wysiłku, by przekonać nas, że pobożne hobby nastolatka jest godne uznania za „szczególną misję” w propagowaniu kultu Eucharystii: Stowarzyszenie Carlo Acutis, które po przedwczesnej śmierci chłopca wystąpiło do władz kościelnych o jego wyniesienie na ołtarze, oraz Dykasteria do spraw Świętych, która proces beatyfikacyjny i kanonizacyjny prowadziła. Obie wciąż wykorzystują pobożne życie chłopca do przekazywania nam wątpliwej teologii, skupiającej się nie na tym, co istotne (komunia, wspólnota ołtarza i Słowa), ale na sprawach pobocznych (przechowywanie Eucharystii).

Bierzcie i czyńcie

Na internetowych stronach stowarzyszenia (www.carloacutis.com) znajdziemy sporo tekstów wprowadzających do „Wystawy cudów eucharystycznych”, którą nastoletni Carlo chciał zaprezentować całemu światu. W jednym z nich o. Roberto Coggi, zmarły przed rokiem dominikanin z Bolonii, profesor teologii dogmatycznej [we Włoszech znany przede wszystkim z popularyzatorskich audycji teologicznych w Radio Maria – przyp. red.], pisze: „Znamy doktrynę katolicką dotyczącą »rzeczywistej obecności«. Dzięki słowom konsekracji: »To jest Ciało moje«, »To jest Krew moja«, substancja chleba staje się Ciałem Chrystusa, a substancja wina – Jego Krwią”.

Słowa konsekracji zostały jednak przez dominikanina wyrwane z kontekstu, którego pomijać nie wolno. W mszale rzymskim (zatwierdzonym w 1970 r.) formuła ta brzmi: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy: to jest ciało moje...” oraz „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy: to jest kielich mojej krwi, nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu została przelana dla odpuszczenia grzechów. To czyńcie na moją pamiątkę”.

To, co boloński teolog uznaje za „doktrynę Kościoła”, jest więc najwyraźniej jedynie owocem jego wyobraźni. Sobór Watykański II, wytyczając nową drogę w podejściu do Eucharystii, zaleca, by podchodzić do niej nie jak do „świętej rzeczy”, która „zawiera” Pana, ale jak do „działania Chrystusa i Kościoła”. ↦

↦ Słowa „to czyńcie na moją pamiątkę" nie odnoszą się bowiem do jednego, suchego aktu (wygłaszanej przez kapłana formuły „to jest Ciało moje" i „to jest Krew moja" nad chlebem i winem), ale do całej rytualnej sekwencji aktów, gdy Jezus „bierze", „dziękuje", „łamie", „rozdziela" i „mówi". Każde z tych działań Jezusa stanowi inną część mszy, ale to ich sekwencja oferuje nam obecność, której doświadczamy podczas spożywania jednego chleba i picia z jednego kielicha.

Cała liturgia eucharystyczna, począwszy od złożenia darów, poprzez modlitwę eucharystyczną, łamanie chleba, aż po komunię, jest obecnością Pana. „To czyńcie" dotyczy wszystkich tych działań, a nie tylko jednej formuły dotyczącej jednej sprawy. Redukowanie mszy do konsekracji jest wypaczeniem.

Eucharystyczny analfabetyzm

Na tej samej stronie stowarzyszenia bp Raffaello Martinelli przypomina, że cuda eucharystyczne nie są „przedmiotem wiary". I słusznie. Jednak już po chwili uznaje je za „użyteczną pomoc dla wiary", która kieruje „naszą uwagę ku temu, co niewidzialne". Logiki w tym nie ma – przecież cuda eucharystyczne przyciągają wiernych właśnie „widzialnością" największej tajemnicy. Biskup uważa też, że są one świetną okazją do katechezy. Ale dlaczego „cuda eucharystyczne" miałyby być okazją do mówienia o czymś innym – biskup nie tłumaczy. Nie wyjaśnia też, dlaczego widzenie tego, co powinno pozostać niewidzialne, ma nam pomóc uwierzyć? Związek pomiędzy „substancjalną obecnością" a „widzeniem substancji" nie jest przecież ani oczywisty, ani jasny.

Wśród tekstów o „publicznych objawieniach" nie znajdziemy ani jednego, który mówiłby o eklezjalnej, wspólnotowej wartości Eucharystii. Wszystkie wydają się pochodzić z innego świata, zamkniętego za murami klasztorów czy biskupich kurii, bez jakiegokolwiek styku z życiem. Wiele z nich jest przejawem zniekształconej nauki o Eucharystii, którą zasugerowano, a może wręcz narzucono młodemu chłopcu.

Powiedzmy to raz jeszcze: nie są to zarzuty wobec Carla Acutisa czy tym bardziej atak na niego. Raczej sugestia, że może powinniśmy mówić o jego świętości „pomimo" jego fiksacji na punkcie „cudów eucharystycznych", objawiającej się w usilnych próbach przekonania – siebie i innych – że da się zobaczyć to, co ze swej natury widzialne być nie może.

> Problemem nie jest „eucharystyczny analfabetyzm" młodego chłopca, ale dorośli, którzy włożyli mu do głowy wizje **„eucharystycznych cudów".**

Nie podważając dobrych intencji nastolatka, powinniśmy nabrać podejrzeń wobec tych wszystkich nauczycieli, którzy otaczali go już za życia, a po jego śmierci wykorzystują do głoszenia wątpliwej teologii. Problemem nie jest „eucharystyczny analfabetyzm" młodego chłopca, a dorośli, którzy włożyli mu do głowy wizje „eucharystycznych cudów".

Duchowość sprzed wieków

Odpowiedzialność za propagowanie wątpliwej teologii przy okazji kanonizacji Carla Acutisa spada też na Dykasterię do spraw Świętych. Dokumenty z procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego „misjonarza Eucharystii", dostępne na jej stronach internetowych, zatytułowane zostały zdaniem, którego Acutis ma być autorem: „Wszystkie cierpienia, które będę musiał znieść, ofiarowuję Jezusowi w intencji papieża i Kościoła, aby nie pójść do czyśćca, ale prosto do nieba".

To dość zaskakujące wyznanie. Nie tylko ze względu na sposób, w jaki nastoletni chłopiec myśli o cierpieniu, ale także na korelację między znoszeniem cierpienia a uniknięciem czyśćca, którą Carlo dostrzega, a która jest spuścizną dość żenującej duchowości chrześcijańskiej. Pół biedy, jeśli tak myślał teologicznie nieedukowany 14-latek. Gorzej, że to błędne przekonanie zostało wybrane przez watykańską kongregację na tytuł hagiografii świętego.

Ciekawie jest też dalej, w biografii Acutisa. Już na wstępie dykasteria nazywa go „wielkim wielbicielem objawień i orędzia fatimskiego, który naśladował pastuszków i składał małe ofiary za tych, którzy nie kochają Pana Jezusa obecnego w Eucharystii".

Dalej czytamy: „Prowadził cenne dzieło apostolstwa wśród swoich kolegów szkolnych i przyjaciół, wyjaśniając im tajemnicę eucharystyczną, posługując się opowiadaniami o najważniejszych cudach eucharystycznych, które wydarzyły się na przestrzeni wieków. W ten sposób, jako apostoł Eucharystii, postanowił wykorzystać swój geniusz komputerowy do zaprojektowania i stworzenia międzynarodowej wystawy na temat »Cudów eucharystycznych«".

Dlaczego 14-letniego chłopca, który naśladuje pastuszków z Fatimy i kolekcjonuje zdjęcia „cudów", Kościół uznaje za „apostoła Eucharystii"? Dlaczego promuje taką formę apostolstwa, zamiast uczyć o prawdziwym znaczeniu Eucharystii? Czy dawanie za wzór do naśladowania nastolatka, który spisuje „cudowne opowieści", nie jest czasem próbą „udziecinniania" Kościoła? Otaczający go dorośli – duchowni i świeccy – powinni wykazać się większą wiedzą i mądrością. Chyba że ich zamiarem jest wykorzystanie pobożnego nastolatka do powielania XIX-wiecznej duchowości.

Słowa i czyny

Mądrość nie ma wieku. Można być mądrym dorosłym albo starcem, można też mając lat kilkanaście, choć to na pewno zjawisko dużo rzadsze. Dlatego właśnie mądrzy młodzi są wielkim darem. Pragnienie odnalezienia „świętych słów" w świętym człowieku jest całkowicie uzasadnione. Ale czy wypowiedzi Carla Acutisa, przynajmniej te najczęściej cytowane, można rzeczywiście zaliczyć do „sentencji mądrościowych"? Na oficjalnej stronie stowarzyszenia znajdziemy siedem „najlepszych zdań" wypowiedzianych przez chłopca. Oto one:

„Różaniec jest najkrótszą drabiną prowadzącą do nieba". „Życie jest naprawdę piękne tylko wtedy, gdy zaczynamy kochać Boga ponad wszystko, a bliźniego jak siebie samego". „Krytykować Kościół to krytykować samych siebie! Kościół jest szafarzem skarbów dla naszego zbawienia". „Jedyną rzeczą, której naprawdę musimy się bać, jest grzech". „Dlaczego mężczyźni tak bardzo troszczą się o piękno swoich ciał, a potem nie dbają o piękno swoich dusz?". „Nie ja, lecz Bóg". „Każdy rodzi się jako oryginał, ale wielu umiera jako kserokopie".

Nie są to zdania zbyt oryginalne, przyznajmy. Jedne pochodzą z Pisma Świętego, inne słyszymy od pół wieku w kaza-

niach. Jest tam też rejestr apologetyczny, który włącza się zawsze przy walce z krytykami Kościoła. W ustach czternastolatka brzmią dość dziwnie, warto więc zapytać: czyje słowa powtarzał?

Dwa ostatnie zdania są bodaj najbardziej znane. Pierwsze przeciwstawia Bogu „moje ja" i brzmi niczym ekstatyczny banał o tożsamości. Drugie jest krytyką „homogenizacji", jakiej ulegamy w ciągu całego życia. Tylko czy któreś z nich ma rzeczywiście wielką duchową wartość?

Dziwne też, że wśród „najważniejszych zdań" Carla nie ma ani jednego, które wyrażałoby jego „bliskość wobec ubogich i wykluczonych", o jakiej oficjalne biografie nowego świętego uparcie nas zapewniają. Skąd taka rozbieżność pomiędzy tym, co Carlo Acutis robił i mówił?

Transmisja z grobu

Po raz kolejny powtórzmy: to nie młody święty ponosi odpowiedzialność za nadawane mu po śmierci tytuły i przypisywane słowa. Ani za ostateczne upodlenie, jakiego doznaje na oficjalnym portalu stowarzyszenia, gdzie prowadzona jest „bezpośrednia transmisja z grobu Świętego".

To, moim zdaniem, przekroczenie wielu granic, nie tylko dobrego smaku. Czy nikogo nie oburza, że oficjalna strona poświęcona świętemu „patronowi internetu" dokonuje takiego nadużycia? Czy nikt się tego nie wstydzi? W imię najlepiej rozumianej katolickiej tradycji, której należy strzec, powinniśmy protestować i czuć się zgorszeni tego typu działaniem. Tymczasem te same autorytety – instytucjonalne i teologiczne – które grzmią o nadużyciach w internecie, w tym wypadku nie widzą żadnego problemu. I milczą.

Antyżydowskie cuda

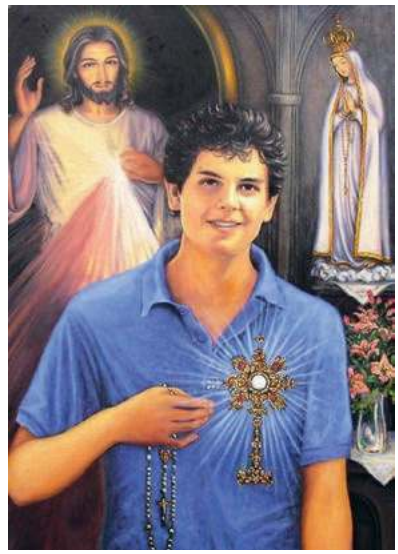
Wiele „cudów eucharystycznych", które Carlo Acutis prezentował na wystawie objeżdżającej świat i na swojej stronie internetowej (dziś dostępnych na stronie stowarzyszenia), miało wymowę antyżydowską. Przypisywanie pobożnemu nastolatkowi złych intencji byłoby niesprawiedliwe. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z historycznego i społecznego kontekstu fascynujących go wydarzeń. Widać zresztą, że nawet najbardziej znane epizody (np. tzw. cud brukselski), w których „komponent antyżydowski" jest niepodważalny, zostały potraktowane przez niego powierzchownie. Co można wybaczyć 14-letniemu chłopcu, ale nie do przyjęcia jest u dorosłych, którzy rekonstruują jego życie i dzieło.

Pojednanie z tradycją żydowską jest jednym z najważniejszych etapów na drodze Kościoła w ciągu ostatnich 60 lat. Kanonizacja „apostoła Eucharystii" nie kwestionuje oczywiście tego nauczania, zawartego w dokumencie „Nostra aetate" Soboru Watykańskiego II (1965 r.). Niepokoi raczej, że może z łatwością zostać wykorzystana przez te kręgi Kościoła, które w sposób bezkrytyczny przyjmują antyjudaizm jako jeden z „tradycyjnych" wzorców kultury katolickiej. I które próbują zrobić z włoskiego nastolatka wzór „klasycznej świętości", nacechowanej apologetyką i rozumianej jako „bycie w kontrze" przeciwko niekatolikom. Takie odczytanie pasji Acutisa (nawet jeśli była owocem jego szczerej wiary) może być zachętą do zaprzeczenia Soborowi Watykańskiemu II i „powrotu do przeszłości", czyli aroganckiego potwierdzania różnicy pomiędzy chrześcijaństwem katolickim a każdym innym (i każdą inną religią). Utożsamianie Ewangelii z antyjudaizmem, wciąż żywe w środowiskach tradycjonalistycznych, to poważny błąd, którego nie wolno ponownie popełnić, ale też nadal realne ryzyko. Nie ma ono bezpośredniego związku z postacią Carla Acutisa, ale wynika z karykaturalnego sposobu jej przedstawiania, także w oficjalnych materiałach. W ten sposób sam święty staje się ofiarą antyżydowskich odczytań jego słów i działań.

To nie Carlo Acutis jest problemem, ani jego „pasja do Eucharystii", ale teologia, jaka za nią stała – niedostatecznie wypracowana za jego życia, a jeszcze bardziej upraszczana, banalizowana i instrumentalizowana po jego śmierci.

© ANDREA GRILLO

Tłumaczenie: EDWARD AUGUSTYN



PORTRET BEATYFIKACYJNY CARLA ACUTISA / DOMENA PUBLICZNA

Podejrzane cuda

CARLO ACUTIS, 15-letni Włoch zmarły w opinii świętości w 2006 r., uznany został za „misjonarza internetu" i „apostoła Eucharystii". Przyczyniła się do tego fascynacja cudami eucharystycznymi, które prezentował na specjalnej wystawie oraz stronie internetowej.

Materiały – zdjęcia i opisy historyczne – zbierał, z pomocą rodziny, przez dwa i pół roku. Wystawa, promowana przez episkopaty wielu krajów, pokazywana była na wszystkich kontynentach, gościła w tysiącach parafii i na ponad 100 uniwersytetach. Wstęp do katalogu napisali kard. Angelo Comastri, archiprezbiter Bazyliki Watykańskiej, i wikariusz generalny Państwa Watykańskiego, oraz bp Raffaello Martinelli, dyrektor biura katechetycznego Kongregacji Doktryny Wiary.

Katalog cudów eucharystycznych przedstawionych na wystawie stanowi jednak chaotyczny i nieuporządkowany zbiór różnych zjawisk. Zaliczono do nich między innymi:

- **cuda przeciwko słabej wierze – gdy pojawienie się krwi lub ciała Pańskiego miało być „lekarstwem" na brak wiary księdza lub wiernych. Sens tych zjawisk nie zawsze był zgodny z teologią Kościoła – np. podczas „cudu w Gironie" ciało, które pojawiło się zamiast hostii, uniemożliwiało wiernym przystępowanie do komunii.**
- **cuda przeciwko niewiernym – ciało Jezusa pojawiało się, gdy hostię przyjmowano z zamiarem sprofanowania (np. w Trani miała zostać usmażona przez Żydówkę, w Brukseli przebita nożami przez Żydów – większość tych „cudów" miała wydźwięk antyjudaistyczny).**
- **cuda przeciwko chorobom, trzęsieniom ziemi lub epidemiom – gdy Eucharystia odegrała rolę „tarczy przed złem" bez żadnej zmiany swojego wyglądu („cud w Tumaco").**
- **relikwie Najświętszej Krwi – mylone z cudami eucharystycznymi, jak w przypadku „cudu w Brugii"** © AG

ANDREA GRILLO – *teolog, od 30 lat wykładowca sakramentologii, liturgiki i filozofii religii w Papieskim Instytucie Liturgicznym Sant'Anselmo w Rzymie oraz w Instytucie Liturgiki Pastoralnej Santa Giustina w Padwie. Autor artykułów naukowych na temat Eucharystii, sakramentów, liturgii fundamentalnej i roku liturgicznego. Aktywny uczestnik debat publicznych na tematy Kościoła katolickiego we Włoszech. Żonaty, ojciec dwójki dzieci.*

Eucharystia w laboratorium

ARTUR SPORNIAK

WIARA I NAUKA | Kanonizując Acutisa, Kościół promuje cuda eucharystyczne. Tymczasem polscy naukowcy mogą się przyczynić do zakończenia ery takich cudów.

Internetowa wystawa zaprojektowana przez Carla Acutisa przedstawia ponad sto cudów eucharystycznych i cudownych wydarzeń związanych z Eucharystią z 20 krajów. Z Polski odnajdziemy dwie średniowieczne legendy, uzasadniające postawienie świątyni w miejscu cudu, antysemicką opowieść o profanacji hostii oraz dwa zjawiska współczesne.

Odnalezione hostie

Najwcześniejszy przypadek dotyczy początku XIV wieku: wieśniak z Głotowa na Warmii podczas orki na polu wykopał puszkę z hostią. Legenda głosi, że zakopali ją parafianie w czasie napaści Litwinów w 1300 r. Hostię, z której bił blask, zaniesiono do pobliskiego kościoła, ale w cudowny sposób wróciła ona na miejsce znalezienia, w związku z czym wybudowano tam drugą świątynię, która stała się sanktuarium Najświętszego Sakramentu.

Podobny schemat ma legenda uzasadniająca budowę z fundacji króla Kazimierza Wielkiego kościoła Bożego Ciała na krakowskim Kazimierzu. W tej opowieści puszkę z komunikantami w roku 1345 ukradli z krakowskiego kościoła złodzieje. Gdy zorientowali się, że naczynie nie ma wartości, porzucili je na pobliskich bagnach (tereny dzisiejszej dzielnicy Kazimierz). Stamtąd zaczął bić blask, który zwrócił uwagę mieszczan.

Antysemicka opowieść

Pomijając cudowne elementy – nadzwyczajny blask czy wędrówkę hostii – legendy te opisują wydarzenia, które rzeczywiście mogły mieć miejsce. Całkiem inną rolę pełni legenda o wybudowaniu dwóch kościołów w Poznaniu. Nie budzi wątpliwości jej antysemicka wymowa – dotyczy rzekomej profanacji dokonanej w 1399 r. na trzech hostiach podstępnie zdobytych przez Żydów, którzy mieli je nakłuwać, sprawdzając, czy są rzeczywiście Ciałem Chrystusa. Profanatorów przeraziło, gdy z hostii popłynęła krew, próbowali je bezskutecznie utopić w studni, a potem w bagnach nad Wartą. W obu miejscach stoją teraz kościoły, znane m.in. z antysemickich dekoracji. Barokową rzeźbę trzech Żydów próbujących utopić hostie w studni z kościoła Bożego Ciała w Poznaniu prezentuje na swojej wystawie Acutis. W opisie poznańskiej legendy mowa jest jednak o profanatorach i złoczyńcach – słowo „Żyd" się nie pojawia. Ze ściany drugiego kościoła, wybudowanego na miejscu żydowskiej kamienicy, w której dokonała się rzekoma profanacja, dopiero w 2005 r. zdjęto (i przeniesiono do muzeum) tablicę z inskrypcją: „Ty sam Boże jakoś jest zawsze sprawiedliwy, Ty wyniszcz aż do szczętu ten naród złośliwy".

Badania pokazały, że legenda o trzech hostiach jest kompilacją różnych antysemickich opowieści z kilku krajów europejskich, a najstarsze podania mówią jedynie o znalezieniu hostii nad Wartą.

Nowe cuda eucharystyczne

Pozostałe dwa polskie przypadki, prezentowane na wystawie młodego Włocha, dotyczą cudów eucharystycznych w sensie ścisłym, które wydarzyły się współcześnie – w Sokółce w 2008 r. i w Legnicy w 2013 r. Acutis przyjmuje obydwa bezkrytycznie. Warto też zauważyć, że stanowią one ciekawą cezurę w podejściu do cudów eucharystycznych we współczesnym Kościele.

W obu przypadkach sekwencja wydarzeń była podobna: konsekrowany komunikant upadł na posadzkę świątyni. Zgodnie z kościelnymi procedurami został umieszczony w *vasculum* – naczyniu z wodą. Po jakimś czasie okazało się, że komunikant nie rozpuścił się w wodzie, lecz powstała na nim czerwona plama. Biskup miejsca powołał komisję, a ta przekazała próbki przemienionego komunikantu specjalistom.

W przypadku Sokółki było to dwoje patomorfologów z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Po mikroskopowym badaniu histopatologicznym oboje stwierdzili, że mają do czynienia z tkanką mięśnia sercowego w stanie agonalnym. Krytycy podnosili jednak, że nie przeprowadzono dodatkowych badań na obecność bakterii czy grzybów, nie przebadano też próbki genetycznie. Próbowano również podważyć obiektywizm badaczy – oboje są wprawdzie uznanymi naukowcami, ale pracują na jednej uczelni, dlatego trudno mówić o ich niezależności; nie ukrywają też, że są osobami wierzącymi, mogli się więc sugerować swoją wiarą. Rzecznik Uniwersytetu Medycznego stwierdził też, że badanie zostało przeprowadzone nielegalnie – nikt oficjalnie nie zlecił go uniwersytetowi. Biorąc pod uwagę te głosy, metropolita białostocki w swoim końcowym orzeczeniu stwierdził ostrożnie, że „wydarzenie z Sokółki nie sprzeciwia się wierze Kościoła, a raczej ją potwierdza".

Ostrożniejsza była natomiast komisja powołana w Legnicy, która najpierw zleciła badanie Instytutowi Medycyny Sądowej we Wrocławiu. Dało ono niejednoznaczny wynik: wykluczyło obecność grzybów i bakterii, ale nie znaleziono ludzkiego DNA, choć niektóre fragmenty przypominały tkankę mięśnia sercowego. Zlecono zatem drugie badanie Instytutowi Medycyny Sądowej w Szczecinie, który odnalazł ślady ludzkiego DNA. Biskup legnicki przekazał oba wyniki do Watykanu, a ten orzekł, że mamy do czynienia z „wydarzeniem o znamionach cudu eucharystycznego".

Biolog molekularny prof. Tadeusz Dobosz, obecnie emerytowany profesor wrocławskiego Uniwersytetu Medycznego, który uczestniczył w pierwszym badaniu próbki legnickiej, tak komentował różnicę w opiniach obu ośrodków: „Są dwie możliwości. Pierwsza, moim zdaniem mniej prawdopodobna, to taka, że użyli lepszych, czulszych technik. Druga, bardziej prawdopodobna, to taka, że w międzyczasie, pomiędzy jednym a drugim badaniem, został on, używając naszego żar-



DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Adamus Swach, polichromia ilustrująca profanację hostii przez Żydów w poznańskim kościele pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa, XVIII w.

gonu, skontaminowany, czyli np. ktoś, oglądając obiekt, kichnął. Dzisiejsze metody badawcze są nieprawdopodobnie czułe" (rozmowa „Nie ma przyrodniczych algorytmów stwierdzania cudów" w dwumiesięczniku „Medical Tribune" nr 5/2016).

Polskie centrum badań zdarzeń eucharystycznych

Z obu przypadków i towarzyszących im perturbacji wyciągnięto wniosek, że potrzebna jest instytucja naukowa, która będzie prowadzić kompleksowe badania tego typu zjawisk. I tak, w 2019 r. powstał Interdyscyplinarny Ośrodek Badań Muzealiów, Relikwii i Zdarzeń Eucharystycznych przy Papieskim Wydziale Teologicznym we Wrocławiu. Jego założycielem jest teolog ks. prof. Włodzimierz Wołyniec, były rektor PWT, a jednym z najbardziej aktywnych naukowców – wspomniany prof. Tadeusz Dobosz. Ośrodek nie szuka rozgłosu – próżno szukać jego strony w internecie (choć jeszcze rok temu można było tam znaleźć informacje o celach ośrodka i wykaz zaangażowanych w jego prace naukowców). Ale też nie ukrywa swego istnienia: w sierpniu ubiegłego roku zorganizował na Papieskim Wydziale Teologicznym konferencję naukową „Znaki w nauce. Zdarzenia eucharystyczne w świetle rozumu i wiary".

Głównym klientem ośrodka jest oczywiście Kościół katolicki. Wieść o jego istnieniu rozeszła się wśród biskupów na całym świecie, którzy zaczęli przysyłać próbki do badań. Do tej pory polscy badacze sprawdzili ich 25 – z Polski, Niemiec, USA i RPA. Wyniki opublikowano w tegorocznym numerze periodyku „Applied Microbiology and Biotechnology" (Mikrobiologia stosowana i biotechnologia).

„Żaden z tych przypadków nie dostarczył faktycznego dowodu na istnienie krwi ludzkiej, materiału ludzkiego innego niż pojedyncze komórki naskórka oraz erytrocytów (...). W jednym przypadku zaobserwowano znikomą ilość ludzkiego męskiego materiału genetycznego, prawdopodobnie w wyniku przeniesienia DNA z człowieka na hostię poprzez kontakt z samą hostią. W kilku próbkach zidentyfikowano różnorodny materiał mikrobiologiczny i grzybiczy (...), w tym gatunki wytwarzające czerwono-różowe lub pomarańczowo-czerwone pigmenty" – czytamy w artykule „Metodologia analizy zanieczyszczeń biologicznych związanych ze zjawiskami okołoeucharystycznymi". To pierwsza na świecie praca naukowa proponująca kompleksową metodę badania zdarzeń eucharystycznych, z wykorzystaniem badań kryminalistycznych (na obecność ludzkiego DNA), histopatologicznych (na obecność tkanek), mikrobiologicznych (na obecność bakterii) i mikologicznych (identyfikujących grzyby). Znalezione bakterie i grzyby bada się także genetycznie.

Naukowcy z wrocławskiego ośrodka postulują, by wyniki wszelkich tego typu badań były przedstawiane w formie recenzowanych artykułów, tak by można było je poddać naukowej krytyce. Do tej pory „wnioski rozpowszechniano w formie popularnej, a nie naukowej, co powodowało niejednoznaczność i zamieszanie" – zauważają.

Koniec ery cudów?

Decyzja Kościoła o współpracy z interdyscyplinarnym gronem uczonych, jak również stworzenie przez nich precyzyjnej metody całościowego badania „zdarzeń eucharystycznych", zakończyło – być może – erę cudów eucharystycznych. Jak dotąd żadna z przebadanych próbek nie wykazywała znamion nadprzyrodzonego zjawiska. Tylko w dwóch przypadkach wrocławskiemu Ośrodkowi Badań Muzealiów, Relikwii i Zdarzeń Eucharystycznych nie udało się uzyskać naukowej jasności: w próbkach zaobserwowano struktury przypominające włókna mięśnia sercowego, ale nie stwierdzono ludzkiego DNA. Podobne struktury tworzą sznury grzybni niektórych grzybów (np. *Epicoccum nigrum*), ale dodatkowe badania nie wykazały ich obecności. Być może zatem chodzi o zjawisko biologiczne jeszcze nie odkryte. Możliwe więc, że „zdarzenia eucharystyczne" przyczynią się do rozwoju wiedzy naukowej. ©℗

ZUZANNA

Radzik: *Czas na życie*



Odliczałam dni do końca sierpnia. A to wszystko dlatego, że jak zwykle moja ulubiona piekarnia zamknęła się na miesiąc wakacji. Muszę wtedy łatać brak dobrego pieczywa w przypadkowych marketach czy kawiarniach, a to jednak nie to samo. Mało mam żywieniowych kaprysów, ale kiepski chleb wprawia mnie w zły humor. Pod koniec sierpnia odliczam więc dni z irytacją. Wczoraj kupiłam ostatni przypadkowy bochenek, wiedząc, że zaraz wróci kojąca rutyna: pół wiejskiego, pół nordyckiego – niekrojone.

Co to za zwyczaj, żeby zamykać się na miesiąc? Uroki starej Europy i jej sierpniowych wakacji, które są jak kosmiczny rytm. Wakacji wielotygodniowych, podczas których zamyka się prywatna piekarnia, większość dobrych knajp w okolicy ma co najmniej dwutygodniową przerwę, wiele butików, kawiarni, sklepików robi sobie solidny urlop. Przegiął tylko mój szewc, wywieszając w pierwszych dniach lipca karteczkę, że otwiera dopiero w połowie września. Ale to artysta, klienci i tak wrócą.

Z tych europejskich wakacji oczywiście rytualnie kpią Amerykanie, którzy za ekstrawagancję uważają dwa tygodnie wolnego. Jeszcze tego lata „The Economist" nabijał się z europejskich autoresponderów, jakoby Europa była na urlopie, a świat nie czekał, tylko działo się i zmieniał. Myślałam, że już udowodniono, iż praca to nie wszystko, ale wyraźnie kpina z urlopu ma się dobrze. Śmieją się, jakby właśnie od tych wypoczywających Europejczyków zależała geopolityka i sprawy świata.

Inna sprawa, że dopadają ich one w tej czy innej formie – jak nie w gazetach, to w postaci ekstremalnych upałów i pożarów. Spłonęło w końcu milion hektarów w Hiszpanii, Grecji, Francji i Portugalii, Szwajcaria i Francja wyłączyły reaktory atomowe, bo rzeki, które je chłodzą, były zbyt ciepłe. A na plażach południowej Hiszpanii pojawił się potwornie jadowity mięczak, *Glaucus atlanticus*. Zwany niebieskim smokiem, dotąd był właściwy tropikalnym wodom, a nie Śródziemnomorzu. To już może lepiej eskapistycznie udać się na wakacje? Choć niekoniecznie na południe Francji czy Hiszpanii.

Obok sierpniowych wakacji, kulturową specyfiką Belgii były dotąd godziny otwarcia sklepów. Uważałam je za najbardziej odczuwalną różnicę kulturową od momentu mojej przeprowadzki do Brukseli. Prosto z szybkiej, zapracowanej Warszawy, gdzie zakupy da się pod domem zrobić przed 23.00, do miasta, gdzie duży sklep spożywczy otwiera się leniwie o 8.30 i zamyka o 20.00, a pozostałe działają jeszcze krócej. Trzeba tu uważać na dwie rzeczy. Na francuską modłę przestrzegać pór posiłków, bo restauracje zamykają się najpóźniej o 15.00 po obiedzie, by otworzyć dopiero na kolację. Oraz pamiętać, że większość sklepów i usług zacznie życie koło 10.00, a o 19.00 będzie już zamkniętych. Zamknięte będą z pewnymi wyjątkami również w niedzielę, choć do kościoła chodzi tu może 5 proc. społeczeństwa. Nie ma więc snucia się po sklepach wieczorami ani jechania po meble po kolacji.

I owszem, najpierw było to bardzo irytujące, a potem przyszło zrozumienie. Belgijski rynek pracy jest głęboko regulowany dzięki związkom zawodowym i układom zbiorowym tychże z rządami. „Nikt nie będzie siedział wieczorem w pracy, żebyście mogli kupić skarpetki w sieciówce przed 21.00" – tłumaczyłam z pewną dumą znajomym z Warszawy. Brukselskie ulice wysyłały w ten sposób sygnał, że są rzeczy ważniejsze niż praca i kupowanie, oraz że po 19.00 jest czas na życie. Do kina idźcie, do knajpy, spędźcie czas z rodziną, ale zakupy zostawcie sobie na jutro.

To przesłanie tworzyło się nie tylko za sprawą lokalnej kultury. Do tego potrzebne jest prawo pracy, które poza niektórymi sektorami zakazuje pracy nocą, czyli między 20.00 a 6.00, oraz nakazuje zamknięcie sklepu na 24 godziny w tygodniu. Teraz niestety nacjonalistyczno-liberalna koalicja ma w umowie zmianę tych zasad. Podobnie jak zwiększenie dopuszczalnych nadgodzin. Ciekawe, czy usłyszeliby głos migrantki ostrzegającej, że to zamach na belgijskość!

Tak, po tych zmianach prawa Bruksela może być zupełnie jak Warszawa, ze skarpetkami dostępnymi w niedzielę przed 21.00. Tylko po co? I kto na tym zyska, a kto straci? Już protestują właściciele małych sklepów i rodzinnych biznesów. Przy okazji, te przepisy chroniły też ich oraz ich prawo do odpoczynku i szanse w konkurencji z sieciówkami. Każąc większym sklepom żyć rytmem możliwym do życia, sprawiało, że mali mieli szanse z nimi rywalizować. Teraz, gdy mali po ludzku będą potrzebowali dnia wolnego, wielcy zatrudnią sobie dodatkową zmianę pracowników na niedzielny wieczór.

Kto zyska na tym, że więcej będzie pracy i kupowania, a mniej życia? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

O. WACŁAW

Oszajca: *Opuścić siebie*



„Wielkie tłumy szły z Jezusem. On odwrócił się i rzekł do nich: »Jeśli ktoś przychodzi do Mnie, a nie ma w nienawiści swego ojca i matki, żony i dzieci, braci i sióstr, nadto i siebie samego, nie może być moim uczniem«”, czytamy w Ewangelii Łukasza w wersji lekcjonarzowej. W innych tłumaczeniach zamiast „nie ma w nienawiści” mamy „nie nienawidzi”, ale też „bardziej kocha”, „bardziej miłuje”, „nie wyrzeknie się”. Większość biblistów zaleca jednak sformułowanie „lecz nie nienawidzi”, gdyż odzwierciedla ona „typowo semicki sposób mówienia, co wskazuje, że lepiej przekazuje pierwotną wypowiedź Jezusa”. Dalej Jezus mówi: „Nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem”. Do tych zaś, którzy już są Jego uczniami: „Kto nie dźwiga swojego krzyża i nie idzie za Mną, nie może być moim uczniem”. Kiedy zaś Piotr uświadomił sobie, że w odniesieniu do Jezusa ten krzyż to nie metafora, przerażony odwołuje Jezusa na bok i tak, żeby nikt nie słyszał, „upominał Go: Niech Cię Bóg broni! Panie, na pewno się to Tobie nie przydarzy”. A gdy to się już przydarzyło, dwaj inni uczniowie żalą się: „A my mieliśmy nadzieję, że to (Jezus) wyzwoli Izraela”.

Wychodzi więc na to, że to porzucenie wszystkiego jest „piękną prowokacją”, jak mówi papież Leon, mającą „przede wszystkim wstrząsnąć zarozumiałością tych, którzy sądzą, że już zostali zbawieni, tych, którzy praktykują religię i z tego powodu czują się już w porządku”. Jednoznaczne dodanie odwagi tym, którym ta przeduchowiona i interesowna religijność nie wystarcza. Nic to nowego. W Ewangelii Marka Jezus mówi do faryzeuszów: „Zręcznie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję. Mojżesz powiedział: Otaczaj szacunkiem swego ojca i matkę. A także: Kto złorzeczy ojcu lub matce, podlega karze śmierci. Wy natomiast twierdzicie: »Jeśli ktoś powie ojcu lub matce: Korban, co oznacza: to, co miałem dać tobie na utrzymanie, ofiarowałem Bogu«, to już nie pozwalacie mu nic uczynić dla ojca czy dla matki”.

A tak wcale nie na marginesie – chwalebną rzeczą jest dyplomacja, ale co ma zrobić napadnięty król, jeśli agresorowi na pokoju nie zależy, ale na wojnie jak najbardziej? Wywiesić białą flagę? Czy jednak chwycić za broń i tym samym „opuścić” siebie samego, żeby ratować tych, których kocha? ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Męstwo Jeremiasza*



We wspomnienie św. Jana Chrzciciela, Liturgia rozczytała jego życie Słowem, które miał usłyszeć Jeremiasz: „Przepasz biodra, wstań i mów wszystko, co ci rozkażę. Nie lękaj się ich, bym cię czasem nie napełnił lękiem przed nimi. A oto ja czynię cię dzisiaj twierdzą warowną, kolumną żelazną i murem ze spiżu” (Jer 1, 17 - 19). Drugie z tych zdań „Biblia Jerozolimska” tłumaczy w nieco inny – pozytywny – sposób: „W ich obecności uczynię cię wolnym od lęku!”. To piękne i ważne Słowo: posyłanemu przez siebie prorokowi Bóg stawia nie tylko wymaganie: „Nie lękaj się ich!”, ale także składa obietnicę: „Uczynię cię wolnym od lęku!”. Jest przykazanie, ale jest też łaska. Dar męstwa.

Do czego Jeremiasz go potrzebuje? Odpowiedź wydaje się oczywista: potrzebuje męstwa, by głosić Słowo, które Pan mu zleca. To nie będzie Słowo łatwe. Diagnozując wszystkie indywidualne i wspólnotowe choroby i grzechy, wymagając radykalnego nawrócenia, wzbudzi sprzeciw i nienawiść: „Będą walczyć przeciw tobie!”. Głoszenie Słowa przypłaci więzieniem i niemal utratą życia. Będą go publicznie opluwać i nazwą go zdrajcą! Tak – do tego potrzeba męstwa. Łatwiej jest wybrać słodkawą ciszę i wyrzekające się odpowiedzialności milczenie.

Ale to nie jest całe wyzwanie, przed którym Pan stawia Jeremiasza. Jest jeszcze inny wymiar jego misji wymagający nawet większego męstwa. Ukryty jest w słowach (znów w tłumaczeniu „Biblii Jerozolimskiej”): „Patrz, dziś uczyniłem cię ufortyfikowanym miastem, kolumną żelazną i murem z brązu przeciw całej ziemi”.

Modliłem się tym tekstem i myślałem: miasto ma sens tylko wtedy, gdy jest zamieszkiwane przez ludzi, którzy dobrze się w nim czują, są u siebie i są bezpieczni (jest „ufortyfikowane”). Trudno nie zapytać: dla kogo Jeremiasz ma stać się warownym i bezpiecznym miastem? Odpowiedź jest jedna: ma stać się bezpieczną obroną dla tych, do których na razie boi się pójść ze Słowem. Nie wystarczy, by przyszedł, wykrzyczał im „prawdę” i... uciekł. Pan chce, by tych, którzy go przeklinają i grożą mu śmiercią, widział jako jemu zadanych: ku wspólnocie życia i ku obronie! To wymaga zupełnie innego męstwa. Takiego, które jest radykalną MIŁOŚCIĄ. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

POLKA KRÓLOWĄ FRANCJI

300 lat temu, 5 września 1725 r., Ludwik XV – władca jednego z ówczesnych mocarstw – poślubił Marię Leszczyńską. Małżeństwem byli przez 43 lata. Dziś Maria uchodzi za jedną z lepszych królowych, jakie miała Francja.

PIOTR HAPANOWICZ

Zanim pojechała na spotkanie z przyszłym mężem, ojciec udzielił jej kilku rad. „Zostajesz Królową Francji – pisał Stanisław Leszczyński do córki. – Nie ma nic ważniejszego ani równie ważnego na tym świecie niż Twa dobra sława, cnoty i uznanie".

Przestrzegał, że spotka ludzi, którzy zechcą zasłużyć się jej „służalstwem, powodowani wyłącznie bezgranicznym pragnieniem wywyższenia się. Pokaż im, że ich rozpoznałaś, spoglądając na nich z obojętnością. Spotkasz i takich, którzy zasługiwać będą na wzgardę, jeśli okażesz im pobłażliwość, rozzuchwalą się".

Zalecał: „Pamiętaj, że wielki Król został Twoim małżonkiem, że wyciąga do Ciebie rękę w nadziei, że dasz mu słodycz, że będziesz towarzyszyć w pracy, nieść ulgę w trudnych chwilach, będziesz mu wierną przyjaciółką, słowem – dobrą żoną, dobrą Królową".

Jak to się stało, że córka wojewody poznańskiego została królową jednego z najpotężniejszych – o ile nie najpotężniejszego – państwa ówczesnego świata?

TUŁACZKA | Urodzona w 1703 r., Maria była młodszą córką Stanisława Leszczyńskiego i Katarzyny z Opalińskich. Pochodziła z rodu wpływowego nie tylko w Wielkopolsce, lecz i w Rzeczypospolitej – ojciec był jednym z przywódców opozycji przeciw królowi Augustowi II Wettynowi.

Gdy miała rok, Stanisław został wybrany królem Polski – dzięki poparciu Karola XII, króla Szwecji. Wybuchła wojna domowa. Jednocześnie Rzeczpospolita została uwikłana w europejski konflikt: trzecią wojnę północną. Jej ziemie pustoszyły obce armie: z jednej strony Szwecji, z drugiej Rosji i jej sojuszników (m.in. Prus i Saksonii). „Marynka", jak nazywał ją ojciec, dzieciństwo spędzała z matką, tułając się po kraju pogrążonym w chaosie.

Po tym, jak w 1709 r. Karol XII przegrał bitwę pod Połtawą, Leszczyński utracił koronę, rodowy majątek – i musiał opuścić kraj. Odtąd Maria dzieliła z rodzicami i niewielkim dworem trudne – politycznie i materialnie – życie na uchodźstwie.

W 1714 r. Leszczyński otrzymał – z łaski króla Szwecji – w zarząd księstwo Zweibrücken w Nadrenii. Pięć lat później przyjął zaproszenie Filipa Orleańskiego, regenta Francji: wraz z rodziną osiadł w alzackim Wissembourgu.

„FRANCUZKA" | Ze źródeł wiadomo, że Leszczyński był ojcem troskliwym i czułym, i że poświęcał sporo czasu wychowaniu oraz kształceniu dwóch córek. Maria przejawiała zamiłowania humanistyczne, dużo czytała, zwłaszcza dzieła twórców francuskich; ojciec zwał ją „Francuzką z wychowania".

Zapamiętano ją jako osobę delikatną, mającą zasady. Miała zdolności językowe – władała francuskim, niemieckim i włoskim, znała też łacinę. Jej zamiłowaniu do muzyki (śpiewała, grała na klawesynie i lirze) towarzyszyły zdolności taneczne. Lubiła rysować i malować. Duży wpływ na jej życie wywarła przejęta od rodziców głęboka religijność.

Na początku lat 20. XVIII stulecia nic jednak nie zapowiadało, że zubożała polska królewna będzie władczynią Francji. Choć rodzina wiązała spore nadzieje na odmianę swego losu z dobrym wydaniem jej za mąż – dzięki statusowi córki królewskiej mogła zabiegać o skoligacenie się z którymś z możnych rodów europejskich.

Wbrew woli ojca Maria zakochała się we francuskim arystokracie Ludwiku Le Tellier, markizie de Courtanvaux. Ale ambicje rodziców były większe. Sprawa jej mariażu zataczała coraz szersze kręgi, aż wzbudziła zainteresowanie francuskiego dworu. Ojciec liczył, że dzięki wsparciu wpływowej markizy de Prie kandydatem do jej ręki będzie Ludwik Henryk Burbon, książę de Condé (z bocznej gałęzi królewskiego rodu).

NA DWORZE | W tym czasie elity europejskie czekały na mariaż stulecia. W lutym 1723 r. Ludwik XV – prawnuk i spadkobierca Ludwika XIV, „Króla Słońce" – ukończył 13 lat, zgodnie z ówczesnym prawem osiągając pełnoletność i obejmując rządy.

Do tego czasu i państwem, i życiem chłopca kierował regent, książę Filip Orleański. W razie bezpotomnej śmierci Ludwika, według prawa salickiego, sukcesja tronu przechodziła na młodszą linię Burbonów, zwaną linią orleańską. Za sprawą regenta Ludwik został zaręczony



DOMENA PUBLICZNA

„Królowa Maria Leszczyńska", fragment obrazu Jeana-Marca Nattiera z 1748 r.

z ledwie trzyletnią Marią Anną Wiktorią, hiszpańską następczynią tronu. Chorowitość Ludwika i wiek narzeczonej zwiększały szansę Orleanów na przejęcie tronu.

Sytuacja zmieniła się jednak, gdy w końcu 1723 r. regent nagle zmarł, a pierwszym ministrem Francji został wspomniany książę Ludwik Henryk Burbon-Condé. Jego działania skupiły się na ożenieniu młodego króla z kobietą dojrzałą, która szybko zapewni mu potomstwo. Wiosną 1724 r. zerwano zaręczyny Ludwika z Hiszpanką.

Następnie książę Burbon zlecił przygotowanie listy kandydatek na małżonkę dla Ludwika. Przy każdej zapisano krótkie komentarze dotyczące wieku, wyznania i pochodzenia. Następnie Rada Królewska przystąpiła do selekcji. W pierwszej kolejności odrzuciła wszystkie te królewny i księżniczki, które były za młode bądź zbyt leciwe, o nieadekwatnym pochodzeniu lub niewygodne ze względów politycznych.

WYBÓR | Nie było wyraźnych faworytek, skreślano kolejne imiona. Początkowo Leszczyńska odpadła wraz z innymi. Książę Burbon, aby zapewnić ciągłość dynastii i umocnić swe wpływy, postanowił jednak poprzeć właśnie jej kandydaturę – jako córki króla, wprawdzie bez królestwa, ale jednak wciąż władcy. Wpływowy kardynał André Hercule de Fleury zaakceptował ten wybór.

Kandydatura Polki była do przyjęcia przez koterie dworskie: Maria była postrzegana jako na tyle nieznacząca, że niezagrażająca żadnej frakcji w Wersalu. Ponadto była kandydatką neutralną: nie zaangażowała Francji w ryzykowny sojusz. I co też istotne – była katoliczką.

Ponadto małżeństwo to mogło dać Francji kapitał polityczny: Maria wnosiła w posagu roszczenia jej ojca do tronu polskiego, dzięki czemu Wersal zyskiwał kartę przetargową w swojej polityce wschodniej.

Ludwikowi zaprezentowano portret Marii (pędzla Pierre'a Goberta). Król uznał jej urodę i wdzięk – i to ją zdecydował się pojąć za żonę. Kilka dni później książę Burbon wysłał z tajną misją do Wissembourga dwóch zaufanych medyków królewskich. Przeprowadzili dokładne badania Marii i sporządzili raport, stwierdzając znakomity stan jej zdrowia. Jej największym atutem były możliwości prokreacyjne.

ŚLUB | Gdy w poniedziałek wielkanocny, 2 kwietnia 1725 r., Stanisław Leszczyński wracał z polowania, otrzymał oczekiwany list z Wersalu, który przyprawił go o stan omdlenia. Podobno przybywszy do swej rezydencji, udał się do komnaty, gdzie przebywały żona i córka, kazał im paść na kolana i dziękować Bogu. Maria miała wówczas zapytać, czy wreszcie wezwano ojca na tron Rzeczypospolitej. Na co miał odpowiedzieć, że niebo było jeszcze łaskawsze, czyniąc z niej królową Francji.

W końcu maja 1725 r. ogłoszono zaręczyny, a 15 sierpnia w Strasburgu miała miejsce uroczystość zaślubin *per procura* („w zastępstwie"). W imieniu pana młodego przysięgę składał jego pełnomocnik Ludwik Orleański, syn zmarłego regenta. Wkrótce potem Maria wyruszyła ze swoim orszakiem na spotkanie z władcą Francji.

Ślub odbył się 5 września w pałacu we Fontainebleau. Maria wystąpiła w sukni z fioletowego weluru w złote lilie i płaszczu podbitym gronostajami. Małżonków błogosławił kardynał Armand Gaston Maximilien de Rohan. Brakowało jednak rodziców panny młodej: Ludwik XV i jego ↦

↦ otoczenie nie życzyli sobie zbyt częstego przebywania Leszczyńskiego na dworze.

Choć dzieliła ich duża różnica wieku – w chwili ślubu Maria miała 22 lata, a Ludwik 15 lat – ich pierwsze spotkania wypadły pomyślnie. Maria ujęła męża wdziękiem, naturalnością obejścia. Wolter notował: „Królowa wyglądała dobrze, chociaż trudno nazwać ją ładną. Wszyscy zachwycają się jej przymiotami i uprzejmością". Diuk Emanuel de Croÿ pisał zaś: „Dobroć jej charakteru malowała się na pełnej wdzięku twarzy".

PAMFLETY | Wieść o wybrance Ludwika, najświetniejszej partii w Europie, zdumiała współczesnych, oceniających różnicę statusu politycznego i majątkowego. Opinia publiczna Francji przyjęła źle małżeństwo monarchy z nieznaną cudzoziemką. Zastanawiano się, cóż przyjdzie Ludwikowi z małżeństwa z córką króla-wygnańca.

Elżbieta Charlotta, księżna Lotaryngii i Baru, siostra zmarłego regenta, pisała: „Przyznaję, że dla króla, którego krew pozostała jedyną czystą we Francji, zaskakujące jest, że zawarł taki mezalians i poślubił prostą młodą Polkę", której ojciec „był królem zaledwie 24 godziny".

Maria zetknęła się ze złośliwymi wierszykami i pamfletami. Puszczano plotki, jakoby Leszczyńscy nie zaliczali się do wielkich rodów polskich, lecz zwykłej szlachty. Twierdzono, że „serca Francuzów nie nadają się do kochania Polaków", bo są „gorącymi republikanami". Nawet wielu na dworze miało z nią problem, w tym z wymówieniem jej nazwiska. Jak pisał kronikarz epoki, paryski prawnik Mathieu Marais: „Leczinska, cóż za okropne nazwisko dla królowej Francji".

Dla Marii było to trudne doświadczenie. Musiała radzić sobie sama w obcym i pełnym intryg świecie Wersalu. Szybko musiała też nauczyć się sztywnej etykiety.

KRYZYS | Maria i Ludwik przeżyli razem 43 lata. Ich małżeństwo było początkowo szczęśliwe. Pozycję Marii wzmacniały narodziny kolejnych dzieci: w ciągu 10 lat doczekali się ośmiu dziewczynek i dwóch chłopców. W tym w 1729 r. następcy tronu – Ludwika Ferdynanda.

Do kresu małżeńskiego szczęścia przyczyniło się w 1738 r. poronienie, ostrzeżenia lekarzy o niebezpieczeństwie kolejnej ciąży, a także, jednak, różnica wieku. Ludwik XV znużył się dojrzałą małżonką, zmęczoną licznymi ciążami. Z czasem król miewał liczne kochanki.



DOMENA PUBLICZNA

„Król Ludwik XV", fragment obrazu Louisa-Michela van Loo z drugiej połowy XVIII w.



ZBIGNIEW DOLIŃSKI / MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

„Stanisław Leszczyński", fragment obrazu nieznanego autora, ok. 1725 r.

Była to dla Marii sytuacja trudna i niezręczna, zwłaszcza że faworytami króla były także damy jej dworu. Część metres próbowała deprecjonować jej pozycję. W obliczu cudzołóstwa męża Maria zachowała dyskrecję i godność, a nawet przez 20 lat utrzymywała przyzwoite stosunki z najsłynniejszą kochanką męża, Jeanne Antoinette Poisson, markizą de Pompadour.

To ta ostatnia, a nie Maria, stała się symbolem epoki Ludwika XV. Gdy metresa zmarła, królowa zamówiła nawet mszę, a tym, których to zdumiało, miała powiedzieć: „To przecież naturalne, (...) pani de Pompadour była damą dworu i nigdy nie mogłam się na nią skarżyć. Reszta mnie nie obchodzi, to sprawa między Bogiem a królem".

KRÓLOWA | W Wersalu Maria żyła otoczona niewielkim kręgiem wiernych dworzan. „Dom królowej" był prowadzony na wzór słynnych paryskich salonów. Wiodła uporządkowany i szlachetny tryb życia. Trudna młodość nauczyła ją oszczędności. Była cicha, spokojna, pobożna. Odznaczała się miłym usposobieniem, miała liczne pasje.

Szybko zyskała uznanie poddanych przez chęć niesienia pomocy. Już za życia cieszyła się wśród Francuzów popularnością, była nazywana Dobrą Królową. Była prawdziwą mecenaską kultury. Wraz ze swoją synową Marią Józefą Saską przyczyniła się do sprowadzenia do Wersalu znanych artystów. Lekcji śpiewu udzielał jej Farinelli. Dzięki niej na francuskim dworze koncertował ośmioletni Wolfgang Amadeusz Mozart.

Nie angażowała się w rozgrywki polityczne. Z czasem dostrzeżono za to jej pośredni wpływ na powodzenie polityczne Francji. Po ostatecznej klęsce Stanisława Leszczyńskiego w wojnie o tron polski, w 1736 r. otrzymał on księstwo Lotaryngii, a gdy zmarł, księstwo to odziedziczyła Maria – wnosząc je Francji w spóźnionym, ale hojnym wianie.

SERCE | Życie nie szczędziło jej tragedii: pięcioro dzieci zmarło w młodym wieku. W 1765 r. na gruźlicę zmarł syn Ludwik Ferdynand, a następnie synowa Maria Józefa. Ponadto w 1766 r. w swoim pałacu w Luneville zmarł 88-letni ojciec. Samo w sobie nie byłoby to niespodziewane, miał 88 lat, gdyby nie dramatyczne okoliczności: od iskry z fajki lub paleniska zapalił się jego jedwabny szlafrok, prezent od córki, i Stanisław doznał strasznych poparzeń.

Po tych wydarzeniach wycofała się z życia dworskiego, poświęcając się praktykom religijnym. Zmarła 24 czerwca 1768 r. w Wersalu, w wieku 63 lat. Mąż przeżył ją o sześć lat.

Maria została pochowana w bazylice Saint-Denis pod Paryżem, a jej serce spoczęło obok rodziców w kościele Notre-Dame de Bon Secours w Nancy. Jej wnukami było trzech ostatnich panujących królów Francji z dynastii Burbonów: Ludwik XVI, Ludwik XVIII i Karol X.

© PIOTR HAPANOWICZ



„TP" 35/2023

List MSZ do „Tygodnika"

Wbrew tezom artykułu red. Zbigniewa Parafianowicza pt. „Regres, jakiego nie było" opublikowanym w „TP" nr 35, szef misji w Waszyngtonie uczestniczy w przygotowaniach wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w USA. W ubiegłym tygodniu przeprowadził briefing dla ministra Marcina Przydacza, informując go o relacjach polsko-amerykańskich i ważnych aspektach współpracy obronnej. W przygotowanie wizyty zaangażowane są piony merytoryczne placówki. Cała logistyka wizyty jest przygotowana przez ambasadę RP, a Protokół Dyplomatyczny przeprowadził rekonesans w Waszyngtonie.
Zdumiała mnie informacja, że red. Parafianowicz przed opublikowaniem artykułu prosił o informacje o działalności placówki przed wizytą. W rzeczywistości 22 sierpnia w mailu do rzecznika MSZ pytał wyłącznie o terminy urlopu ChdA Bogdana Klicha.

PAWEŁ WROŃSKI, rzecznik MSZ

OD AUTORA

Szanowny Panie Kierowniku Placówki RP w USA, Szanowny Panie Rzeczniku MSZ, przed publikacją tekstu pt. „Regres, jakiego nie było" zadaliśmy służbom prasowym MSZ pytania o następującej treści: „Czy kierownik ambasady RP w Waszyngtonie Pan Bogdan Klich od 14 sierpnia do 21 sierpnia 2025 przebywał na urlopie? W całym okresie od 14.08.25 do 21.08.2025 lub w wybranych dniach w tym okresie?". Chodziło o ustalenie, jaki był zakres prac i aktywność Pana Kierownika Bogdana Klicha w staraniach o uczestnictwo przedstawiciela Polski w spotkaniu Donalda Trumpa z europejskimi przywódcami i Wołodymyrem Zełenskim 18 sierpnia 2025. Niestety do zamknięcia numeru nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Rzecznik MSZ, Pan Paweł Wroński, po publikacji napisał do redakcji „TP" (nie wiedzieć czemu maila nie zaadresował do mnie), nie odpowiadając na moje pytania. Formułuje za to niezrozumiałe komentarze odnoszące się do wizyty prezydenta Karola Nawrockiego w USA 3 września.
Po pierwsze: nie zadawałem pytań dotyczących wizyty Prezydenta RP 3 września w USA. Po drugie: na pytania o urlop Pana Kierownika Klicha nie uzyskałem odpowiedzi. Po trzecie: brak odpowiedzi na moje pytania utrudnia ustalenie realnego zakresu aktywności Pana Kierownika w zabiegach o obecność przedstawiciela Polski w spotkaniu Trump–Zełenski–przywódcy państw UE w dniu 18 sierpnia.
Z wyrazami szacunku

ZBIGNIEW PARAFIANOWICZ

REKLAMA



Prestige MJM · BILET SERWIS · RMF CLASSIC · onet · TYGODNIK POWSZECHNY · VIXON MEDIA+

LEPIEJ UROSNĄĆ CZY SPŁODZIĆ DZIECI?

Ewolucja optymalizuje wykorzystywanie zasobów przez organizmy. Kształtuje nie tylko ich cechy fizyczne, które pomagają im działać w środowisku. Także ich sposób życia.

TOMASZ MÜLLER



Wypoczywając na łonie natury wśród polskich jezior i rzek, możemy natknąć się na małże z rodziny skójkowatych (*Unionidae*). Posiadają interesujący cykl życiowy. Po zapłodnieniu, które zachodzi wewnątrz ciała samicy, młode osobniki w postaci form larwalnych (tzw. glochidiów) są przechowywane w komorach powstałych z przekształconych skrzeli, u niektórych gatunków przez kilka tygodni, u innych – nawet kilku miesięcy (u szczeżui pospolitej *Anodonta anatina* – larwy zimują w ciele matki). Następnie, po opuszczeniu organizmu matki, małże przywierają do ciała wybranych gatunków ryb. Uczepione rybiego żywiciela, przechodzą przeobrażenie do postaci zbliżonej do dorosłego małża. Potem opadają na dno, rosną przez całe życie i rozmnażają się wielokrotnie.

Zdarzenia zachodzące w cyklu życiowym skójkowatych układają się w charakterystyczny ciąg zwany przez biologów historią życiową. Zapewne każdy z nas kojarzy łososie pacyficzne, które – w odróżnieniu od skójkowatych i wielu innych gatunków – rozmnażają się w życiu tylko raz, ginąc po okresie tarła. Oczywiście historie życiowe mogą się także różnić pod względem ilości produkowanego potomstwa i jego rozmiarów, zakresu i formy opieki nad potomstwem, długości życia oraz charakteru wzrostu i wielu innych cech. Jak jednak zauważa biolog Stephen Stearns w klasycznym podręczniku „The evolution of life histories" – zawsze spełniona jest jednak zasada ogólna: wszelkie zdarzenia historii życia osobnika będą się tak układać, aby – przy uwzględnieniu istniejących ograniczeń – jego sukces ewolucyjny był jak największy.

Strategie wzrostu

Jednym z przejawów bogactwa historii życiowych jest zróżnicowanie wielkości osobników. Współcześnie żyjące gatunki zwierząt mogą różnić się rozmiarami ciała o ponad dziesięć rzędów wielkości, a paleontologia nie pozostawia wątpliwości, że podobnie bywało także w przeszłości. Co kryje się za tak znacznym zróżnicowaniem wielkości ciała, która sama w sobie jest nie tyle miarą sukcesu ewolucyjnego, ile raczej środkiem do jego osiągnięcia?

Rozmiary ciała stanowią wypadkową rozmiarów przy urodzeniu, intensywności procesów wzrostu oraz czasu ich zachodzenia. Wzrost wymaga znacznej ilości zasobów dla zaspokojenia zarówno bieżących potrzeb organizmu, jak i powstawania nowych komórek, tkanek i narządów. U człowieka, podobnie jak u innych ssaków oraz u ptaków, wzrost ustaje po osiągnięciu dojrzałości, ale u innych zwierząt trwa przez całe życie, o czym mogą zaświadczyć hodowcy ryb, węży i mięczaków. Znaczne zróżnicowanie rozmiarów ciała i typów wzrostu nasuwa przypuszczenie, że można odnieść sukces ewolucyjny, stosując bardzo odmienne strategie.

Gdy w 1859 r. Karol Darwin opublikował „O powstawaniu gatunków", jego teoria tłumacząca różnicowanie się osobników na drodze doboru naturalnego dopiero zaczynała torować sobie drogę wśród przedstawicieli nauk biologicznych, wzbudzając zarówno aplauz, jak i gwałtowny sprzeciw. Dziś uwspółcześniona wersja teorii ewolucji, korzystająca z osiągnięć żywiołowo rozwijającej się biologii molekularnej, nie tylko weszła do kanonu myślenia osób zajmujących się przyrodoznawstwem, lecz także umożliwiła lepsze zrozumienie oszałamiającej bioróżnorodności.

Procesy ewolucyjne rozgrywają się w środowisku, które ustawicznie podlega zmianom – pod kątem temperatury, dostępności pożywienia i wody, czyhających zagrożeń, liczby miejsc, w których można znaleźć schronienie, konkurencji ze strony przedstawicieli tego samego i innych gatunków itd. Stałe warunki bytowania przytrafiają się bardzo rzadko. Źródłem zróżnicowania historii życiowych gatunków, w tym różnorodności procesu wzrostu, jest fundamentalna w biologii tendencja do maksymalizowania sukcesu ewolucyjnego przez osobniki, które skazane są na życie w zmiennym środowisku. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Sukces ewolucyjny

Samce lwów, gdy tylko uda im się przejąć kontrolę nad stadem złożonym ze spokrewnionych ze sobą samic, kociąt i osobników młodocianych, niejednokrotnie zabijają kocięta, aby bez zwłoki przystąpić do rozrodu, dzięki przyśpieszeniu wystąpienia rui u samic – lwice karmiące nie są bowiem gotowe na przyjęcie samców przez kolejnych 25 miesięcy. Zarazem lwiątka, które stracą matki, bywają przygarniane przez spokrewnione z nimi samice. Te zachowania społeczne lwów stanowią przykłady dwóch działań na rzecz rozprzestrzeniania własnych genów – rozmnażania oraz wspierania osobników spokrewnionych. Zdolność do rozprzestrzeniania kopii własnych genów, określana w biologii mianem dostosowania, stanowi miarę sukcesu ewolucyjnego osobnika, przy czym rozmnażanie przekłada się bezpośrednio na produkcję nowych kopii własnych genów, a wsparcie krewniaków (posiadających tylko część tych samych genów) jedynie pośrednio.

Wzrost i rozmnażanie nie są możliwe bez energii i materiałów budulcowych. W cyklu życiowym małży skójkowatych pobieranie zasobów i gospodarowanie nimi wygląda różnie na różnych etapach rozwoju: samice odżywiają inkubowane larwy, pobierając jednocześnie pokarm z otoczenia, glochidia korzystają z zasobów ryb-żywicieli, a młode osiadłe małże odżywiają się, filtrując wodę. Podobnie przedstawiciele innych gatunków przeznaczają zasoby na bieżące potrzeby organizmu, odkładanie materiałów zapasowych, a ostatecznie na wzrost i rozmnażanie. W tym miejscu warto zapytać, po co w ogóle inwestować we wzrost rozmiarów ciała, skoro dostosowanie zależy od ilości wyprodukowanego potomstwa – a to z kolei od ilości zasobów przeznaczonych na rozmnażanie się? Dlaczego organizmy nie przeznaczają każdej nadwyżkowej kalorii bezpośrednio na rozmnażanie się?

Zauważmy, że zwierzęta rzadko mogą przychodzić na świat w rozmiarze, który będzie optymalny w życiu dorosłym: rodzi to konieczność wzrostu do osiągnięcia pożądanych rozmiarów. Wzrostowi towarzyszy rozwój, czyli taka zmiana wewnętrznej organizacji ciała, która prowadzi ostatecznie do wykształcenia osobników dojrzałych. Ponadto, płodność jest często powiązana z wielkością ciała.

W przypadku znanych nam już małży skójkowatych większe samice inkubują więcej larw niż mniejsze, co przekłada się na wartość ich dostosowania. Dodatnia zależność płodności od wielkości ciała obecna u przedstawicieli innych grup, ↦

Samica lwa z potomstwem w okolicy rzeki Ngorongoro w Tanzanii

STU PORTER / ALAMY / B&EW

↦ takich jak pająki, ryby, jaszczurki czy węże, może przyczyniać się do osiągania większych rozmiarów ciała przez samice w porównaniu z samcami, co jest widoczne np. u węży z rodziny dusicieli (samce boa są mniejsze i bardziej ruchliwe – ich sukces reprodukcyjny zależy przede wszystkim od tego, ile samic uda im się spotkać). Te przykłady wskazują, że wzrost można traktować jako rodzaj pośrednich inwestycji w rozmnażanie, z odroczonym zyskiem w postaci zwiększonej płodności w przyszłości. W tych kalkulacjach pod żadnych pozorem nie można jednak zapomnieć o uwzględnieniu czynnika czasu.

Czas to pieniądz

Zabijanie obcych lwiątek przez samce nie wydaje się najszczęśliwszą strategią, gdy weźmiemy pod uwagę choćby relacje panujące w stadzie. Czy rezygnacja z dzieciobójstwa, której kosztem byłoby późniejsze przystąpienie do rozmnażania, nie ułatwiłaby integracji w grupie? Okazuje się jednak, że czas jest bardzo cennym zasobem, a kontrolę nad grupą można w każdej chwili stracić na rzecz kolejnej koalicji samców. Zwykle samcom lwów udaje się utrzymać dominację w grupie jedynie przez 2-3 lata. W tej sytuacji strategia polegająca na natychmiastowym pozbyciu się kociąt swoich poprzedników może okazać się najkorzystniejsza. Pozostawienie kociąt przy życiu oznacza nie tylko utratę cennego czasu, lecz także konieczność zdobycia zasobów dla zapewnienia ich wzrostu i rozwoju, w czym samce będą uczestniczyć poprzez chociażby ochronę upolowanej zdobyczy przed innymi drapieżnikami – w stadach lwów polowaniem zajmują się bowiem głównie samice.

Problem upływu czasu jest także ważny w kontekście „podejmowania decyzji" o kontynuowaniu lub zaprzestaniu wzrostu, co przekłada się na osiągane rozmiary ciała. W populacjach szczeżui pospolitej o niskiej śmiertelności małże te osiągają większe rozmiary ciała niż w populacjach narażonych na wysoką śmiertelność: gdy jest bezpiecznie, opłaca im się rosnąć.

Inwestowanie we wzrost może w przyszłości przynieść zysk w postaci zwiększonej płodności, ale w razie przedwczesnej śmierci potencjalny zysk nigdy nie zostanie osiągnięty, tymczasem zasoby przeznaczane obecnie na wzrost mogłyby zostać zużyte na rozmnażanie i przyczynić się do wzrostu dostosowania już teraz. Jak to wyraził Jan Kozłowski – emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i badacz ewolucji historii życiowych organizmów – osiągnięcie określonych wymiarów ciała wymaga czasu i wiąże się z ryzykiem, ponieważ prawdopodobieństwo przeżycia każdego dnia jest zawsze mniejsze od jedności.



ANNA POLTORATSKAYA / ADOBE STOCK

W populacjach szczeżui pospolitej o niskiej śmiertelności małże te osiągają większe rozmiary ciała niż w populacjach narażonych na wysoką śmiertelność: **gdy jest bezpiecznie, opłaca im się rosnąć.**

A ja rosnę i rosnę

Dostępność pokarmu jest kolejnym, obok śmiertelności, istotnym czynnikiem kształtującym strategie życiowe zwierząt. Skójkowate, jak większość małży, są filtratorami wyłapującymi z toni wodnej plankton roślinny i zwierzęcy, zarodniki grzybów, bakterie oraz martwe cząstki organiczne. To, czy małż pójdzie spać głodny, zależy więc najbardziej ogólnie od tempa przebiegającego globalnie procesu tzw. produkcji pierwotnej, polegającego na syntezie związków organicznych z dwutlenku węgla i wody przy wykorzystaniu energii słońca (fotosynteza) lub, rzadziej, energii chemicznej (chemosynteza).

Gospodarowanie zasobami u licznych skójkowatych zamieszkujących wyższe szerokości geograficzne półkuli północnej musi uwzględniać silnie wyrażoną na tych obszarach sezonowość produkcji pierwotnej i tempa śmiertelności. I tak, wzrost szczeżui pospolitej ma miejsce przede wszystkim w pierwszej części sezonu do końca lipca, natomiast dojrzewanie larw zachodzi od połowy czerwca do połowy października. Te obserwacje pasują do przewidywań ogólnych biologicznych modeli gospodarowania zasobami, z których wynika, że przed końcem okresu ciepłego (w którym produktywność pierwotna wzrasta) inwestowanie we wzrost przestaje się opłacać (większe ciało wymaga większych zasobów na utrzymanie go przy życiu). Nadwyżki zasobów lepiej wówczas przeznaczać na rozmnażanie się.

Jednak bliższe przyjrzenie się wydatkom energetycznym szczeżui ujawnia, że inwestowanie w rozmnażanie zachodzi u tego gatunku małża prawie przez cały rok: rozwój i dojrzewanie plemników i komórek jajowych można już bowiem obserwować w okresie od stycznia do maja, a samo uwalnianie glochidiów do wody w połowie marca także wymaga zwiększonych nakładów energetycznych. Wyniki badań szczeżui wskazują na znaczną plastyczność gospodarowania zasobami w zależności od ich dostępności w środowisku; zmniejszanie się ilości zasobów prowadzi w pierwszej kolejności do ograniczenia wzrostu, a następnie do zmniejszenia nakładów na rozmnażanie. Inwestycje w utrzymanie wzrostu ciała oczywiście zostają zachowane – bez zaspokajania bieżących potrzeb organizm nie przeżyje.

Potrzebny est kompromis

Samice szczeżui pospolitej mogą równocześnie inkubować ponad 100 tys. glochidiów. To bardzo dużo, ale wśród skójkowatych prym pod względem płodności wiedzie pochodząca z Azji wschodniej szczeżuja chińska (*Sinanodonta woodiana*), mogąca wyprodukować równocześnie do 200 mln larw. Wśród skójkowatych nawet gatunek charakteryzujący się najmniejszą płodnością w tej grupie,

czyli szczeżuja spłaszczona (*Pseudanodonta complanata*) wytwarza i tak aż od 5 do 50 tys. larw.

Dysponując określoną pulą zasobów, można wyprodukować bardzo wiele niewielkich osobników potomnych (jak skójkowate), albo niewiele znacznie większych (dlatego słonice afrykańskie rodzą niemal zawsze tylko jedno młode).

Ta pierwsza możliwość wydaje się kusząca, ponieważ każdy z licznych osobników potomnych posiada materiał genetyczny pochodzący od obojga z rodziców (w przypadku rozmnażania płciowego), co przekłada się na wzrost ich dostosowania, jednak inwestycja w niewielką liczbę młodych także może być opłacalna z uwagi na ich większe rozmiary i potencjalnie znacznie niższą śmiertelność.

Sytuację, w której inwestycje w jedną cechę historii życia (tu: liczebność potomstwa) prowadzą do wzrostu dostosowania, wpływając jednocześnie negatywnie na możliwości wzrostu dostosowania na innej drodze (tu: poprzez zmniejszenie śmiertelności potomstwa), są powszechne, a biolodzy nazywają je kompromisami ewolucyjnymi. Prowadzą one do swoistego przeciągania liny; proporcje zasobów przeznaczanych na realizację dwóch odmiennych sposobów zwiększania dostosowania zależą wówczas zarówno od stanu osobnika, jak i cech środowiska.

Wspomniane wcześniej modyfikacje wzrostu u szczeżui pospolitej w zależności od śmiertelności w populacji także można rozpatrywać w kategoriach rozwiązań kompromisowych. Małże mogą bowiem albo bezpośrednio zwiększać dostosowanie poprzez rozmnażanie, co ogranicza inwestycje we wzrost (czyli „przyszłe rozmnażanie"), albo inwestować we wzrost, co zmniejsza ilość zasobów przeznaczanych na rozmnażanie „tu i teraz". Wybór strategii zależy m.in. od oceny szans na przetrwanie w lokalnym środowisku, przy czym wraz ze wzrostem śmiertelności rośnie atrakcyjność strategii faworyzującej bezpośrednie inwestycje w rozmnażanie. Skoro jutro można zginąć, warto już dziś pomyśleć o dzieciach.

Ciekawych przykładów rozwiązań kompromisowych dostarcza analiza zachowań godowych i efektów działania doboru płciowego. Samice zamieszkujących Kenię wdówek (*Euplectes progne*) – ptaków nie większych od wróbla – upodobały sobie samce posiadające ogony o długości ok. 50 cm, przy czym ich własne ogony są kilkukrotnie krótsze. Samce mogą zwiększać swój sukces rozrodczy – a przez to także dostosowanie – poprzez wykształcenie odpowiednio długich ogonów, których obecność utrudnia jednak latanie i zmniejsza szanse na ucieczkę przed drapieżnikami. Skrócenie ogonów z kolei ułatwia uniknięcie drapieżców, ale pociąga za sobą zmniejszenie atrakcyjności w oczach samic. W tej sytuacji wzrost długości ogonów u samców ustaje, gdy ich zyski z tytułu zwiększania się sukcesu rozrodczego zostają zrównoważone przez straty wynikające z utraty zdolności do ucieczki przed niebezpieczeństwem. Godowe atrybuty samców odpowiadające na oczekiwania samic odnajdujemy także u pawi, bażantów i rajskich ptaków, a także niektórych gatunków ryb, takich jak gupiki czy mieczyki.

Wszystko la dzieci

Teoria historii życiowych funkcjonująca w ramach współczesnej myśli ewolucyjnej nie pozostawia wątpliwości, że znaczenie procesów wzrostu i rozwoju polega na przygotowaniu ciała do osiągnięcia możliwie największego sukcesu ewolucyjnego.

Każda kaloria energii może być przeznaczona na wzrost jedynie pod warunkiem, że w przyszłości pozwoli na zwiększenie nakładów na rozmnażanie o więcej niż jedną kalorię, w przeciwnym razie powinna być zużytkowana na rozmnażanie lub odłożona pod postacią materiałów zapasowych.

Doskonalenie strategii rozrodczych utrudnia ograniczona ilość dostępnych zasobów – w tym pokarmu oraz czasu – a także obecność kompromisów ewolucyjnych. Nie można posiadać tysięcy lub milionów dużych osobników potomnych, zapewniając każdemu z osobna dobre widoki na przyszłość.

W ewolucyjnej grze o jak największe dostosowanie jest bardzo niewiele stałych elementów. Kompozycja genetyczna i inne cechy organizmu ulegają modyfikacjom z pokolenia na pokolenie, a środowisko zewnętrzne jest wręcz uosobieniem niestałości, poczynając od flory i fauny, poprzez warunki klimatyczne i glebowe, a kończąc na parametrach orbity ziemskiej i mocy promieniowania dochodzącego ze Słońca. Poznanie stosunkowo prostych zasad rządzących ewolucją organiczną od prawie 4 miliardów lat należy do największych osiągnięć biologii, które cały czas uczymy się doceniać.

© TOMASZ MÜLLER



FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WRZESIEŃ W TEATRZE TELEWIZJI

Po wakacyjnej przerwie, TEATR TELEWIZJI rusza z nowym sezonem — premiery oryginalnych produkcji, rejestracje ważnych i nagradzanych spektakli z teatrów w całej Polsce, nowe cykle kuratorskie w repertuarze (w tym Scena Młodego Widza i Nowa Dramaturgia Polska), rozmowy wokół przedstawień… Zapraszamy przed ekrany na widownię „największej sceny świata”!

We wrześniu Teatr Telewizji zaprasza aż na pięć premier. Sezon otworzą **„Księgi sprośności”, najnowszy spektakl Macieja Wojtyszki**, który po świetnie przyjętych „Deprawatorze” i „Dowodzie na istnienie drugiego”, kontynuuje snucie opowieści o fikcyjnych — choć przecież bardzo możliwych — spotkaniach wielkich twórców polskiej kultury. Tym razem trafiamy do XIX-wiecznego Paryża, gdzie na emigracji wraz z rodzinami przebywają Adam Mickiewicz i Aleksander Fredro — dopiero tu mają okazję się poznać, jednak na ich relacji szybko kładzie się cieniem sprawa najsłynniejszego polskiego „apokryfu”, czyli mylnie przypisywanej Fredrze, bezgranicznie sprośnej „XIII księgi”, żartobliwie dopisanej do poematu Mickiewicza. Pod komediową warstwą kryją się jednak sprawy zdecydowanie poważniejsze: Mickiewicz, zafascynowany Towiańskim, stopniowo odpływa w religijny fanatyzm, a Fredro, rozczarowany i zgorzkniały, wycofuje się z pisania i aktywnego udziału w kulturze. Idee romantyzmu bledną w zderzeniu z codziennością. Do czego może doprowadzić spotkanie dwóch zmęczonych gigantów polskiej literatury? Czy potrafią się w sobie przejrzeć, coś sobie jeszcze nawzajem podarować? W obsadzie m.in. Danuta Stenka, Krzysztof Tyniec, Krzysztof Szczepaniak, Ireneusz Czop. Premiera **8 września, g. 20:30, TVP 1**.

Romantyzm rozumiany jako zestaw narodowych mitów i narracji wciąż pozostaje dla polskiego teatru istotnym wyzwaniem i nawet twórcy najmłodszych pokoleń widzą w nim dziedzictwo domagające się ciągłych przepracowań — takiego przepracowania, współczesnej interpretacji romantycznego mitu, dokonuje **Kamil Białaszek** w spektaklu **„Nowy Pan Tadeusz, tylko że rapowy”**. Debiutujący reżyser, na scenie muzycznej znany również jako raper Koza, przeprowadza tu wraz z zespołem Teatru Polskiego w Poznaniu bezczelny, niepokorny, anarchizujący „włam” do najsłynniejszego polskiego poematu — trzynastozgłoskowiec zostaje przepisany i wstawiony na hip-hopowe bity, a Soplicowo umieszczone na współczesnej, polskiej, zapadłej prowincji. Spod biedy i patologii, które zdominowały życie jego mieszkańców, wyłania się opowieść o najmocniejszym narkotyku zażywanym dziś na opuszczonych przez transformacyjne procesy rubieżach — nacjonalizmie. Radykalne przetworzenie jednego z najważniejszych tekstów polskiej kultury już **30 września na TVP Kultura** (a tydzień wcześniej, tj. 23 września, w cyklu powtórek, „Made in Poland” Przemysława Wojcieszka — jedna z pierwszych teatralnych opowieści o ograbionych z przyszłości bohaterach zrodzonych na zapuszczonych blokowiskach Polski B; przedstawienie sprzed dwóch dekad, z którym jednak rapowy „Pan Tadeusz…”, wyraźnie się, nomen omen, rymuje).

Zdecydowanie bardziej klasyczną realizacją, która ucieszy amatorów dobrze pojętego — i zrobionego z najwyższą starannością — mieszczańskiego teatru, jest natomiast **„Tartuffe” Moliera** w reżyserii Tadeusza Kabicza. Uniwersalna opowieść o religijnej hipokryzji, destrukcyjnej sile pieniądza i rodzinie pogrążonej w głębokim kryzysie zyskuje tu nowe życie dzięki współczesnej inscenizacji, a siły i wdzięku klasycznego wiersza w nowym, doskonałym przekładzie Jerzego Radziwiłłowicza dowodzi gwiazdorska obsada, m.in.: Bartosz Bielenia, Piotr Adamczyk, Magdalena Cielecka i Grażyna Szapołowska. Jak mówi reżyser spektaklu: „To wspaniały portret rodziny, która mając wszystko, nie ma w zasadzie nic. A przynajmniej nic, co byłoby naprawdę ważne”. Klasyka w najlepszym wydaniu — już **21 września, g. 20:30, TVP1.**

Współczesnym językiem o rodzinnych problemach opowiadają z kolei reżyser Michał Grzybowski i scenarzysta Tomasz Walesiak — **„Rodzice”** to lekka i zabawna opowieść o młodej parze (Zuzanna Bernat, Tomasz Ziętek), która próbuje rozpocząć wspólne, dorosłe życie. Właśnie wprowadzili się do nowego mieszkania, lada chwila spodziewają się dziecka, a na głowach mają nie tylko pilny remont, ale i, jak się po chwili okazuje, piętrzące się kłopoty z sąsiadami (Łukasz Simlat, Agnieszka Dulęba-Kasza) oraz niedającą o sobie zapomnieć rodziną. Komedia pomyłek, ale i czuła, terapeutyczna opowieść o tym, że wszystkie relacje, w których jesteśmy — a zwłaszcza te najbliższe — wymagają ciągłej pracy, negocjacji i uważności. **15 września, g. 20:30, TVP 1.**

We wrześniu Teatr Telewizji zainauguruje również **Scenę Młodego Widza — nowy cykl** comiesięcznych spektakli stworzony z myślą o młodszej widowni. Będą to przedstawienia uznanych twórców polskiego teatru, tworzone w duchu przykazań Janusza Korczaka, wybitnego pedagoga, który podkreślał wagę tego, by traktować młodego człowieka poważnie i przekonywał, że teatr dla młodych nie powinien być infantylny. Dzisiaj, w świecie, który przynosi najmłodszym pokoleniom trudne wyzwania na każdym poziomie ich życia — rodziny, szkoły, sieci — te przykazania pozostają równie istotne, a teatr, jeśli chce wejść z młodszą widownią w dialog, musi znać jej problemy i potrafić o nich szczerze rozmawiać. Taka będzie Scena Młodego Widza — a na otwarcie cyklu premiera jednego z najlepszych spektakli zeszłego sezonu, międzypokoleniowy teatr dla całych rodzin, czyli **„Człowiek jaki jest, każdy widzi” w reżyserii Katarzyny Minkowskiej** (koprodukcja Nowego Teatru w Warszawie i Teatru im. Żeromskiego w Kielcach). W zaśnieżonych Himalajach działa schronisko dla

MATERIAŁ PROMOCYJNY

zwierząt, prowadzą je Tata Yeti i jego córka Yetinka. Zwierzęta żyją szczęśliwie i bezpiecznie poza zasięgiem i działaniem człowieka, do czasu gdy Yetinka, nurtowana potrzebą odpowiedzi na ważne pytania, wyrusza w niebezpieczną podróż — chce dowiedzieć się, kim i jaki naprawdę jest człowiek. Tata Yeti, świadom zagrażającego jej niebezpieczeństwa, niezwłocznie rusza za córką... To nie tylko brawurowy popis aktorskich umiejętności, ale też wzruszający obraz relacji córki i samotnie wychowującego ją ojca, a także mądra opowieść o tym, że nikt nie jest sam z siebie dobry ani zły, a o tym, kim i jacy jesteśmy, decydują podejmowane przez nas wybory. W rolach zamieszkujących schronisko zwierząt występują: Bartosz Bielenia, Ewelina Pankowska, Piotr Polak, Jan Sobolewski, Igor Shugaleev, Krystyna Lama Szydłowska. Premiera **28 września, g. 14, TVP 1**.

Zapraszamy też na TEATRTV.VOD.TVP.PL: premiery, bogate archiwum przedstawień, rozmowy, podcasty...

REPERTUAR – WRZESIEŃ

TVP 1

Poniedziałki | 20:30

01.09

PIĘKNA ZOŚKA (2024)
Grand Prix XXIV Festiwalu „Dwa Teatry”
Justyna Bilik,
Marcin Wierzchowski,
reż. Marcin Wierzchowski

08.09 PREMIERA

KSIĘGI SPROŚNOŚCI*
scen. i reż. Maciej Wojtyszko

15.09 PREMIERA

RODZICE*
Tomasz Walesiak,
reż. Michał Grzybowski

22.09 PREMIERA

TARTUFFE*
Molière,
reż. Tadeusz Kabicz

29.09

FRYZJER (2004)
Bartosz Kurowski,
Maciej Pieprzyca,
reż. Maciej Pieprzyca

Niedziela | 14:00

SCENA MŁODEGO WIDZA

28.09 PREMIERA

CZŁOWIEK JAKI JEST, KAŻDY WIDZI
Marzena Matuszak,
reż. Katarzyna Minkowska

TVP KULTURA

Wtorki | 20:00

02.09 TEATROTEKA

CHŁOPIEC MALOWANY (2014)
Piotr Rowicki,
reż. Piotr Ratajczak

09.09

PREZENT (2005)
scen. i reż. Łukasz Wylężałek

16.09

DZIKA KACZKA (1976)
Henrik Ibsen,
reż. Jan Świderski

23.09

MADE IN POLAND
(2005)
scen. i reż.
Przemysław Wojcieszek

30.09 PREMIERA
uwaga – godz. 22:00

NOWY PAN TADEUSZ, TYLKO ŻE RAPOWY
scen. i reż. Kamil Białaszek

* Po emisjach oznaczonych spektakli premierowych zapraszamy na teatralne **POSTSCRIPTUM**, czyli rozmowę z twórcami.

KULTURA

POŁĄCZ KROPKI

JUSTYNA MAZUR-KUDELSKA

Im więcej wiemy o świecie, tym chętniej zwracamy się ku temu, co mroczne, niewyjaśnione, leżące poza granicami rozumowego poznania. To jedna z przyczyn rosnącej popularności gatunku *true crime*.



PATRICK HARBRON / MATERIAŁY PRASOWE DISNEY+

ROCH ZYGMUNT: Po co słuchać o zbrodniach?

JUSTYNA MAZUR-KUDELSKA: Dobre pytanie. Chyba z tego samego powodu, dla którego na urlopie czytamy reportaże z terenów objętych wojną.

Czyli?

Interesuje nas życie innych ludzi. Poza tym treści *true crime* przełamują największy temat tabu, jakim jest odebranie życia. Czytelnicy sięgają po kryminały, bo lubią historie owiane tajemnicą. Dobrze odnajdują się w zagadkowej atmosferze, czują się jak detektywi. Ale dokumenty o zbrodniach mają to, czego nie ma nawet najlepszy kryminał – są prawdziwe. Dotyczą ludzi takich jak ty czy ja, którzy zeszli na złą drogę albo postawili majątek i osobisty sukces ponad czyjeś życie. Naturalnym odruchem jest chęć zajrzenia w ten mrok.

Nigdzie indziej go nie ma?

Myślę, że nie. Niezależnie od tego, czy wyznajemy jakąś religię, czy nie, podstawową, uniwersalną zasadą, której przestrzegamy w naszych społecznościach, jest uszanowanie prawa do życia. Jesteśmy przerażeni, ale również w pewien sposób zafascynowani tymi, którzy je łamią.

Dlaczego chcemy ich zrozumieć?

Po pierwsze, z ciekawości. Po drugie, chcemy oswoić jakąś emocję – zapewne tę samą, która pojawia się, gdy idziemy do kina na horror. Chcemy wiedzieć, jakie sygnały wysyłają ludzie, którzy dopuszczają się morderstw, i co umknęło ofiarom, że nie zdążyły w porę zareagować. Wiedza z niektórych podkastów może pozwolić zapobiec niebezpiecznym sytuacjom. Myślę tu o przemocy domowej, psychicznej, ekonomicznej, toksycznych relacjach. Nawet jeśli sami nie mamy z tym wszystkim do czynienia, możemy pomóc komuś bliskiemu.

Skoro ludzie od zawsze fascynowali się zbrodniami, dlaczego boom na *true crime* jest teraz?

Pojawiły się podkasty, które szybko stały się pełnoprawnym medium. Sama założyłam swój właśnie dlatego, że zawsze interesowałam się historiami kryminalnymi, literaturą faktu i brakowało mi tego typu treści w formie opowieści audio. Byłam druga, bo kilka tygodni wcześniej z podkastem „Kryminatorium" wystartował Marcin Myszka. Później inni twórcy zainspirowali się rosnącym trendem, zarówno popularnością tematyki kryminalnej, jak i modą na podkasty w ogóle. Myślę, że dzisiaj rynek jest już nasycony, choć oczywiście powstają kolejne formaty.

Co takiego podkast ma w sobie, że pasuje do tematyki *true crime*?

To bardzo intymne medium. Jest dźwięk, nie ma obrazu. Jeszcze kilka lat temu mówiło się, że w mediach liczyć się będą tylko krótkie i zawierające warstwę wideo treści. Mimo że poszłam wbrew tym radom i trendom, udało mi się zdobyć naprawdę wielu słuchaczy. Myślę, że jesteśmy trochę zmęczeni Instagramem czy Snapchatem, w których jest wiele bodźców, więc sięgamy po produkcje audio.

Inna sprawa, że aby kompleksowo opowiedzieć historię, w której chcemy zarysować psychologiczne portrety mordercy i ofiary, potrzeba czasu i spokoju. Nie chciałam wzbudzać sensacji.

Da się opowiadać o zbrodniach bez sensacji?

Oczywiście, że tak. Jeśli używa się słów „bestia" czy „potwór", skupia się na drastycznych szczegółach, to celowo wywołuje się kontrowersje. Ale można inaczej. Myślę, że również dzięki mojej twórczości zbrodnia przestała kojarzyć się z tabloidami, a zaczęła funkcjonować w świadomości odbiorców jako coś, do czego dochodzi w wyniku zaniedbań. Bardzo rzadko zabójca działa w ciemnej uliczce, rzadko ktoś ginie z rąk osoby nie-



Przed nami piąty sezon serialu „Morderstwa po sąsiedzku". Jego niesamowita popularność wynika z połączenia najgorętszych trendów: mody na podkasty, true crime oraz lekkiej formuły dającej poczucie bezpieczeństwa.

znanej. 99 proc. zbrodni popełnianych jest w kuchni, pod wpływem alkoholu, za pomocą noża. Pozostały 1 proc. to te, o których mogę zrobić podkast.

Co to znaczy?

W tych przypadkach można opowiedzieć niesamowite historie. Najczęściej dotyczą one ludzi, którzy mają w poważaniu zasady i odbierają życie dla własnych korzyści, nierzadko finansowych. Te sprawy najbardziej mnie interesują.

A nie jest tak, że opowiadanie o zbrodniach, nawet mimo nietabloidowego charakteru, eskaluje przemoc?

Znam programy, w których rzuca się sprawców na pożarcie internautom, ujawniając ich pełne dane, wtórnie wiktymizując przez to rodziny ofiar i morderców. Moje podejście jest inne, zawsze staram się zrozumieć sprawców. Nie usprawiedliwiać, chociaż i to ktoś mi kiedyś zarzucił. Dla mnie zrozumienie sprawcy to klucz do bezpieczeństwa i zmniejszania skali przemocy. Nie boję się eskalacji, podchodzę do swojej działalności odpowiedzialnie. Sekcje komentarzy pod moimi materiałami są moderowane przez profesjonalistów. Nie zachęcam do wyciągania pochopnych wniosków.

Spotkałaś się z zarzutem, że zarabiasz na tragediach?

Ten zarzut formułuje się czasem wobec *true crime*, ale zastanówmy się: przed czy po emisji programu interwencyjnego w telewizji albo reportażu z terenów objętych wojną oglądamy blok reklamowy, złożony z losowych spotów. A może w trakcie programu? W przypadku podkastów reklamy są przynajmniej dostosowane tematycznie. A nie byłoby ich w ogóle, gdyby platformy płaciły za wyświetlenia. Obecnie żadna z nich tego nie robi.

Jest jakiś kamień węgielny *true crime* w Polsce? Publikacja, która stała się początkiem szerokiego zainteresowania tymi treściami?

Poza podkastem „Kryminatorium", które wystartowało chwilę przed moim „Piąte: Nie zabijaj", wskazałabym na „Polskie morderczynie" Katarzyny Bondy. Moim zdaniem to najlepsza polska książka z gatunku *true crime*, bo połączyła opowieści o zbrodni z dwóch perspektyw: zabójczyń oraz akt sprawy. To dwa różne światy.

Aż tak?

Sprawczynie opowiadają drogę, która doprowadziła je do zabójstwa. Robią to w taki sposób, że zaczynasz im współczuć. Nie negujesz faktu, że dopuściły się zbrodni, ale widzisz, że dostały od losu gorsze karty niż ty czy ja. Potem czytasz tę samą historię przez pryzmat akt sądowych i dostrzegasz zupełnie inne twarze tych samych ludzi. Okazuje się, że do samego końca sprawczynie nie przyznawały się do winy. Ta strona ↦

↦ wybrzmiewa dopiero, gdy wyjmie się sprawy z kontekstu nadanego im przez bohaterki. Co w takim razie jest prawdą? Ustalenia prokuratury czy wersja zabójczyni, która przecież wie, co ją do tego czynu doprowadziło?

Może jedno i drugie.

No właśnie. Widzimy dzięki temu, że świat nie jest czarno-biały, i to jest fascynujące. Poza tym, „Polskie morderczynie" są ważne dlatego, że samo mówienie o kobietach-zabójczyniach było przełamaniem tabu.

Książki z gatunku *true crime* są równie popularne, co podkasty?

Sądzę, że boom na podkasty napędził sprzedaż książek, i bardzo mnie to cieszy. Pamiętam kilkadziesiąt świetnych książek reporterskich, które znikały w tłumie na półkach, bo ludzie nie wiedzieli, że mogą po takie historie sięgnąć w dziale z literaturą faktu. Pojawiły się teraz wznowienia niektórych tytułów. Jestem przekonana, że odbiorcy chcą poznać więcej szczegółów historii, o których słyszą w podkastach, dlatego czytają duże reportaże na temat konkretnych spraw. W moich programach zawsze odsyłam do dzieł, dzięki którym można pogłębić wiedzę. Nie lubię streszczać, bo to okradanie twórcy z jego pracy. Pisarze coraz częściej chcą rozmawiać z autorami i autorkami podkastów *true crime*, bo widzą, jak duże mają zasięgi.

A skąd się u Ciebie wzięło zainteresowanie zbrodniami?

W dzieciństwie, na wakacjach u babci, późną nocą oglądałam „997", kultowy program Michała Fajbusiewicza. Był to co prawda program okraszany drastycznymi scenami, zakazany, ale zaglądający za kulisy zbrodni.

Ludzie go oglądali z podobnych powodów, z jakich dziś popularne są podkasty *true crime*?

Tak, na pewno była tam ciekawość i chęć poznania mechanizmów zbrodni. Ale „997" był też programem misyjnym. Nagłaśniano w nim niewyjaśnione zbrodnie, niektóre udało się dzięki zainteresowaniu widzów rozwikłać. Potem, gdy uczyłam się do matury z angielskiego, musiałam czytać dużo nudnych tekstów źródłowych. Znalazłam stronę Crime Li-



ARCHIWUM PRYWATNE

JUSTYNA MAZUR-KUDELSKA jest blogerką i podkasterką. Redaktorka merytoryczna „Newsweeka. Magazynu Kryminalnego". Od 2019 r. prowadzi „Piąte: Nie zabijaj", jeden z najpopularniejszych podkastów o tematyce *true crime*.

brary, na której czytałam o zbrodniach tylko po angielsku. Chyba mi się to przydało, bo egzamin zdałam na 99 proc.

Na studiach oglądałam różne bardziej „naukowe" programy kryminalne i zorientowałam się, że mam na ten temat dużą wiedzę, którą niespecjalnie miałam się z kim dzielić. Wówczas *true crime* kojarzyło się z tanią sensacją. Założyłam podkast lifestyle'owy, który okazał się sukcesem, więc pomyślałam, że spróbuję poeksperymentować z tematyką zbrodni. Na początku z przeświadczeniem, że i tak nikt nie będzie tego słuchał.

Tworząc od lat podkast *true crime*, nie masz poczucia, że zbrodniarze są wszędzie?

Wręcz przeciwnie. Dzięki temu, że zna się statystyki, wiadomo, że ryzyko, iż staniemy się ofiarą morderstwa, jest znikome. Zawsze na koniec odcinka mówię: „dbajcie o siebie i bądźcie bezpieczni". Mam przez to na myśli, że nie należy chodzić samemu nocą, szczególnie pod wpływem alkoholu, itd. Dostaję *feedback* od słuchaczy i słuchaczek, że dzięki historiom, które opowiadam, są bardziej ostrożni. Są jednak inne konsekwencje tworzenia „Piąte: Nie zabijaj".

Jakie?

Przytłoczenie tematem. Od roku jestem mamą. Chociaż z natury jestem osobą raczej refleksyjną, dziecko wniosło do mojego życia dużo radości, która zwyczajnie nie pasuje do morderstw. Nawet zresztą bez tego kontekstu człowiek czasem po prostu może się wypalić, gdy cały czas słucha o tym, kto się znowu pozabijał. Z jednej strony muszę robić sobie przerwy pomiędzy nagraniami, a z drugiej – staram się nie popaść w rutynę. Nie chcę dojść do momentu, w którym potraktuję sprawy taśmowo, na zasadzie: „dobra, następna historia: facet zabił babkę". Za każdym razem chcę oddać szacunek rodzinom ofiar.

Dostajesz czasem od nich wiadomości po premierze odcinka?

Tak, czasem piszą, dziękują za nagłośnienie historii, wsparcie. Opowiadam nie tylko o nierozwiązanych sprawach, ale także o zaginięciach, w przypadku których bliskim szczególnie zależy na rozgłosie. Do dziś jestem w kontakcie z kilkoma takimi rodzinami. Odzywają się też do mnie czasem partnerki zabójców, które poznały ich korespondencyjnie w więzieniach. Dostałam takie wiadomości od dwóch czy trzech kobiet. Oczywiście usprawiedliwiają swoich partnerów i obwiniają ofiary.

Polemizujesz z nimi?

Nie. Uznaję, że mają prawo mi to napisać, a ja mogę przyjąć to do wiadomości i nie zareagować. Sądzę, że muszą gruntownie przekonywać same siebie, z jakiego powodu związały się z mężczyzną, który np. zabił będącą w ciąży żonę.

Jest jakiś modelowy typ historii, który nadaje się na podkast?

Jest kilka. Na przykład rozstanie z zazdrością w tle, które kończy się zbrodnią. Zwykle przyczyną jest brak umiejętności poradzenia sobie z problemami w relacji. Do zbrodni dochodzi w związkach romantycznych albo pomiędzy ludźmi w inny sposób ze sobą powiązanymi, np. biznesowo. Naprawdę nie ma wielu powodów skłaniających do tego, by kogoś zabić.

Jakie są najpoważniejsze miny, na które można się natknąć, gdy się przygotowuje taki podkast?

Dobór źródeł. Często podkasterzy próbują w jakiś sposób odróżnić się od konkurencji. Jednym ze sposobów jest podawanie maksymalnej liczby szczegółów. Czasem niestety autorzy biorą je z niesprawdzonych źródeł, np. forów internetowych.

Prawdziwe historie, tajemnicze zagadki

WEDLE AMERYKAŃSKIEJ sondażowni YouGov prawie 60 proc. Amerykanów na co dzień poszukuje treści z gatunku *true crime*: podkastów, książek, filmów. Z kolei firma badawcza Edison Research dowodzi, że aż 84 proc. amerykańskiego społeczeństwa (badanie objęło dorosłych i młodzież powyżej 13. roku życia) słuchało audycji o zbrodniach (oba raporty opublikowano w roku 2024). Wiadomo, że podkastów o tematyce *true crime* Amerykanie słuchają chętniej niż newsowych czy sportowych. Podobnie jest w Polsce: w grupie pięciu najpopularniejszych podkastów na Spotify znajdują się obecnie produkcje takie jak „Kryminatorium", „Piąte: Nie zabijaj" oraz „Olga Herring: True Crime".

DEAN FIDO, wykładowca psychologii na Uniwersytecie w Derby, uważa, że chętnie wybieramy tego rodzaju historie, ponieważ konieczność rozwiązania zagadki zmusza nas do skupienia, za którym tęsknimy. Inaczej niż podczas oglądania seriali czy telewizji informacyjnych, słuchając podkastu po prostu rzadko scrollujemy telefon. Podobnego zdania jest wydawczyni Małgorzata Ochab (Filia na Faktach), wedle której zainteresowanie tematyką *true crime* jest naturalną konsekwencją naszego przebodźcowania.

– Potrzebujemy paliwa, by zaspokoić olbrzymi głód adrenaliny, ale podanego w bezpiecznej, przewidywalnej formule książki czy podkastu. Daje nam to możliwość ucieczki od codzienności i własnych problemów w świat tajemnic albo ekstremalnych sytuacji. W pewnym sensie to również udział w grze, zagadce kryminalnej i przeżycie swoistego *katharsis*. Historie mrożące krew w żyłach, opatrzone notką, że „wydarzyły się naprawdę", przyciągają silniej – mówi Ochab.

Aby zrozumieć fenomen gatunku *true crime*, warto sobie przypomnieć, w jakich czasach narodził się ojciec wszystkich śledczych i detektywów, Sherlock Holmes. To nie przypadek, że jego działalność przypadła na moment gwałtownego rozwoju technologii: kiedy świat wokół nas się komplikuje, szukamy sposobów jego uporządkowania, a postać detektywa daje pewność, że ktoś potrafi zapanować nad chaosem zdarzeń i nadać im sens. Im bardziej zmienia się rzeczywistość, im więcej o niej wiemy (za sprawą nauki i techniki), tym chętniej zwracamy się również ku temu, co niewyjaśnione, leżące poza granicami rozumowego poznania (Sir Arthur Conan Doyle, twórca postaci Holmesa, chętnie uczestniczył w seansach spirytystycznych). Nic zatem dziwnego, że korzystając na co dzień z narzędzi AI, coraz mocniej potrzebujemy także obcować z tajemnicą. Czasem tą, która leży w pytaniach o przyczyny zła.

© ℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Nie słucham innych polskich podkastów *true crime*, bo nie chcę się sugerować narracją innych twórców, ale lubię włączyć sobie podkasty z innych dziedzin. Widzę, że tam, gdzie mówi się o sytuacjach prawdziwych, często myli się dowód z relacją świadka. To, że ktoś coś powiedział, nie znaczy jeszcze, że to prawda.

W trakcie przygotowania podkastu staram się dojść do miejsca, w którym jakaś informacja pojawiła się po raz pierwszy. Docieramy też do możliwie bezpośrednich relacji, np. takich, w których widzimy świadka, członka rodziny ofiary czy prokuratora. W pogoni za informacją można czasem podać dane wrażliwe, np. adres. Mnie samej się coś takiego zdarzyło. Dla opowiadanej historii było to zupełnie zbędne, a mogło narazić kogoś na nieprzyjemności.

A czym bezpieczniej jest się wyróżniać?

To słuchacze najlepiej potrafią ocenić, co cechuje dobrego twórcę. Myślę, że siła „Piąte: Nie zabijaj" leży w powtarzalności. Mój podkast zawsze wygląda tak samo, pojawia się ten sam głos, muzyka i tempo opowieści. Największy wyróżnik zawsze polega po prostu na byciu sobą.

Uważasz, że Twój program to dziennikarstwo śledcze?

W „Piąte: Nie zabijaj" nie ma moich śledztw, ale na początku przyszłego roku ukaże się serial, który jest efektem jednego z nich. Razem z dziennikarzem Kamilem Bałukiem tropimy zabójców pewnej kobiety. Do zbrodni doszło w 1983 roku, ale udało nam się wytypować grono potencjalnych sprawców, na których nikt wcześniej nie zwrócił uwagi.

I jak to doświadczenie różni się od nagrywania podkastu?

Kiedy nagrywamy podkast, wszystko dzieje się relatywnie szybko. W przypadku śledztwa nie mamy pewności, kiedy ujrzy ono światło dzienne, bo każdy element otwiera przed nami kolejne możliwości rozwiązania historii, które trzeba zweryfikować. Poza tym trzeba się liczyć z zewnętrznymi uwarunkowaniami, takimi jak termin dostępu do akt w sądzie czy chęć spotkania ze strony rozmówców. To żmudna praca, ale satysfakcjonująca, gdy kropki wreszcie się łączą.

Nadawałabyś się do policji?

Myślałam o tym, ale rozmawiałam z wieloma policjantami, którzy są przerażeni skalą biurokracji, martwych przepisów i papierkowej roboty. Mam zresztą problemy z podporządkowaniem się, więc ciężko byłoby mi się odnaleźć w instytucji. Wolę działać na własną rękę.

Jakie są relacje twórców *true crime* z organami ścigania?

Na początku myślałam, że będą nas traktować jak zupełnych amatorów. Bywa jednak, że służby proszą podkasterów o nagłośnienie jakiejś sprawy. Na jedno z moich spotkań przyszły kiedyś dwie panie prokurator, które okazały się słuchaczkami „Piąte: Nie zabijaj". Dowiedziałam się od nich, że czasem pod wpływem podkastów toczą się wewnętrzne śledztwa.

Od roku jesteś redaktorką merytoryczną „Newsweeka. Magazynu Kryminalnego". Jak się odnajdujesz w tym medium?

Odpowiadam za wymyślanie tematu wiodącego i spraw, którymi się w danym numerze zajmiemy. Jestem ogromnie dumna z tego, że wydrukowaliśmy – we współpracy z Fundacją Itaka – plakaty osób zaginionych. I tu, i w podkastach przede wszystkim, widzę olbrzymie możliwości do wykonywania dobrej, misyjnej roboty.

© Rozmawiał ROCH ZYGMUNT



PIOTR KOSIEWSKI

Do dzieła

PIOTR KOSIEWSKI

GALERIE | Stołeczna wystawa „Przestrzenie" opowiada o jednym z najciekawszych zjawisk we współczesnej polskiej sztuce.

Wszystko zaczęło się w roku 1958, kiedy to w mieszczącym się w foyer stołecznego Teatru Żydowskiego Salonie „Nowej Kultury" wystawiono obrazy Wojciecha Fangora. Nie był to jednak zwyczajny wernisaż. Płótna zostały zawieszone na specjalnych stelażach i wchodziły ze sobą w rozmaite interakcje, a widzowie sami decydowali o kolejności, w jakiej oglądają dzieła. Mogli zresztą zobaczyć nie tylko ich lica, ale też odwrocia, czyli to, co zazwyczaj ukryte przed wzrokiem.

Celem wystawy było „pokazanie zależności przestrzennych pomiędzy obrazami" – pisał Fangor, dodając, że nie interesuje go to, co się dzieje wewnątrz obrazu, ale to, co zachodzi podczas spotkania dzieł sztuki. Podkreślał, że „widz, obierając drogę wśród grupy obrazów, staje się automatycznie współtwórcą dzieła" (podobne eksperymenty proponowali w tamtym czasie również pisarze, tworząc teksty, które można było czytać na różne sposoby, np. skacząc pomiędzy rozdziałami). Sama ekspozycja Salonu „Nowej Kultury" miała dwóch równorzędnych autorów – Wojciecha Fangora i Stanisława Zamecznika, architekta, autora projektów wystawienniczych, które przełamywały dotychczasowe nawyki ekspozycyjne.

Wspólne dzieło Fangora i Zamecznika wprawiało odbiorców w konfuzję, co dobrze pokazuje fragment Kroniki Filmowej wyświetlany na wystawie w Zachęcie. Dziś wiemy, że tamta wystawa była pierwszym w naszym kraju environmentem. Fangor i Zamecznik potraktowali ją bowiem jako całościowe dzieło w konkretnej przestrzeni, a nie zbiór pojedynczych artefaktów. Tym samym – podobnie jak amerykańscy i zachodnioeuropejscy artyści i artystki w tym czasie – zaczęli odchodzić od dotychczasowego myślenia o dziele sztuki jako odrębnym, autonomicznym obiekcie.

OTOCZENIE | Wystawę prezentowaną do 21 września w Zachęcie poświęcono pracom z lat 60. i 70. ubiegłego stulecia, których celem było angażowanie widza. Takim, które pozwalały – dosłownie – wejść w dzieło, doświadczając go zarówno fizycznie, jak i zmysłowo. Sam termin *environment* (po angielsku: otoczenie albo środowisko) jest zresztą rozmaicie definiowany. Za jego pomocą opisywano zarówno działania Allana Kaprowa, twórcy pierwszych happeningów, jak i Lucia Fontany, autora m.in. słynnych ciętych obrazów. Do tego nurtu zaliczamy również dzieła Edwarda Kienholza i George'a Segala, wiązanych z pop-artem, ale też Roberta Smithsona, twórcy prac-interwencji w naturze, w tym słynnej „Spiralnej grobli" usypanej w 1970 r. na północno-wschodnim wybrzeżu Wielkiego Jeziora Słonego. Czy wreszcie działania Agnes Denes, pionierki sztuki ekologicznej. Termin jest dziś znany przede wszystkim specjalistom, jednak dzieła nim określane miały kluczowe znaczenie dla przemian w sztuce w drugiej połowie XX w.

Wystawa w Zachęcie skupia się wyłącznie na polskich poszukiwaniach. Udało się zrekonstruować pięć environmentów. Pokazano obszerną dokumentację działań dobrze znanych artystów i artystek, jak i tych, o których zapomniano. Są tu teksty, zdjęcia i publikacje pokazujące m.in. kontrowersyjny dla wielu współczesnych pokaz audiowizualny „5 x" (1966) autorstwa Grzegorza Kowalskiego, Zygmunta Krauzego, Henryka Morela i Cezarego Szubartowicza w Galerii Foksal, podczas którego wnętrze zapełniono beczkami, blachami, rurami i innymi metalowymi przedmiotami. Widzowie uruchamiali je, przechodząc pomiędzy.

W Zachęcie można zobaczyć również dokumentację „Ikonosfery I" Zbigniewa Dłubaka z 1967 r., w której zdjęcia pokryły wszystkie ściany w Galerii Współczesnej w Warszawie. Albo aranżacji przestrzennej Tadeusza Dobosza na Sympozjum Plastyki Złote Grono w Zielonej Górze



DZIĘKI UPRZEJMOŚCI FUNDACJI IM. MARII PINIŃSKIEJ-BEREŚ I JERZEGO BERESIA / MATERIAŁY PRASOWE

Maria Pinińska-Bereś, Galeria Współczesna, Warszawa, 1973 r.
Na sąsiedniej stronie: Wojciech Fangor, Stanisław Zamecznik, Studium przestrzeni, 1958 r.

w 1967 r., jednego z pierwszych działań proekologicznych w naszej sztuce.

Są tu wreszcie prace, które były studiami do planowanych działań, jak projekty wnętrz Henryka Stażewskiego, czy „Lina" Magdaleny Abakanowicz, którą artystka zaczęła wkomponowywać w przestrzeń wystaw powstających na początku lat 70. Jej celem była „konfrontacja widza z materiałem tkackim i zwrócenie uwagi na jego niejednoznaczność". Abakanowicz uważała, że nasz stosunek do rzeczy charakteryzuje głęboka „ślepota przyzwyczajenia". To, co z góry wiemy o przedmiocie, nie pozwala nam go naprawdę zobaczyć. Sposób aranżacji ekspozycji miał przełamywać rutynę.

ŚWIATŁO I DŹWIĘK | Jednak największą wartością wystawy w Zachęcie są wspomniane już rekonstrukcje pełnoprzestrzennych prac. Oprócz „Studium..." możemy zobaczyć rekonstrukcje environmentów, które są dużo mniej znane, natomiast ważne dla zrozumienia tego, co działo się w latach 60. i 70. w polskiej sztuce. Każde z nich odwołuje się zresztą do odmiennych doznań i tradycji artystycznych.

Zdzisław Jurkiewicz – autor subtelnych, abstrakcyjnych obrazów – sięgnął po barwy. Jego „Environment w pulsującym świetle czerwonym i niebieskim" (1969-1970) to geometryczne, przestrzenne formy, które pod wpływem kolejnych kolorów nieustannie się zmieniają. Z kolei do poszukiwań w muzyce i sztukach wizualnych odwołuje się wspólne dzieło Teresy Kelm i Zygmunta Krauzego. Ich „Kompozycja przestrzenno-muzyczna nr 2" z 1970 r. to zaaranżowana specjalnie przestrzeń, w której odtwarzany jest utwór o otwartej formie, bez początku i końca. Jego odpowiednikiem jest architektura: ciąg drzwi wydzielających kolejne pomieszczenia. Odbiorca, przechodząc przez nie, sam określa intensywność dźwięku, „przekomponowując" przy tym dzieło.

Odtworzono w Zachęcie także wystawę indywidualną Marii Pinińskiej-Bereś z 1973 r. Ekspozycję przeoczoną przez ówczesną krytykę, choć to na niej po raz pierwszy artystka pokazała tzw. mebelki, w których fragmenty kobiecego ciała łączą się z domowymi sprzętami. Istotne były nie tylko prace, ale to, w jaki sposób Pinińska-Bereś zaaranżowała samą ekspozycję, ustawiając przedmioty w zespoły i instalacje.

Inna rekonstrukcja to aranżacja Ewy Partum z 1970 r. Jej „Obszar zagospodarowany wyobraźnią" był rozwinięciem pracy dyplomowej, w której artystka postulowała odejście od tradycyjnego prezentowania poezji w formie książki. Na wystawie swoje teoretyczne założenia przeniosła w przestrzeń galerii, wersy umieściła na przestrzennych formach, wymuszając tym samym na widzu niekonwencjonalny kontakt ze słowem.

NIE DOTYKAĆ | Wystawa w Zachęcie daje możliwość kontaktu z pracami, które do tej pory znane były przede wszystkim z opisów i nielicznych fotografii. „Przestrzenie" to także opowieść o miejscach, w których instalacje były prezentowane: Galerii Foksal czy Sympozjum Plastyki Złote Grono w Zielonej Górze, którego trzecia edycja w 1967 r. miała szczególne znaczenie dla rozwoju environmentu w Polsce. Przede wszystkim jednak stołeczna wystawa opowiada o Galerii Współczesnej, niezwykle ważnym miejscu, w którym zrealizowano environment Kelm i Krauzego oraz Ewy Partum, a także wystawy Jurkiewicza i Pinińskiej-Bereś.

Poszukiwania artystyczne, o których opowiada Zachęta, radykalnie zmieniły myślenie o malarstwie i rzeźbie, ale przede wszystkim o przestrzeni. To z environmentów wywodzą się dzisiejsze instalacje artystyczne i prace *site-specific*, w których artyści i artystki prowadzą bezpośredni dialog z otoczeniem. A ponieważ słowo *environment* oznacza także środowisko, artyści i artystki je tworzący zaczęli zwracać uwagę na kontekst polityczny, historyczny i społeczny. Ich dzieła niejednokrotnie były zaangażowane w wydarzenia polityczne i społeczne.

Jednocześnie „Przestrzenie" pokazują inny paradoks związany z ówczesną twórczością. Jak podkreślał znany włoski krytyk sztuki Germano Celant, celem environmentów było zwalczanie „systemu sztuki" poprzez eliminację obiektu artystycznego i jego komercjalizacji. Tymczasem szybko okazało się, że konieczna jest dokumentacja prac – ich filmowanie i fotografowanie. Bez nich nie zaistniałyby w obiegu artystycznym. Efektem była zarówno komercjalizacja, jak i muzaelizacja. Dziełom, dla których niezbędny był aktywny udział odbiorcy, towarzyszą dziś kartki z napisem „Nie dotykać". Wystawa w Zachęcie znosi tę barierę. Pozwala, przynajmniej w przybliżeniu, doświadczyć tego, co było udziałem osób oglądających tę twórczość przed ponad półwieczem. ©

PRZESTRZENIE, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, kurator: Michał Jachuła, wystawa czynna do 21 września 2025 r.

W głowie się nie mieści

REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

ANIMACJA | Nowa fala polskiej animacji zaskakuje i zachwyca. Filmy młodych twórców cieszą się zainteresowaniem międzynarodowej publiczności. Dlaczego tak mało o nich wiemy?



MATERIAŁY PRASOWE

Komunikacja, reż. Marta Magnuska, 2022 r.

Przez wiele dekad film animowany był wizytówką polskiej kultury. Szlak dla autorskich projektów przetarli Jan Lenica i Walerian Borowczyk. Niepokorni eksperymentatorzy udowodnili potencjał kryjący się w rozlicznych technikach animacji, której kierunek w następnych latach wyznaczyli mistrzowie, tacy jak Witold Giersz, Daniel Szczechura i Stefan Schabenbeck. Nad Wisłą równocześnie chwytano się za bary z wycinankami, lalkami, rysunkami na kalce, a nawet malunkami na taśmie filmowej.

Autorskie krótkie metraże pojawiały się na prestiżowych festiwalach, z kolei produkcje popularne i seriale dla dzieci stanowiły codzienność telewidzów tak w Polsce, jak i na świecie („Miś Uszatek" zwiedził pół globu: od Finlandii po Japonię). Rodzima animacja kwitła niemalże do końca lat 80. i dopiero wskutek urynkowienia kinematografii wytraciła pęd. Tę historię rekapitulowano nie raz.

Dużo trudniej znaleźć wzmianki o aktywności animatorów. Gdyby spróbować narysować krajobraz rodzimej animacji na podstawie doniesień z mediów mainstreamowych, można dojść do wniosku, że wyprodukowane po upadku komunizmu filmy animowane da się policzyć na palcach jednej ręki. Na pewno powstała „Katedra" (2002) i oczywiście „Twój Vincent" (2017), po drodze był jeszcze taki film jak „Piotruś i wilk" (2006), ale poza tym?

Tam, gdzie wzrok Akademii Filmowej nie sięga, tam animacji się raczej nie tworzy... Ironizuję, ale o współczesnych artystycznych filmach animowanych mówi się niewiele. Tymczasem rodzimi twórcy i twórczynie, tacy jak Izabela Plucińska, Marta Pajek, Andrzej Jobczyk czy Tomasz Popakul, odnoszą międzynarodowe sukcesy, ich filmy zaś stanowią o jakości i sile polskiej kinematografii.

Gdzie oglądać

Połowę z dziesięciu najchętniej oglądanych tytułów w 2024 r. stanowią filmy animowane. Należą do nich głośne hollywoodzkie produkcje, takie jak disnejowskie „W głowie się nie mieści 2" i „Vaiana 2", czy też kolejna część sagi o Minionkach. Także na Netfliksie trudno znaleźć tydzień, kiedy wśród najpopularniejszych wyborów zabrakłoby animacji. Nie jest więc tak, że nad Wisłą podchodzi się do wszystkiego, co nie jest filmem żywego planu, jak pies do jeża. Jednym z problemów, z którymi boryka się animacja artystyczna, jest po prostu utrudniona dystrybucja.

W PRL-u dzieła przedstawicieli polskiej szkoły funkcjonowały w szerokim obiegu. Fantazyjne miniatury wyświetlano przed pełnometrażowymi filmami, dzięki czemu publiczność mimochodem zaznajamiała się z dorobkiem wytwórni w Bielsku-Białej, Łodzi, Warszawie, Krakowie i Poznaniu (niestety w nowej kapitalistycznej rzeczywistości miejsce tzw. dodatków zajęły reklamy i zapowiedzi). Taki stan rzeczy wpływa na rozpoznawalność rodzimej animacji autorskiej, która zdaniem Marty Świętek, koordynatorki projektu Polish Animations, dostrzegana jest przede wszystkim w kręgu festiwalowym, wśród ludzi interesujących się kulturą i filmem.

To właśnie zdobycie zainteresowania publiczności niefestiwalowej postawił sobie za cel Piotr Kardas – organizator Ogólnopolskiego Festiwalu Animacji O!PLA, który od lat niestrudzenie dociera z nową falą polskiej animacji do kin w całym kraju. Jak można przeczytać na stronie inicjatywy, jej celem jest odbudowa relacji między widzem a animacją autorską. O!PLA gości nie tylko w miastach, ale również w mniejszych miasteczkach i wsiach, skazanych na ograniczony dostęp do kultury. W 2025 r. Kardas zorganizował swój przegląd w stu czterech miejscowościach.

Kina to jedno, a wspomniane już platformy streamingowe to drugie – coraz

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

częściej widzowie stawiają przecież na kulturę *on demand*. W Polsce istnieją serwisy, takie jak Ninateka, Repozytorium Cyfrowe Filmoteki Narodowej i 35mm.online, gdzie udostępniana jest animacja autorska, lecz ich katalog ogranicza się do pozycji archiwalnych i klasycznych. Filmy nowej szkoły można co prawda znaleźć na kanałach społecznościowych szkół filmowych (problemem bywa wielkość bibliotek i częstotliwość ich uzupełniania), jak również na profilach studiów animacji. Szkopuł w tym, że nawet jeśli miniatury pojawiają się w sieci, mało kto się o tym dowiaduje.

Gdzie pokazać

Dominującym modelem rozpowszechniania animacji artystycznej w XXI w. pozostaje ścieżka festiwalowa. Z jednej strony wiąże się to z ryzykiem alienowania potencjalnych odbiorców, w szczególności osób o niższym kapitale kulturowym, z drugiej – festiwale nie bez kozery uznaje się za nieodzowny element przemysłu filmowego. Według Kardasa obecność na imprezach można traktować jako miarę sukcesu autorskich szortów. W końcu udział we wszelkich międzynarodowych konkursach nobilituje twórcę i jego dzieło, jak również zwiększa zainteresowanie mediów oraz potencjał promocyjny. Doskonale zdają sobie z tego sprawę członkowie Krakowskiej Fundacji Filmowej, którzy od lat odpowiadają za projekt Polish Animations.

– Naszym celem jest promocja polskich filmów animowanych. Przez nią rozumiemy naszą działalność dystrybucyjną, czyli zgłaszanie rodzimych produkcji na festiwale, celem zwiększenia ich rozpoznawalności na arenie międzynarodowej, jak również tworzenie bazy danych o filmach, ich sukcesach: selekcjach konkursowych i nagrodach – tłumaczy Marta Świętek. Wśród filmów reprezentowanych przez KFF powodzeniem na festiwalach cieszyły się między innymi „Zima" Tomasza Popakula i Kasumi Ozeki (nagrodzona choćby na czeskim Anifilm, fińskim Turku Animated Film Festival i japońskim New Chitose Airport International Animation Festival) oraz „Magda" Adeli Kaczmarek.

Mówiąc o obecności polskiej animacji na zagranicznych festiwalach, nie wypada pominąć wkładu Piotra Kardasa. Od ponad dekady w ramach projektu O!PLA Focus On Poland filmy laureatów ogólnopolskiego festiwalu pokazywane są na zaprzyjaźnionych imprezach zagranicznych. O!PLA pojawiła się w ponad dwustu miastach na sześciu kontynentach.

– Pamiętam pokaz w Mediolanie, który rozpoczynał się po godzinie 22. Obawiałem się o frekwencję, tymczasem gdy wszedłem na salę, by zrobić wprowadzenie, zobaczyłem zapełnione rzędy. Sto pięćdziesiąt osób przyszło późnym wieczorem, aby zobaczyć krótkometrażowe animacje z Polski. Zostaliśmy ciepło przyjęci – mówi Kardas.

Choć długo zagraniczna publiczność utożsamiała nadwiślańską kinematografię z dorobkiem Giersza i Szczechury, rozpoznawalność nowej szkoły stopniowo wzrasta. Do uznanych nazwisk, jak Pajek i Plucińska, dołączają kolejne twórczynie witane przez producentów festiwali z otwartymi rękami – na przykład Julia Orlik, Marta Magnuska i Barbara Rupik.

O ile małe, lokalne wydarzenia wciąż mogą być środkiem cementowania społeczności, kreowania wspólnoty gustów oraz, jakkolwiek ckliwie to nie zabrzmi, zachętą do szczerego zachwytu kinem, o tyle imprezy najwyższej rangi służą przede wszystkim za platformę sprzedażową. Festiwalom w Cannes i Berlinie rokrocznie towarzyszą targi – kolejno Marché du Film i European Film Market – ściągające rzesze producentów, agentów sprzedaży i dystrybutorów z całego świata. W dziedzinie animacji najważniejszą imprezą pozostaje jednak festiwal w Annecy i odbywający się równolegle International Animation Film Market, na którym Stowarzyszenie Producentów Polskiej Animacji od lat zaznacza swoją obecność. Co oczywiste, tego typu wydarzenia są doskonałą przestrzenią do networkingu, czyli zawierania branżowych znajomości.

– Byłam przekonana, że mój film zobaczą trzy osoby. Nie przypuszczałam, że udział w festiwalu może bezpośrednio wpłynąć na moją karierę, tymczasem po Annecy otrzymałam masę propozycji ↦

Duszyczka, reż. Barbara Rupik, 2019 r.



MATERIAŁY PRASOWE



MATERIAŁY PRASOWE

To nie będzie film festiwalowy, reż. Julia Orlik, 2022 r.

współpracy. Tam poznałam się z przedstawicielami Animoon, którzy dopiero co widzieli mój film. Podobnie było z Blink Industries, z którym współpracowałam przy szorcie dla Adult Swim [kultowym bloku programowym poświęconym animacji dla dorosłych – przyp. aut.] – wspomina Zofia Klamka, twórczyni „Sheep Out".

Kogo obserwować

W 2024 r. przebojowy utwór Klamki, zrealizowany w Pracowni Animacji warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i dystrybuowany festiwalowo przez KFF, znalazł się w konkursie filmów dyplomowych festiwalu w Annecy. Co ciekawe, nie był to jedyny polski film, który przykuł uwagę selekcjonerów, ponieważ w tej samej sekcji swoją etiudę „Show" zaprezentowała Jagoda Czarnowska z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Taka sytuacja to żaden precedens – animacje polskich studentek i studentów cieszą się dużym zainteresowaniem międzynarodowej publiczności.

Ostatnie miesiące upłynęły pod znakiem światowego *tournée* Barbary Rupik i jej poklatkowego majstersztyku „Takie cuda się zdarzają", który rozbił bank na zagrzebskim Animafeście. To zresztą nie pierwszy sukces animatorki – w 2019 r. „Duszyczka" zdobyła trzecią nagrodę w konkursie Cinéfondation festiwalu w Cannes, z kolei trzy lata później jej animowane sekwencje wzbogaciły docenione przez krytykę „Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej.

Warto też wspomnieć o Maksie Rzontkowskim. Stworzona przezeń miniatura „Jak być męczennikiem" została okrzyknięta najlepszym filmem studenckim Ottawa International Animation Festival, najstarszego i zarazem najważniejszego wydarzenia poświęconego animacji w Ameryce Północnej. Stamtąd film powędrował na Sundance, gdzie odbyła się jego międzynarodowa premiera. Zaledwie tydzień temu film został doceniony przez legendę kina niezależnego Dona Hertzfeldta, który wprowadzi go do kin w ramach projektu Animation Mixtape.

Listę sukcesów polskich studentek i studentów można by wydłużać bez końca. Trudno się dziwić, skoro obecnie niemal każda uczelnia artystyczna ma wydział animacji, na którym szkolą się tuziny utalentowanych plastyków i filmowców. Jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest olbrzymia popularność animacji wśród młodzieży.

– Pamiętam sytuację, gdy jedna z uczennic łódzkiego plastyka spytała mnie, czy może pokazać swoje prace, po czym otworzyła laptopa i wyświetliła filmy. Była dopiero w drugiej klasie liceum, ale jej zaangażowanie i poziom animacji zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Ta dziewczyna, jak wielu jej rówieśników, zaczynała samodzielnie, ucząc się w domu, korzystając z tutoriali w internecie. Dopiero później zaczęła szlifować warsztat w szkole. To pokazuje, że nawet wśród bardzo młodych artystów animacja budzi coraz większe zainteresowanie i staje się dla nich ważnym środkiem przekazu – mówi pomysłodawca O!PLA.

Czego szukać

Utwory przedstawicieli polskiej szkoły animacji były niejednorodne zarówno pod względem treści, jak i formy. Łączyła je natomiast jedna (no może dwie, licząc powszechną niechęć do aparatu państwowego) rzecz – lwia część została stworzona przez mężczyzn. Nowa fala polskiej animacji niesie ze sobą wiele silnych kobiecych głosów. Zróżnicowanie punktów widzenia, ale też poszerzenie zbioru technik animacji o obrazy generowane komputerowo sprawiło, że nowej szkoły nie da się czytać w kontekście twórczości nestorów, lecz raczej należy traktować ją jako zjawisko osobne, wyrosłe na zgoła innym gruncie inspiracji.

Ten formalno-gatunkowy patchwork nieustannie zaskakuje i zachwyca. W docenionym w Annecy za muzykę „Joko" Izabela Plucińska sięga po plastelinę, by za jej pomocą stworzyć makabreskę o konformizmie. Lalkowy „To nie będzie film festiwalowy" jest dla Julii Orlik autotematycznym zwierciadłem, w którym spogląda na swoją pełną wyrzeczeń pracę animatorki. Z kolei w „Zimie" Tomasz Popakul i Kasumi Ozeki, korzystając z wielorakich technik rysunku, kreślą porażającą wizję miasteczka na skraju obłędu.

Trudno syntetycznie opisać polską animację lat 20. XXI w. Między innymi dlatego ograniczyłem się do krótkometrażowych filmów autorskich. Nie wspomniałem o obsypanym Orłami i Złotymi Lwami pełnometrażowym dramacie psychologicznym „Zabij to i wyjedź z tego miasta" Mariusza Wilczyńskiego ani o dystrybuowanym w ponad stu krajach familijnym przeboju, „Smoku Diplodoku" Wojtka Wawszczyka. Pominąłem też seriale dla dzieci, których wyjątkowym reprezentantem jest opowieść o małej sówce „Odo". A także niezliczonych animatorów i animatorki pracujące w gamedevie [przy tworzeniu gier wideo – red.].

Techniki animacji i jej przejawy w rodzimych mediach to materiał na niejedną monografię. Potrzeba by dziesiątek tekstów takich jak ten, aby satysfakcjonująco ubrać w słowa tak szeroko zakrojone zjawisko. Na początek zachęcamy do przyglądania się animacji częściej niż przy okazji oscarowych nominacji.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ *Sierhij Żadan,* **ARABESKI,**
tłum. Michał Petryk, Czarne



Ukraiński pisarz przyzwyczaił nas do prozy pisanej oszczędnym językiem. Takiej, w której nie ma miejsca na patos czy widowiskowe obrazy. Bohaterowie jego nowej książki żyją w cieniu wojny, ale łapczywie próbują łapać się innej rzeczywistości. Jest ona krucha i naznaczona lękiem, a jednak właśnie w niej autor znajduje przestrzeń na opowieść o tym, jak ludzie próbują ocalić choćby namiastkę normalności. Nie jest to łatwe. Już zdanie otwierające pierwsze opowiadanie: „Drugiego marca, w siódmy dzień wojny, zadzwonił Kola i poprosił, żeby wywieźć trupa…" – zapowiada, że lektura będzie konfrontacją z rzeczywistością, w której groteska sąsiaduje ze śmiercią, a codzienność została bezpowrotnie skażona wojennym absurdem. Podobnie jest w opowiadaniu o nauczycielu, który samotnie pilnuje fortepianu w opuszczonej szkole. W innym kobieta i mężczyzna próbują skraść moment normalności: spotykają się w hotelu, zrzucają mundury i przez chwilę udają, że świat nie istnieje. Ta namiastka bliskości okazuje się złudzeniem, nawet w intymnej przestrzeni obecność wojny daje ostatecznie o sobie znać. W każdym z opowiadań wyczuwalne jest napięcie pomiędzy nadzieją i miłością a poczuciem, że w jednej chwili wszystko może runąć. Żadan pokazuje, jak wojna wciąga zwykłych ludzi w sytuacje, których nie da się oswoić i które trudno zrozumieć. Odziera nasze życie z banalności, za którą w sytuacjach granicznych często najbardziej tęsknimy. Pokazuje, że literatura może opowiadać o wojnie bez wielkich słów, wystarczy kilka obrazów, by zrozumieć, jak głęboko konflikt przenika życie zwykłych ludzi.

©℗ JACEK TARAN

▪ *Mário-Henrique Leiria,*
NOWE OPOWIADANIA PRZY GINIE,
Lokator



Dobrze napisana książka surrealistyczna powinna być jak młotek, który kruszy szybę zautomatyzowanej percepcji, pozwalając światłu cudaczności oślepić czytelnika. Kiedy język porzuca wymóg przesyłania informacji, a fabuła skupia się na wyrażeniu natury myślenia, warto – być może za sprawą ginu – przyzwyczaić się zarówno do słoni szturmujących parlament, jak i bohatera, który ściga sam siebie z nożem. Taki nadrealistyczny koktajl proponuje swoim czytelnikom Mário-Henrique Leiria. Akolita portugalskiej awangardy zbiorem próz i wierszy oferuje wstęp do królestwa wyobraźni, gdzie jawa miesza się z krotochwilną fantazją, a purnonsensowe trupy rozpryskują się na krwawe confetti. Absurdalne wykolejenie świata stanowi w zbiorze chlubną zasadę organizującą: potwierdza to np. zamachowiec z „Określonej drogi", który orientuje się, że pozostali pasażerowie samolotu również są terrorystami. Leiria napisał książkę otwarcie uderzającą w autorytarną władzę spod znaku Salazara: łatwo tu o surrealistyczną satyrę wymierzoną w cenzurę, skorumpowane sądownictwo czy aparat tajnej policji. Niekiedy jednak pisarz porzuca polityczne zobowiązania i przypatruje się kwestiom związanym a to z relatywnością ziemskiego punktu widzenia („Drzewa i trumms"), a to z masochistyczną naturą człowieka (znakomite „Drzwi"). Niezależnie od tematu – uśmiech nie schodzi autorowi z twarzy. Surrealistów warto czytać dla uelastycznienia umysłu, rozbicia schematów myślowych i otwarcia się na inność, która uwodzi i uczy. Jak pisał Leiria: „Czekać / na co? / (…) / na drzwi / które reagują tylko na znak / szanowanego ramienia? / na profesjonalnego psa / gryzącego w piątki / nogę która protestuje? / na palec / z brudnymi paznokciami / wskazujący jedyny kierunek?". Jeśli więc ktoś zastanawia się, czy warto sięgać po książkę Portugalczyka, można odpowiedzieć podobnie – lepiej nie czekać.

© OLIVIER SOBOTA-SZAMOCKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA

Ogłaszamy program
17. Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada!

W dniach **20–26 PAŹDZIERNIKA** w Krakowie
pojawią się noblista **Abdulrazak Gurnah**, **Marek Bieńczyk**, **Chloe Dalton**, **Kamel Daoud**, **Yan Ge**, **Weronika Gogola**, **Małgorzata Halber**, **Emily St. John Mandel**, **Horacio Castellanos Moya**, **Weronika Murek**, **Hanna Nordenhök**, **Auður Ava Ólafsdóttir**, **Łukasz Orbitowski**, **Ishbel Szatrawska**, **Ziemowit Szczerek**, **Colm Tóibín** i **Daniel Wisser** i wielu innych.

Hasłem tegorocznej edycji jest „**Nadzieja radykalna**".

„Nawet w skrajnie trudnych sytuacjach zachowujmy otwartość na dobro, które może nadejść" – mówi **Olga Drenda**, dyrektorka kreatywna festiwalu.

Program dostępny na **conradfestival.pl**

Western w maseczkach

ANITA PIOTROWSKA

Ari Aster ma w sobie dziką brawurę, trochę w stylu braci Coenów, toteż trudno na jego filmie głośno się nie roześmiać. Chociażby na widok Joaquina Phoenixa jako buntownika i mściciela w foliowych ochraniaczach na butach.



MATERIAŁY PRASOWE A24

Dystans społeczny, lockdown, mgła mózgowa... Podczas oglądania najnowszego filmu Ariego Astera przypomina się cały słownik frazeologiczny związany z ostatnią pandemią. Nie tylko dlatego, że akcja „Eddington" zabiera nas do amerykańskiego miasteczka z pierwszej połowy roku o złowieszczej nazwie ZOZO. Ten film, mimo satyrycznego nerwu i gwiazdorskiej obsady, bywa chwilami męczący niczym „długi covid" właśnie.

Co próbuje egzorcyzmować reżyser znany z tego, że rozgrzebywał – z rozbuchaną finezją – najciemniejsze zakamarki ludzkiego jestestwa? Zazwyczaj emocje związane z niekończącą się żałobą czy inną traumą, choć bardziej w imię ekranowego efektu niż psychicznego oczyszczenia. Tym razem jego ambicje są znacznie rozleglejsze. Obejmują traumę zbiorową, jaką stało się doświadczenie covid-19, oraz jej wpływ na politykę i społeczeństwo.

Mamy co prawda w filmie dopiero początek nowej zarazy (nie ma jeszcze nadmiarowych zgonów ani antyszczepionkowej histerii), ale to właśnie pandemia i związane z nią „obostrzenia" okażą się katalizatorem społecznych podziałów na głuchej prowincji w stanie Nowy Meksyk. Oglądamy dobrze znany konflikt pomiędzy covidowym negacjonizmem, uosabianym przez miejscowego szeryfa, a praworządnością, głoszoną przez burmistrza. U Astera przeobraża się to w równie krwawą, co absurdalną wojnę domową, zaognianą przez media, protesty po zabójstwie George'a Floyda, tudzież wysyp różnej maści szarlatanów i uzdrowicieli.

Aster próbuje pokazać w mikroskali, jak w sytuacji kryzysowej, na skutek dezinformacji i teorii spiskowych, pod wpływem strachu i osobistych resentymentów, nakręca się polaryzacja. I jak łatwo w takich warunkach wyzwala się szaleństwo. Jego wcieleniem jest, a jakże, szeryf grany przez Joaquina Phoenixa. Już w poprzednim filmie Astera, „Bo się boi", jego bohater był nośnikiem wszelkich strachów – egzystencjalnych, freudowskich, ekonomicznych, cywilizacyjnych.

W „Eddingtonie" awansował w społecznej hierarchii i wcale nie trzeba znać poprzednich wcieleń tego aktora – wystarczy spojrzeć na jego twarz – by domyślić się, że będzie ekstremalnie. Zwłaszcza że libertariański Joe Cross potrafi używać różnych rodzajów broni i w swojej karierze mierzy jeszcze wyżej. Chciałby objąć fotel burmistrza, czyli *de facto* wykopać z niego Teda Garcię. A że gra go Pedro Pascal, pokiereszowany zbawca z serialu „The Last of Us", tym łatwiej przejrzeć karty w tej rozgrywce. Twórca „Midsommar. W biały dzień" stara się je nieco pomieszać. Sięgając po scenerię i konwencje rodem z westernu, najbardziej amerykańskiego z filmowych gatunków, ośmiesza zarówno czarno-białe podziały, jak i mechanizmy je napędzające. Nie tylko w USA.

Pandemia wydaje się dla takiej satyry idealnym poligonem, toteż Aster przerobił pod tym kątem swój stary scenariusz, pisany przed covidem. Świetnie obrazuje to scena, w której burmistrz wyprasza ze sklepu staruszka bez obowiązkowej maseczki (ten tłumaczy się, że cierpi na astmę), a szeryf ostentacyjnie robi mu zakupy i natychmiast wrzuca nagranie tego zdarzenia do mediów społecznościowych. Oto idealna zagrywka w trwającej właśnie kampanii przedwyborczej.

Wiadomo: internet coraz bardziej kreuje rzeczywistość, karmiąc się wszechobecnym wzmożeniem i napędzając je. W tego rodzaju świecie nawet burmistrz latynoskiego pochodzenia może być uznany za rasistę, jeśli da się sprowokować młodzieży z hasłami Black Lives Matter, nie mówiąc o młodym czarnoskórym policjancie. I podczas gdy szeryf z burmistrzem toczą swoją prywatną ideologiczną wojenkę, bohaterowie drugiego planu szukają ucieczek od rzeczywistości: syn Teda na manifestacjach i nielegalnych koronaimprezach, teściowa Crossa na foliarskich stronach internetowych, a jego zdziecinniała żona (Emma Stone) w szemranej sekcie żerującej na traumach realnych i domniemanych. W ten sposób współczesny western, zanurzony w pandemicznym spowolnieniu, staje się swoją własną parodią, a na koniec fil-



EDDINGTON
– reż. Ari Aster. Prod. USA/Finlandia 2025. Dystryb. UIP. W kinach od 5 września.

Ari Aster zaczynał jako twórca wysokoartystycznych horrorów pod skrzydłami studia A24. Taki był jego debiut, czyli „Dziedzictwo. Hereditary" (2018) i nie mniej spektakularny „Midsommar. W biały dzień" (2019). Dwa lata temu nakręcił podlaną psychoanalizą tragikomedię „Bo się boi". Jego najnowszy (i niestety najsłabszy) film miał premierę w Cannes.

Na zdjęciu: Joaquin Phoenix i Pedro Pascal w filmie „Eddington"

mowym bigosem w oparach absurdalnego thrillera.

Wydaje się, że reżyser powrzucał do tego bulgoczącego kotła, co tylko nawinęło mu się pod rękę: ważkie polityczne spory, amerykańskie zabawy z bronią, rozliczenia z podbojami rdzennej ludności, ruch MeToo czy ekspansję big techów. Niektóre z tych składników bywają podane smakowicie i to nawet przy swoim ostentacyjnym złym smaku.

Aster ma bowiem w sobie dziką brawurę, trochę w stylu braci Coenów, toteż trudno na tym filmie głośno się nie roześmiać. Chociażby na widok Phoenixa jako buntownika i mściciela w foliowych ochraniaczach na butach, ze zsuniętą pod nos maseczką. Kiedy zaczyna mocno pokasływać, rozpoczyna się jeszcze inny film, o ironicznej logice losu, która znajdzie dopełnienie w mocno łobuzerskim finale.

Szkoda zatem, że cały film tak niezgrabnie się rozwija. Najpierw toczy się ślamazarnie i nieostro, jakby kręcony był przez zmatowiałą przyłbicę z pleksiglasu, a gdy staje się dynamiczny i mocno przerysowany, najzwyczajniej brakuje już sił na dobrą zabawę (to aż dwie i pół godziny seansu). Owa eskalacja obłędu była zresztą od początku do przewidzenia, zdążyła podkręcić apetyty, lecz po drodze zabrakło wyczucia filmowego rytmu.

A może po prostu Ari Aster nie miał za wiele do powiedzenia na temat tej wyświechtanej „polaryzacji", w której i ci z prawa, i ci z lewa okazują się nawzajem siebie warci (chociaż łatwo się domyślić, gdzie w tym przypadku bije źródło największej destrukcji i chaosu). „Eddington" jest pod tym względem niczym lekcja pokazowa, aczkolwiek lekko spóźniona i wcale nie dlatego, że dotyczy rzeczywistości sprzed pięciu lat. Jej obraz wygląda na przenoszony, bo zdążył w swoim karykaturalnym kształcie okrzepnąć (ministrem zdrowia w USA został antyszczepionkowiec), a twórcę zdaje się to wszystko bardziej bawić niż obchodzić.

Na pewno zostanie z tego filmu memiczna wręcz scena, kiedy to bohater w jednej ręce trzyma spluwę, a w drugiej smartfon z włączoną kamerką i nie waha się użyć obu tych narzędzi równocześnie. Albowiem w tym morderczym starciu „burmistrzów" z „szeryfami", starych z młodymi, mężczyzn z kobietami, czarnych i białych, nie widać na horyzoncie prawdziwych zwycięzców. Może z wyjątkiem tego gigantycznego centrum zbierającego cyfrowe dane, którego siedzibę planuje się wybudować w miasteczku. ©

Lektor:
Jedna ulica



▪ *Benny Mer,*
SMOCZA. BIOGRAFIA ŻYDOWSKIEJ ULICY W WARSZAWIE, *przeł. Piotr Paziński. Wiersze w przekładzie Belli Szwarcman-Czarnoty. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025, ss. 312. Seria „Sulina".*

Tej dzielnicy już nie ma, a na jej gruzach wyrosło zupełnie inne miasto i nawet niektóre ulice zmieniły bieg. Jacek Leociak zatytułował swoją książkę bardzo trafnie – „Podziemny Muranów", bo to jest przede wszystkim kronika znikania, schodzenia pod ziemię. A Benny Mer, urodzony w 1971 r. izraelski dziennikarz i tłumacz literatury jidysz na hebrajski, wybrał jedną ulicę przedwojennego żydowskiego Muranowa i napisał o niej coś w rodzaju reportażu historycznego dziejącego się w latach 30.

Wyzwanie, wydawałoby się, niemożliwe do realizacji, jako że Smocza była ulicą biedną i niczym szczególnym się nie wyróżniała. A jednak się udało: z notatek prasowych, głównie w kronice policyjnej, niewielu reportaży, dokumentów i wspomnień, a także relacji ostatnich żyjących w Izraelu osób, które – jak Nechama Koriski – spędziły na Smoczej dzieciństwo, powstał obraz bardzo różnorodny. Ciśnie się pod klawisz wyświechtane słowo „barwny" – ale ten świat niesamowicie zagęszczonych czynszowych kamienic, sklepików i warsztatów zbyt barwny nie był, choć znalazł się tam nawet teatr Eldorado. A bywały i rodziny koczujące na podwórzu, bo wyrzucono je na bruk za niepłacenie czynszu (po czym organizowano zbiórki, by je wesprzeć). Częste były samobójstwa.

Ulica biedna, ale autorowi chodziło właśnie o to, by oddać sprawiedliwość zwyczajnym ludziom, którzy – jak pisze – „mogli być moimi dziadkami". Ich życiu, które wkrótce pochłonęła Zagłada. A przy tym pokazać przemiany, jakie w owym czasie zachodziły, na przykład w dziedzinie oświaty. Oraz zróżnicowanie ideowe społeczności żydowskiej – ścierające się recepty na przyszłość, od komunizmu przez bundowski socjalizm po syjonizm i nadzieję Ziemi Obiecanej, czasem wyidealizowaną.

I jeszcze jedno nietypowe źródło: wiersze. Jak poemat Mejlecha Rawicza o małej Giteле („W Warszawie na Smoczej ulicy / dzieci są blade, mają chore płuca..."). I jak utwór, który ujmuje całą książkę w ramę, bo stał się dla autora „osobistym kluczem do bram Smoczej"; wiersz Binema Hellera „Majn szwester Chaje", przypomnienie siostry zgładzonej w Treblince. Bo tych, którzy przepadli, należy szukać. A po lekturze znajdźmy na YouTube wspaniałe wykonanie wiersza o Chai: śpiewa Chawa Alberstein, która skomponowała do niego muzykę, akompaniuje zespół The Klezmatics. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Melony zamiast jabłek



Szkoła się zaczęła, więc najwyższa już pora, żeby każda Polka i każdy Polak uczyli się, jak wybrać dobrego melona na targu. Nie żebym przespał ostatnie ćwierć wieku rosnącej obfitości wszelkiego owocu przekraczającej bariery czasu i przestrzeni, od dawna przecież nie kłaniamy się sezonom i obcy nam jest lęk przed transkontynentalnym wojażem. Widzę to, ba, sam z tego czasem korzystam, przecież wszystko jest dla ludzi, a bajka o człowieku poczciwym, wiodącym żywot ściśle wedle kalendarza upraw i świąt nakazanych, pachnie wciskaniem cudzego życia w gorset utopii. Wydumanej najczęściej przez osobników hołdujących zasadzie, iż drogowskaz nie idzie w stronę, którą wskazuje.

Nie pomnę, od kiedy, ale to na pewno więcej niż dekada, kiedy melonów ci u nas dostatek. Długo był to jednak towar z dalekiego importu, nieraz aż z Ameryki Łacińskiej, rzęsiście oświetlony jarzeniówką w chłodnym wnętrzu sieciowego sklepu. Od jakiegoś już czasu jednak polscy ogrodnicy zaczynają nie tylko sadzić – bo to byłby tylko wyraz chwalebnego optymizmu o nikłym jednak znaczeniu dla rynku – ale i zbierać melony w ilościach zupełnie handlowych i wykładać je na straganach obok wczesnych jabłek i dojrzałej botwiny.

Pół wieku przyglądania się regułom historii wyleczyło mnie z wiary, że będzie jeszcze lepiej, mam zatem mocno ambiwalentny stosunek do postępu, jako gry o sumie zerowej lub ledwo dodatniej. Spójrzmy zatem na to, jak na swego rodzaju zmianę warty: melony zamiast ananasów. Z roku na rok na warszawskim Wolumenie, będącym, jak dobrze wiecie, moim głównym polem badawczym, dopóki gentryfikacja go nie zaora pod budowę czegoś bardziej prestiżowego, dramatycznie ubywa jabłek o tej egzotycznej nazwie, ale zupełnie swojskim pochodzeniu – z zaścianka Berżeniki w powiecie brasławskim województwa nowogródzkiego. Chciałbym się mylić, ale sprzedaje je tylko jeden dziadek w wieku zbliżonym do ostatnich rodzących drzew, z których zrywa bardzo nietrwałe, kompletnie nieprzystosowane do współczesnego obrotu spożywczego owoce. W tym roku ananasy berżenickie wyglądają wyjątkowo nędznie, liczę się z tym, że kupuję je ostatni raz. Część była tak obita, że nie mogłem czekać – poobierałem je szybko i skroiłem, by zrobić mus na owsiankę. Popłakałem się przy tym rzewnie, wdychając ich zapach, pomny tego, jak jeszcze kilka dni wcześniej, będąc w środku Francji, usiłowałem zdobyć godne swej nazwy jabłka na szarlotkę, którą miałem upiec goszczącym mnie przyjaciołom. Objechałem pół departamentu, wszędzie mieli wyłącznie goldeny, cóż, że lokalne, skoro tekturowe, bezobjawowe wręcz. Jak wiersz napisany przez generator AI.



VW PICS / GETTY IMAGES

Tak sobie narzekam, ale sery mieli jak zwykle takie, że gdybym zaczął wyliczać strukturę ich pleśniowych kożuszków, sanepid zamknąłby tę rubryczkę.

Zanim to uczyni, powiem tylko szybko, że jako pierwsze pokolenie stające przed zadaniem wyboru właściwego melona, nie musimy się bardzo napinać. Dajmy sobie prawo do błędu. Warto jednak zacząć od pomacania tego guziczka w miejscu, w którym na wcześniejszym etapie był kwiat, czyli po przeciwnej stronie względem wystającego z chropowatej kuli malutkiego kikuta-ogonka. To miejsce nie powinno być bardzo twarde, ale też nie powinno się zapadać pod naciskiem palca i gdy przytkniemy nos, powinniśmy poczuć lekki zapach. Niekoniecznie całkiem słodki, może być nawet ziemisty – niektórzy tego rodzaju bodźców nie lubią, ale jednak obcujemy z płodami ziemi, która nie jest sterylna. W każdym razie dobrze jest czuć zapach. Byle nie jednoznacznie pleśniowy. Warto też popatrzeć na tę część skóry, która pozostawała w kontakcie z ziemią, albowiem, co łatwo zrozumieć, melon nie dynda na krzaku. Na swój użytek nazywam to miejsce odleżyną. Dobrze, żeby się odróżniała kolorystycznie od reszty.

Około dziesięciu lat temu, kiedy zaczynałem dopiero słać ceraty w naszym kąciku kuchennym, a przy okazji prowadzić również dział krajowy „Tygodnika", zawezwał mnie redaktor naczelny Piotr Mucharski. Nie pytał jednak o to, jak oceniam perspektywy upadku Polski pod zaczynającym wówczas rządy PiS-em, lecz jak mianowicie przygotowuję ossobuco, czyli pręgę



z kością (ciętą w poprzek, nie wzdłuż, jak przeważnie to się czyni). Poczułem się okropnie głupio, bo akurat ten kawałek mięsa znałem tylko z teorii, piekielnie rzadko dało się go kupić – przynajmniej w Warszawie, gdzie mieszkałem. Wówczas też po raz pierwszy chyba pomyślałem, że skoro oni tu w Krakowie mają bardziej ogarniętych rzeźników, tnących gicz wołową w poprzek, to może warto, żebym się przeprowadził. Co uczyniwszy, nieraz potem mogłem rozmawiać z Piotrem, o jedzeniu, a przede wszystkim je robić, bo to za jego poduszczeniem – na zmianę z paroma kolegami – dokonywałem akrobacji, by w ciasnej kuchni redakcyjnej ugotować coś przypominającego obiad dla zabieganego przed dedlajnem zespołu. Pewnego razu risotto grzybowe wyszło mi nawet nieźle, do dziś uważam je za jedno z lepszych, jakie zrobiłem w życiu.

Po tamtej rozmowie obiecałem sobie, że nie mogę już więcej zawieść Piotra, i mocno zacząłem się rozwijać. Jako kucharz i jako ten, co raz na jakiś czas sprząta ze stołu graty, żeby postawić tam laptop z felietonem. Mam nadzieję, że to było widać, podobnie jak było widać, ile dobrego się w „Tygodniku" za jego kadencji zadziało. Teraz zostawia nas, by w pełni zasłużenie objąć rolę redaktora seniora-juniora. Żegnam go więc tą krótką poradą. Kto wie, może zacznie w swoim zadbanym ogrodzie sadzić melony?

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Burakowe brownie

Gdym pierwszy raz zobaczył ten przepis w jakiejś włoskiej (!) książce, pomyślałem, że to dziwoląg niewart uwagi, zwłaszcza kiedy się zna stosunek tej nacji do buraków. Albo że to taka wymyślona na siłę inna forma ciasta marchewkowego, gdzie starte warzywo służy za magazyn wilgoci. Ale jednak się okazało świetne, niebanalne w smaku. Jest bardziej zwarte od marchewkowego, prawie jak ciemny spód do wuzetki. Jadam je bez niczego, ale spokojnie możecie przeciąć w poprzek i wypełnić np. kremem z mascarpone.

SKŁADNIKI:
400 g ugotowanych, obranych buraków
230 g oleju 200 g cukru 3 jajka 240 g mąki
16 g proszku do pieczenia 30 g kakao
40 g imbiru kandyzowanego
50 g posiekanej gorzkiej czekolady

Ścieramy buraki na grubej tarce, dodajemy 30 g oleju, miksujemy blenderem na gładki krem. W dużej misce miksujemy na średnich obrotach (albo intensywnym ruchem ręki dzierżącej trzepaczkę) jajka z cukrem przez dobre parę minut, żeby stały się pieniste. Dolewamy stopniowo resztę oleju, ciągle mieszając. Dodajemy po trochu mąkę z proszkiem do pieczenia, dalej mieszamy, wreszcie wsypujemy kakao. Następnie wlewamy krem burakowy i tym razem mieszamy bardzo delikatnie szpatułką lub drewnianą łyżką. Na koniec wsypujemy czekoladę i prawie całość imbiru. Przelewamy do tortownicy o średnicy 24-26 cm, na wierzch dajemy resztę imbiru, pieczemy w 180 st. C przez 45 minut albo dopóki patyczek wbity w środek nie wyjdzie suchy. ©℗



NINA FIRSOVA / SHUTTERSTOCK



ZMYSŁY

UBIÓR W OPERZE

Wprowadzenie rygorystycznych zasad ubioru w operze miało na celu demokratyzację widowni. Panowie i panie, korzystający z wypożyczalni stosownych kreacji, przestali się wyróżniać na tle dam i dżentelmenów z towarzystwa.

DOROTA KOZIŃSKA

Lato w tym roku było wyjątkowo kapryśne, trudno więc się dziwić przelotnej burzy w mediach i serwisach społecznościowych. Rozpętała się w lipcu po rzekomym zaostrzeniu *dress code*'u w mediolańskiej La Scali. Rzekomym, bo legendarny teatr operowy już dawno odstąpił od reguły wpuszczania na spektakle wyłącznie pań w strojach wieczorowych oraz panów pod muszką (w ostateczności pod krawatem). Zaznaczono jedynie, że należy się ubrać „stosownie" do okazji, nie naruszając powagi miejsca ani odczuć estetycznych pozostałych widzów.

Jak się mianowicie ubrać, tego już w stolicy włoskiej mody precyzować nie wypadało, teatr ograniczył się więc do przypomnienia, że nie będzie wpuszczał na widownię ani zwracał pieniędzy za bilety gościom, którzy pojawią się w La Scali w podkoszulkach bez rękawów lub szortach. Potem zresztą musiał się gęsto tłumaczyć, że zakaz paradowania w koszulkach na ramiączkach dotyczy wyłącznie panów, a przez pojęcie „szorty" rozumie się spodenki plażowe. Ktoś z administracji opery napomknął też niefortunnie o klapkach, na co obruszyli się szykowni japońscy melomani, odwiedzający teatr w tradycyjnych kimonach i sandałach zōri, przez ludzi Zachodu zwanych potocznie japonkami.



FRANCESCO AMMENDOLA / QUIRINALE.IT / DOMENA PUBLICZNA

Inauguracja sezonu teatralnego w operze La Scala w Mediolanie. Włochy, 7 grudnia 2022 r.

Plaża w świątyni

Żeby zrozumieć, dlaczego ta burza zbiegła się z pierwszą falą upałów, trzeba zdać sobie sprawę, że sezon w La Scali rozpoczyna się nietypowo, czyli 7 grudnia, w dzień świętego Ambrożego, patrona miasta. Przedstawienia idą pełną parą aż do drugiej połowy lipca, po czym zespoły wznawiają działalność na początku września, po niespełna półtoramiesięcznej przerwie. Jeśli nie liczyć oficjalnej gali otwarcia, jeden sezon przechodzi w drugi praktycznie niepostrzeżenie.

Kiedy jednak zaczyna się letni najazd obieżyświatów na Mediolan, w ofercie pojawiają się lżejsze pozycje repertuarowe, a wraz z nimi całkiem inna publiczność – traktująca La Scalę wyłącznie jako atrakcję turystyczną. Narusza ona „decorum" teatru nie tylko zbyt swobodnym strojem, lecz także niestosownym zachowaniem, począwszy od prób wnoszenia na widownię fast-foodów, skończywszy na upuszczaniu telefonów z czwartego balkonu na parter. Znakomita większość tych przygodnych gości wychodzi zresztą znudzona po pierwszym akcie, ale do tego czasu potrafi nieźle napsuć krwi Bogu ducha winnym operomanom i wielbicielom baletu.

Tego lata miarka się jednak przebrała, zwłaszcza że stery w La Scali przejął niedawno Fortunato Ortombina, były dyrektor generalny weneckiej La Fenice, uchodzącej za najbardziej konserwatywną operę we Włoszech. To z jego inicjatywy postanowiono zdyscyplinować niesfornych turystów, poprzestawszy wszakże na ponownym, tym razem dobitnym przytoczeniu „reguł domu". Skądinąd *dress code* nie obowiązuje też w La Fenice, choć administratorzy sugerują stroje wieczorowe na gali otwarcia oraz nieco mniej formalne garnitury i suknie na spektaklach premierowych. Na pozostałych przedstawieniach panowie mogą śmiało pojawić się w dżinsach i zapinanej koszuli bez krawata, co wyraźnie zaznaczono w dziale porad na stronie internetowej teatru. W podobnym duchu wypowiedział się w lipcu rzecznik prasowy mediolańskiej opery, podkreślając, że „nie wolno nam pouczać ludzi, w co mają się ubrać, w coś jednak się ubrać powinni".

Nie należy więc mylić słusznej walki z zabłąkanymi do La Scali plażowiczami z próbą narzucenia widzom ściśle określonych zasad ubioru. Letnia burza w mediach szybko zresztą przycichła, stonowana objaśnieniami bywalców i żartobliwymi ↦

↦ komentarzami na blogach łowców sensacji (szczególnie rozbawił mnie dialog między dżentelmenem ubolewającym nad utratą umiejętności wiązania muszki do fraka a panem, który spytał eleganta, czy zakłada do opery wyłącznie cylindry z futra bobrowego).

W Polsce gniewne grzmoty toczyły się nieco dłużej, co o tyle nie dziwi, że większość naszych rodaków wybiera się do opery od wielkiego dzwonu albo nie chodzi do niej w ogóle. Między innymi dlatego, że tkwi w fałszywym przeświadczeniu, iż do tych „świątyń sztuki" należy się wystroić jak na audiencję u koronowanej głowy, a przynajmniej jak na wesele lub pogrzeb. Oczywiście z szacunku dla muzyki i wykonujących ją artystów.

Strój tani, prosty i trwały

Mało kto zdaje sobie sprawę, że dla wielu niegdysiejszych bywalców oper muzyka była najmniej istotnym elementem widowiska, które w głównej mierze rozgrywało się poza obrębem sceny. W barokowych teatrach dworskich spektakle były okazją do utrwalania reprezentowanej przez władców wizji ładu społecznego. W pierwszych teatrach publicznych – pretekstem do snucia intryg, nawiązywania stosunków dyplomatycznych i oddawania się przelotnym miłostkom z kurtyzanami. W teatrach mieszczańskich – impulsem do podkreślania własnej pozycji w socjecie i prowadzenia korzystnych interesów. W operze rżnęło się w karty, omawiało kursy giełdowe i dobijało targu z handlarzami koni. Najbogatsi urządzali sobie w lożach suto wyposażone apartamenty z osobną kuchnią. Bywało, że rejwach publiczności zagłuszał popisy występujących na scenie śpiewaków.

Co najmniej do połowy XIX wieku przedstawienia toczyły się przy rzęsiście oświetlonej widowni – na której rozgrywał się poniekąd równoległy spektakl, rządzący się aktualną „operową" modą. W czasach Jane Austen w angielskich teatrach królowały perły i diamenty, suknie z drogocennego muślinu i włoskiej gazy, turbany ze srebrnej siateczki, zdobione egretami z czaplich piór, albo fantazyjne kapelusze z liliowej tafty.

W późniejszych o kilkadziesiąt lat pismach modowych pouczano elegantki, jak bawić się kolorem w wieczorowych strojach do opery. Jasny róż ponoć najlepiej komponował się z głęboką czernią męskiego fraka. Decydując się na suknię w odcieniu fuksji, należało wpierw się upewnić, czy sąsiedniego miejsca nie zajmie dama w szkarłatnej szacie, i tym samym popsuje wystudiowany efekt. Do zielonej kreacji pasowało tylko złoto. Młódka nie powinna była pokazywać się publicznie w fiolecie. Za najbezpieczniejszy dodatek do każdej sukni uchodziła podszyta białym jedwabiem zarzutka z gronostajów.

Nietrudno się domyślić, jak w tym zalewie bogactwa czuli się ubożsi widzowie, często przemykający się na swoje miejsca osobnymi wejściami, bez prawa wstępu do paradnych foyer (co zresztą do dziś obowiązuje posiadaczy najtańszych biletów do La Scali). Paradoksalnie, wprowadzenie rygorystycznych zasad ubioru w operze – na przełomie XIX i XX wieku – miało na celu właśnie demokratyzację widowni. Jak pisał George Bernard Shaw, z pewną dozą sarkazmu, „strój wieczorowy jest tani, prosty i trwały, zapobiega rywalizacji i ekstrawagancji dyktatorów mody, niweluje różnice klasowe, daje ubogim i niepewnym swojej pozycji społecznej (czyli zdecydowanej większości) poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia, którego nie mogłyby



DE AGOSTINI LIBRARY / GETTY IMAGES

Rycina Gennara Amato z „L'Illustrazione Italiana" z premiery opery „Falstaff" Giuseppe Verdiego. Mediolan, 9 lutego 1893 r.

im zapewnić stroje wybrane przez nich samych, a ponadto oszczędza im dylematów, w co się ubrać na uroczystą okazję".

Tak oto panowie i panie, często korzystający z wypożyczalni stosownych kreacji, przestali się wyróżniać – przynajmniej na pierwszy rzut oka – na tle podobnie odzianych dam i dżentelmenów z towarzystwa.

Panowie stawiają!

Podobnymi intencjami kierują się dyrektorzy współczesnych domów operowych, unikając jak ognia narzucania widzom określonego *dress code*'u. Gość w operze powinien się czuć przede wszystkim swobodnie. Cóż mu po smokingu, jeśli nie potrafi go nosić? Jakiż pożytek z długiej sukni z trenem przyjdzie niskiej, korpulentnej kobiecie w starszym wieku?

Kto ma wątpliwości, zawsze może zasięgnąć porady u doświadczonych bywalców, którzy wytłumaczą, by nie ubierać się zbyt jaskrawo, żeby unikać tandetnych, obszytych cekinami kiecek, nieudolnie naśladujących kreacje przedwojennych elegantek. Żeby zostawić w szafie modne, „markowe" dresy i kupioną na bazarze bejsbolówkę z podrobionym logo Dolce&Gabbana. Żeby nie zakładać biżuterii na każdy palec, tylko zadowolić się pojedynczym, choćby skromnym pierścionkiem po babci. Żeby odpowiednio dobrać skarpetki do spodni. Wreszcie – co najważniejsze – by przed wyjściem do teatru wziąć prysznic i nie zlewać się perfumami, które przyprawią o duszności wszystkich w promieniu trzech metrów od delikwenta.

Problem jednak w tym, że na wielu polskich stronach internetowych można znaleźć sugestie, że nawet bilet na najdalsze miejsce nie zwalnia widza z obowiązku eleganckiego stroju. A ten, w przypadku mężczyzn, to frak (!), smoking albo w ostateczności ciemny garnitur. Koszula wyłącznie jasna i koniecznie na spinki. Buty do smokinga bezwzględnie lakierowane.

Jedynym wyborem dla pań wybierających się na premierę jest długa suknia balowa – o dziwo, ambasadorzy dobrego stylu nie widzą nic zdrożnego w dekolcie do pasa ani rozcięciu do połowy uda. Nie zawadzi też diadem, najlepiej pięknie błyszczący, przekonują styliści, argumentując, że „wyjście do opery może być spełnieniem dziewczęcych marzeń o wcieleniu się w rolę księżniczki".

Z jednej ze stron dowiedziałam się również, że przed spektaklem dobrze poznać nazwisko kompozytora i tytuł utworu. W razie, gdyby pozostały jakiekolwiek wątpliwości, w wyborze kreacji „najlepiej wzorować się na fotografiach koronowanych głów podczas oficjalnych premier".

Na drugim biegunie plasują się polscy mistrzowie *savoir-vivre*'u, których zdaniem kobieta powinna chodzić do opery wyłącznie w towarzystwie mężczyzny. A ten nie ma lekko, bo nie dość, że musi się przygotować intelektualnie, to jeszcze ciąży na nim obowiązek zaoferowania kobiecie czegoś do picia w bufecie (ciasteczka z niewyjaśnionych przyczyn wykluczone) i zapłacenia za wszystko z własnej kieszeni. Nie muszę dodawać, że kobiety nie wolno odstępować ani na krok – być może dlatego, że pewien rodzimy *arbiter elegantiarum* zaleca wyposażenie partnerki w brylantową biżuterię, która okaże się znakomitym dodatkiem do „raczej długiej" czarnej sukni.

Ubierz się śpiewająco

Myślę, że zamiast wydawać majątek na frak i brylanty, lepiej poświęcić ostatnie zaskórniaki na wyprawę do któregoś z renomowanych europejskich teatrów albo na letni festiwal operowy. Wystarczy ubrać się jak do La Scali – czyli stosownie – po czym oddać się rozkoszy obserwowania innych melomanów. Znakomita większość będzie wyglądać całkiem normalnie. Niektórzy wyróżnią się z tłumu specyficzną dla swej kultury elegancją.

Francuzi lubią kontrasty: w paryskich operach można spotkać panie w prostych, codziennych sukienkach uzupełnionych efektownym szalem – pięknie haftowanym albo z wyjątkowej jakości materiału w intensywnym kolorze – oraz panów w znoszonych skórzanych kurtkach narzuconych na drogie koszule. W Monachium, Bayreuth i Salzburgu częstym widokiem są operomani w strojach regionalnych, tak zwanych trachtach: damskich dirndlach z bogato zdobionym gorsetem, sutą spódnicą do kolan i białą bluzką z krótkim rękawkiem, oraz męskich *Lederhosen*, krótkich spodniach ze spektakularnymi szelkami, dumie niejednego Bawarczyka, który – jak przypuszczam – wszedłby w nich nawet do La Scali, mimo zakazu wstępu w szortach. Na przedstawienia Scottish Opera w Glasgow i Edynburgu przychodzą mężczyźni w kiltach. Hiszpanie niejednokrotnie stroją się barwniej niż Hiszpanki, przyciągając wzrok najrozmaitszymi odcieniami czerwieni, żółcieni i fioletu. Norweg potrafi wybrać się do opery w tradycyjnym wełnianym swetrze *lusekofte* – mrocznym obiekcie pożądania niejednego amatora skandynawskich dzianin.

Najzabawniejsze, że do stroju, który w mniemaniu naszych stylistów stanowi szczyt operowej elegancji, przywiązani są bodaj tylko bywalcy „wiejskich" festiwali operowych w Anglii. Przy czym ich smokingi są prawie zawsze wymięte i lekko przetarte na łokciach, koszule nie pierwszej świeżości, muszki przekrzywione, a buty rozczłapane od wieloletnich pielgrzymek po angielskich trawnikach i żwirowych ścieżkach. Damy ciągną przybłocone treny po ziemi i w razie niepogody okrywają ramiona czym popadnie – przeważnie kocem piknikowym. Nieodłącznym, a zarazem najbardziej zadbanym elementem męskiej garderoby jest kapelusz słomkowy – elegancka panama lub nieco bardziej fantazyjny kanotier z płaską główką. Zresztą i tak nikt nie patrzy na ubiór: o wiele istotniejszy jest kosz piknikowy, a właściwie jego zawartość, spożywana uroczyście podczas długiej, półtoragodzinnej przerwy – często w scenerii jak z obrazu Moneta, ale za to srebrnymi sztućcami i na angielskiej porcelanie.

Bywają też operowi przebierańcy – jak na festiwalu Bayreuth Baroque, gdzie można odnieść wrażenie, jakby publiczność zeszła na ulice frankońskiego miasteczka wprost ze sceny w Operze Margrabiów. Mężczyźni w garniturach z białego jedwabiu haftowanego w czerwone chryzantemy, z perłami w uszach i butach na wysokim obcasie. Kobiety jak barwne motyle, wymachujące skrzydłami z cieniutkiego kaszmiru i zwiewnego batystu. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek spotkała tam kogoś w smokingu: choć ceny biletów na tę elitarną imprezę wkrótce przebiją ofertę wagnerowskich Festspiele na Zielonym Wzgórzu.

W każdym z tych światów można spotkać staruszków w dżinsach i nastolatków w garniturach. Uśmiechniętych, rozkosznie nieprzygotowanych intelektualnie, opychających się w przerwach ciasteczkami i płacących tylko za siebie. Ubranych jakże stosownie do radości, jaką daje opera.

© DOROTA KOZIŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TOMASZ

Stawiszyński: *Realna możliwość*



Dwa numery temu pisałem na łamach „Tygodnika" o poglądach zmarłego w 2015 r. francuskiego antropologa i filozofa René Girarda. Przy tej okazji znów wróciłem do jego książek. Pewna przewijająca się w nich myśl, przenikliwa, a zarazem niepokojąca – tym bardziej w kontekście coraz straszniejszych doniesień z miejsc toczonych dziś wojną, śmiercią i cierpieniem – na tyle mocno utkwiła mi w głowie, że nie było wyjścia, musiałem raz jeszcze za nią, za Girardem, podążyć. Zwłaszcza że splotła się z inną lekturą, na którą ostatnio trafiłem: z opublikowanym w portalu Unherd esejem szkockiego historyka Christophera Hardinga, poświęconym 80. rocznicy ataków na Hiroszimę i Nagasaki.

Nawiasem mówiąc, częstotliwość wracania do niektórych autorów, odkrywania u nich czegoś wcześniej niedostrzeganego, to wiarygodne kryterium autentyczności tych tajemniczych pokrewieństw, jakie nas łączą z ulubionymi pisarzami, poetami, malarzami, muzykami czy filozofami. W jaki sposób się te pokrewieństwa kształtują? Co je determinuje? Czy w ogóle da się je racjonalnie wyjaśnić? Czy też może zawiązują się w rejestrach, których nie sięgają logika, empiria i eksperyment?

Nie sposób oczywiście odpowiedzieć na żadne z tych pytań, niemniej wszyscy to znamy: z jednymi autorami odczuwamy momentalnie powinowactwo, z innymi zaś żadnego lub nikłe. Choćbyśmy rozumieli, że są wielcy – nie zachwycają. Jedni docierają do najgłębszych zakamarków naszych dusz, inni zaś nie mają tam wstępu, nawet jeśli staramy się im go dać.

Jak to się zatem dzieje, że ludzie o podobnym kapitale kulturowym, zbliżonych biografiach, emocjonalnych i intelektualnych parametrach, dokonują biegunowo różnych wyborów ideowych, myślowych, estetycznych? A na dodatek różnice te okazują się na jakimś poziomie nieuzgadnialne. Nie mówiąc już o tych minimalnych nawet dystynkcjach, z którymi bieglemy od razu na barykady. Nie mówiąc o powszechnej „różnicofobii" – panicznym lęku przed brakiem jednolitości i jednomyślności, który rozpanoszył się nie tylko w mediach społecznościowych, ale w ogóle wszędzie. I który sprawia, że najdrobniejsza odmienność w podejściu do kilku lub kilkunastu dyżurnych zapalnych spraw wywołuje atak paniki, a następnie furii (lub odwrotnie).

Owszem, istnieje wiele wytłumaczeń, wiele teorii, które na różne sposoby starają się rozjaśniać, w czym rzecz, kategoryzować i klasyfikować, niemniej nikomu się to jeszcze do końca nie udało. Skądinąd Girard akurat uważał, że jeśli chodzi o te nasze upodobania i predylekcje, sprawa jest dość prosta. Jesteśmy istotami naśladującymi. Nasze najważniejsze wzorce zostały nam w odpowiednim momencie podsunięte przez innych, co później rodzi opłakane konsekwencje – ale po szczegóły w tej kwestii odsyłam do wspomnianego na początku tekstu.

W każdym razie przez ostatnie tygodnie krąży mi po głowie inna myśl Girarda, najpełniej wyrażona w późnym okresie życia. Brzmi ona: naszą epokę, wbrew temu, co by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, cechuje postępujące zacieranie się różnic. Dla Girarda miało ono sens apokaliptyczny, widział w tym proces rozprzestrzeniania się przemocy, która ogarnia współczesne społeczeństwa, coraz bardziej niezdolne do jej powstrzymywania. Proponowane przezeń „myślenie apokaliptyczne" opiera się na bardzo prostej operacji mentalnej – potraktowaniu możliwości końca świata jako możliwości całkowicie realnej. Przy czym nie chodzi tutaj o efektowny scenariusz, w którym rozpędzona planetoida uderza w Ziemię, oceany występują z brzegów, temperatura znienacka rośnie lub na odwrót, wszystko spowija gruba warstwa lodu. Chodzi o ludzką-arcyludzką eskalację przemocy, nad którą nikt w porę nie zapanuje, bowiem nie będzie miał niezbędnych do tego środków. A dokładniej – świadomości, że taka eskalacja w ogóle się dokonuje.

Jest to subtelna, ale zasadnicza korekta do wielu fantazji apokaliptycznych krążących w infosferze: sprawcą końca świata będzie wyłącznie człowiek. Wprawi on w ruch mechanizmy, które wymkną się mu spod kontroli. Ba, już się wymykają, lecz on wciąż tego nie dostrzega. I zapewne nie dostrzeże. A to dlatego, że przemoc jest zjawiskiem paradoksalnym. Temu, kto ją stosuje, daje hipnotyczne wręcz poczucie władzy i kontroli, gdy tymczasem staje się on nieświadomym jej niewolnikiem.

Cóż, nie sposób się z tą obserwacją nie zgodzić, zwłaszcza kiedy się spojrzy na ponure losy tych, którzy tak chętnie po przemoc sięgali, w krótkotrwałym jedynie poczuciu absolutnej bezkarności i absolutnej autonomii. No ale to widać dopiero *post factum*, nigdy z samego środka uwiedzenia przez przemoc, tę najskuteczniejszą w dziejach kusicielkę.

Przed tym samym ostrzega Christopher Harding, który zwraca uwagę, że powtórka z Hiroshimy i Nagasaki – tym razem w skali globalnej i bez racjonalnej kalkulacji (niezależnie, jak tę ówczesną amerykańską kalkulację dziś oceniamy) – jest, znowu, jak najbardziej realna. Niesłusznie więc zdajemy się dziś być nieświadomi gigantycznej, destrukcyjnej potęgi, jaką ludzkość dysponuje od niespełna wieku. Pytanie – jak długo jeszcze uda się nam utrzymać ją w ryzach?

Przy założeniu, że to my ją trzymamy w ryzach, naturalnie, nie zaś, że jest całkiem odwrotnie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00



Znamy program i gości
Szczegóły na **conradfestival.pl**

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / FESTIWAL CONRADA